Witowna

KREWNI.

KREWNI.

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. Korzeniowskiego.

Tom IV.

WILNO.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

1857.

Pozwolono drukować z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury prawem oznaczonej liczby exemplarzy. Wilno, 23 Lutego 1857 roku.

Cenzor Paweł Kukolnik.



I.

Półtora roku upłynęło od tego wypadku, któryśmy przy końcu poprzedzającéj części opisali. Przez ten cały czas nic takiego nie zaszło, coby zanotować, lub rozwinąć szczegółowiéj wypadało. Ignaś pracował ciągle, termin jego kończył się i zbliżało się wyzwolenie. W warsztacie miał szacunek kolegów i przywiązanie Adwentowicza i Hebla, który widział, jak użytecznym jest jego zakładowi młody człowiek z głową, z gustem, z pojętnością, przez którą wszystkie sekreta rzemiosła przeniknął, w niektórych rzeczach na nowe nawet wpadł kombinacye, a akuratnością i obyczajami stał się wzorem i przykładem dla swoich współpracowników. Na Świę-

to-Jańskiéj ulicy znajdował on pokój i wytchnienie, znajdował w pięknych oczach kochanki wyraz miłości, który mu dodawał odwagi, w każdym jéj postępku i słowie widział spokojność kobiéty czynnéj i pracowitéj, widział humor i wesołość, które miały dalszą drogę jego ozdobić i dawały mu tę pewność, że się każdym losem jego podzielić potrafi, że z umiarkowaniem i rozumem przyjmie powodzenie, a wytrwałością i słodyczą umili chwile przykre i każdy cios przeciwny mężném sercem wytrzyma. Poprawa losu Kańskich dała mu także wielką pociechę. Za powrótem do zdrowia i dawniejszego wpływu w Komissyi protektora, który go zawsze względami swemi zaszczycał, otrzymywał Kański przydatki do owéj pensyi, którą mu pierwiastkowo naznaczono, tak, że w ciągu tego czasu stanął na pozycyi, która mu dwa tysiące dwieście złotych polskich rocznie przynosiła. Przy innych zarobkach, tak jego własnych, jak i obu kobiét, przy tym dodatku, który Ignaś zawsze w ręku Julki składał, a który większą połowę tego, co miał z dzierżawy wynosił, położenie ich było wcale znośne, chociaż im przybyło expensy. Ale

ten gość, który do domu ich przybył i wydatki ich pomnożył, niewypowiedzianém szczęściem wynagradzał trudy, jakie w podejmowaniu go ponosili. Był to bowiem chłopczyk śliczny, z oczami matki, z uśmiechem ojca, zdrów i rumiany, który gdy leżał na kolanach Paulinki, gdy do tych wszystkich co go otaczali, wyciągał rączki, i z zaufaniem niewiadomości śmiał się do tego życia, które go może surową twarzą i groźném czołem przywitać miało, wlewał w serca wszystkich zapomnienie trosk, jakie przebyli, i wrażał im to bezpieczeństwo, jakie daje każdemu widok szczęśliwego dziecka, świeży oddech poranku i szelest wiośniany tych listków, których dziewiczéj zieloności nie przykryła jeszcze kurzawa, nie zwarzył ostry wiatr, nie śpiekło i nie wysuszyło słońce.

W takim stanie były rzeczy, gdy na początku jesieni 1843 roku powrócił Eugeniusz. Po zatarciu się téj obawy, jaką miał z początku, że zawód, jaki Ignaś obrał, może na los i położenie jego wpłynąć, mając wszystkie potrzeby swe hojnie zaspokojone, korzystał on z pobytu swego za granicą, gdzie dla chcącego, na każdym kro-

ku tyle nastręcza się przedmiotów, gdzie mimowoli rozszerza się sfera wiadomości i odkrywają się coraz nowe widoki na życie, jego zabiegi, jego nabytki moralne i umysłowe. Miłość i cześć, jaką miał dla panny Jadwigi, któréj cudna postać wrosła niejako w jego myśl i stała się treścią i duszą jego istnienia, nie zmniejszyła się ani przez czas, ani przez oddalenie. Owszem, wzmogła się ona jeszcze przez to ciągłe karmienie się wyobrażeniem, jakie sobie o niéj wyrobił, a które zmalałoby może przez bliższe przypatrywanie się, przez codzienne obejście, przez możność okazania jéj uczuć, jakie miał, a któremiby może wzgardziła, lub je obojętnie przyjęła. Póki był od niéj daleko, i teraz dojeżdżając do Warszawy, dojeżdżał w tém przekonaniu, że według słów jéj własnych, zastanie to co zostawił; a ta wiadomość, jaką powziął z listów matki do Stasia, że panna Jadwiga odmówiła stanowczo księciu Januszowi, że odrzuciła z lekceważeniem prośbę o jéj rękę księcia Henryka, który, chociaż nie przez swą osobistą wartość, ale przez swój ród, imie i majątek należał, jak pisała kasztelanowa, do piérwszych

w kraju partyj, podniecała nadzieję bohatéra naszego i czarownemi napełniała go rojeniami. Nie śmiał on wprawdzie powiedzieć sobie wyraźnie, że przywiązanie dla niego było pobudką, że w wyborze swym stała się tak trudną, wszakże ta myśl leżała w głębi jego duszy, i tajemnic, może nawet bez jego wiedzy i woli, ukrzepiała w nim to uczucie nieograniczonéj miłości, z którém już nie mógłby się rozstać, chyba z życiem.

Powierzchownie stał się Eugeniusz jednym z najprzystojniejszych i najpowabniejszych mężczyzn. Przez te lat trzy podróży, pracy, walki i myślenia nad sobą, i nad tém wszystkiém co widział, zmężniał on nawet ciałem, stracił wszystkie cechy młodzieniaszka, którego płoche i drobne rzeczy zajmują, a uderzającym się zrobił pięknością rysów i postaci, powagą ułożenia, a szczególniéj dojrzałością myśli, która się na czole jego szerokiém i białém wybitnie malowała. W oczach jego piwnych i pięknie ocienionych, którym niegdyś ciotka Teresa napatrzyć się nie mogła, bo przypominały oczy matki, było tyle uczucia, serdecznéj dobroci, a czasem

wyraz tak melancholiczny i głęboki, że samém wejrzeniem ujmował każdego, z którym rozmawiał. Głos jego był męzki i dźwięczny, słowa płynęły mu z łatwością i stawały na zawołanie, jak farby na paletrze, do tych obrazów, w które myśli swe i uczucia odziewać lubił. Nawet Staś, który mu tém więcéj okazywał niechęci, im bardziéj czuł się od niego niższym, odchodził nie raz pokonany jego wejrzeniem i głosem, i wyrzucał sobie to uczucie wstrętu i prawie nienawiści, jakie w gruncie serca miał dla towarzysza swéj młodości, chociaż je jak mógł taił i ukrywał. Włosy Eugeniusza miały dziwny blask i ułożone były zawsze z nieprzesadną, ale pełną smaku elegancyą. Ciemne jego wąsy, które się w ostatnim roku pobytu za granicą bujnie puściły, podnosiły koloryt jego oblicza i białość zębów, a uśmiechowi jego dawały ten wdzięk, który nasz ród słowiański charakteryzuje, i po którym poczciwego i otwartego Polaka wszędzie poznać można. Wyższym był Eugeniusz od Ignasia, starannym w swém ubraniu, lubiącym teraz jak i dawniéj czystość i elegancyę. Chroniąc się wszelkiéj pokusy, na jaką mógłby być narażo-

nym, mając zawsze na piersiach ów talizman który go strzegł od wszelkiego brudnego zetknięcia, zachował się w nieskalanéj czystości obyczajów, a ztąd w sile i zdrowiu, które powierzchowności jego dodawały powabu, a ruchom i obejściu tę śmiałość i pewność, jaką każdy prawdziwy mężczyzna miéć powinien i która dziwnie układnie łączyła się z tą powagą, jaka mu była właściwa. Takim był Eugeniusz co do umysłu i serca, takim co do tych zewnętrznych kształtów, w których mniéj więcéj maluje się dusza, a które nie darmo są tak pożądaną rekomendacyą, równie w mężczyznie jak w kobiécie, bo kompletują tę cudną istotę, którą Bóg własnemi rękami urobił.

Nim tak interesującego młodego człowieka wyprowadzimy na scenę i zajmiemy nim uwagę czytelników, musimy wspomniéć wprzód o jednéj ważnéj okoliczności, która na jego los stanowczo wpłynęła.

Ostatniéj zimy w Paryżu przebywała pani Zaworska, bogata bardzo dama z Ukrainy, spokrewniona ze wszystkiemi celniejszemi domami tych niegdyś Indyj polskich, a zatém kuzynka lub po-

winowata wszystkich nowo kreowanych hrabiów, których w ostatnich czasach tak wielu na tych złotodajnych niwach wyrosło. Była to kiedyś kobiéta piękna, piérwsza elegantka, a i teraz, chociaż już miała dwódziesto-pięcio letniego syna i słuszną córkę, jak tylko mogła dostać paszport, biegła do Paryża, dla odnowienia swéj toalety, dla zrzucenia z siebie kurzawy Ukraińskiego czarnoziemu, i dla skąpania się w tém świetle cywilizacyi, którego promienie rozpraszają się niezmiernie, tracą na blasku i sile, nim przez piwne wyziewy i tumany filozoficzne Germanii, nim przez piaski i bagna polskie aż w te odległe i błogosławione strony dolecą. Przeszłéj więc jesieni, wymywszy się ze wszelkiéj śniedzi narodowéj w morzu, z pełną kiesą i z córką już dorosłą i ładną przybyła do Paryża, a znalazłszy pokaźny lokal na Chaussée d'Antin, tam na całą zimę zamieszkała.

Staś Zabużski, dla którego za granicą we wszystkich miastach, gdzie się zatrzymali dłużéj, do najpiérwszych ciekawości należały salony pań, które były w modzie, a szczególniéj salony pań polskich, jeżeli kosztem ekspensy i nadskakiwa-

wania cudzoziemcom i cudzoziemkom, w czém, jak wiadomo, są niezmordowane, potrafiły sobie wyrobić pewny rozgłos i reputacyą, zaprowadzony został przez któregoś ze znajomych rodaków do pani Zaworskiéj, i tam zaprezentowany. Wystawa i ślad szczodrego i hojnego użycia nieposlednich bogactw, bardzo mu się podobały. Przy piérwszéj zaraz rozmowie dowiedział się on, że pani Zaworska jest krewną rodziny S.... tak széroko na Ukrainie rozłożonéj, że hrabiowie P...... są jéj ciotecznemi braćmi, a hrabina M.... jéj stryjeczno-cioteczną siostrą. Nawzajem pani Zaworska dowiedziała się, że Staś rodzi się z księżniczki, że ilu tylko jest hrabiów i książąt w Królestwie, wszyscy jakąś nitką krótszą lub dłuższą są z rodem matki jego spokrewnieni. To podobieństwo pozycyi socyalnéj obudziło najprzód pomiędzy niemi pewną sympatyę, a zrodzona ztąd grzeczność i uprzejmość damy, choć już nie młodéj, choć przesadnie różnemi kosztownemi elegancyami nastrzępionéj, tak ujęły młodzieńca, że prosił o pozwolenie częstego bywania i towarzyszenia sobie w tych exkursyach, jakieby zwiedzając osobliwości Europejskiéj stolicy robiła.

Staś był przystojny, dobrze ułożony, mówny, a podobieństwo równie z rysów twarzy jak i z charakteru do matki, dawało postawie jego wyraz pański, hardy i wzgardliwy, co dla próżnéj kobiéty było tym większym jeszcze przymiotem i tym pewniejszym dowodem jego wysokiego pochodzenia. Ujęta więc jego rozmową, powierzchownością i koligacyami, nie tylko przyjęła uprzejmie jego prośbę, ale wyraźnie mu oświadczyła, że życzy sobie i pragnie widzieć go jak najczęściéj u siebie, i z towarzystwa jego i światła w zwiedzaniu rzadkich zbiorów paryzkich korzystać nie zaniedba. Tym sposobem Staś stał się częstym bardzo gościem u téj damy, która jakkolwiek sobą i strojami swemi zajęta, wkrótce to postrzegła, że nie ona tylko i jéj rozmowy o stosunkach jéj na Ukrainie są powodem, że młody człowiek tak do domu jéj przylgnął.

Jak wszystkie podżyłe piękności i stare elegantki, pani Zaworska usiłowała wmawiać w córkę swą, że jeszcze jest dzieckiem, że powinna jedynie zajmować się Chapsalem i Noelem, a z pobytu swego w Paryżu korzystać o tyle, iżby się oduczyła błędów, jakie we francuzkim języku ro-

bi i nabyła praktycznie doskonałéj pronuncyacyi. Ale panna Teodora Zaworska wiedziała o tém dobrze, że ma już siedémnaście lat, i uczuła to tém mocniéj, im lepiéj przypatrzyła się Stasiowi Zabużskiemu, i im wyraźniéj postrzegła, że i on, mimo tych skromnych, białych sukienek, w jakie stroiła ją matka, mimo tych puklów, które nie raz zawijała płacząc, postrzegł także, że twarzyczka jéj rumiana i puszysta, oczki błękitne, bystre i kochające, usteczka świéże i uśmiéchające się miłe za każdym razem, gdy drzwi otwiérał i do pokoju wchodził.

Zajmował się tedy Staś coraz bardziéj dziewczynką, która rodzącéj się skłonności swéj dla niego utaić nie umiała. Dowiedziawszy się przytém od jednego ze znajomych Ukraińców, którego relacyi mógł zawierzyć, że równie stosunki familijne téj damy, jak i jéj majątek nie są to wcale blichtry, ale największa rzeczywistość; że panna ma tylko jednego brata, trochę angłomana, ale zresztą bardzo porządnego i ukształconego młodego człowieka, że mimo to będzie miała od siedmiukroć do ośmiukroć posagu, postanowił seryo zyskać jéj serce i obie matki, jéj i

swoją, do oddania sobie panny skłonić. Bywał więc ciągle, trzymał się w najściślejszych karbach przyzwoitości, a chociaż żadném słowem i krokiem zamiarów swych nie objawił, nie uszło to jednak oka matki, że mu się córka jéj podobała, i że on nawzajem podobał się córce.

Pani Zaworska, chociaż kobiéta próżna i zajęta fraszkami, dała w sercu swém wziąść górę uczuciu macierzyństwa i szczérze zajęła się tym losem swéj córki, który się jéj otwiérał. Dowiedziawszy się, że Staś bawi w Paryżu z mentorem, poważnym kapłanem, prosiła go, aby ją z księdzem Augustynem zapoznał. Równie od niego, jak od niektórych znajomych z Królestwa wybadała zręcznie i nieznacznie, że w rzeczy saméj rodzina młodego człowieka jest poważana w kraju, że ojciec jego, chociaż nie magnat, ma jednak majątek i znaczenie, a matka skoligacona jest z najpiérwszemi domami. Troskliwość swoją w téj mierze posunęła ona tak daleko, że nieprzestając na tych wiadomościach, napisała do syna na Ukrainie, doniosła mu o jawnéj już dla niéj, chociaż wyraźnie niewypowiedzianéj skłonności córki dla pana Stanisława Za-

bużskiego, i prosiła go, aby przybył do Warszawy, przypatrzył się i wywiedział na miejscu, jacy to są ludzie, jakie ich charaktery i położenie towarzyskie i majątkowe, i czy można dziecko takie jak Teosia, ich sercu i troskliwości rodzicielskiéj powierzyć. Tymczasem nie zrażając wcale Stasia, grzeczna i uprzejma jak piérwéj, czuwająca tylko pilniéj nad młodemi ludźmi, udawała, że ani widzi, ani się domyśla, co się święci.

Pan Konstanty Zaworski wyrobił sobie paszport nie tylko do Królestwa, ale i do Francyi i w połowie karnawału do Warszawy przybył. Wszedł on od razu w wyższe tutejsze towarzystwo. Wszystko czego się dowiedział o kasztelanie, kasztelanowéj i ich domu, odpowiadało naturalnie temu, co pisała matka i zaspokajało jego braterskie przywiązanie. Ale wrażenie, jakiego doznał na widok panny Jadwigi, przeszło wszelką miarę jego oczekiwania i napełniło go nieznanemi dotąd uczuciami. Nie mógł się on napatrzyć na ten wdzięk pełen powagi w jéj ułożeniu i obejściu ze wszystkiemi, co się do niéj zbliżali, na tę piękność rysów twarzy bladéj wprawdzie,

ale ożywionéj myślą zdrową i dójrzałą, na ten uśmiech rozumny, który jawnie okazywał, że dobrze pojmuje i ocenia to wszystko, co się do niéj mówi, na tę gracyą naturalną i niepracowitą, jaką rozwijała w tańcu, któremu oddawała się bez zapału, bez namiętności, ale z tą chętną łatwością, z tym pobłażliwym wyrazem twarzy, z jakim czasem starsi myślą mięszają się do zabaw młodzieży i gry jéj i zajęcie podzielają. Przysłuchując się rozmowom o niéj ludzi poważnych, przekonał się, że wszyscy mówili o niéj ze czcią, jako o osobie pełnéj dobroci, pełnéj zalet znamionujących wyższe ukształcenie i duszę, pojmującą całą ważność przeznaczenia kobiéty i niezajętą fraszkami światowéj próżności. A chociaż młodzież trzpiotowata i skacząca nazywała ją czasem drewnianą, sztywną pedantką, nieprzystępną i chmurną boginią, nie zrażało go to bynajmniéj, owszem tém mocniejsze sąd taki obudzał w nim zajęcie. Bo pan Konstanty Zaworski, chociaż miał ledwie dwódziesty piąty rok i przed trzema dopiéro laty uniwersytet Kijowski ukończył, był młody człowiek także dójrzały, oddany gospodarstwu i spekulacyi, a z natury i

wychowania poważny, zastanawiający się i mający pozór niezmiernie zimny. Przez lat ośm tego wieku, w którym urabia się dusza i formuje się ciało, miał przy sobie guwernera Anglika i uformował się moralnie i fizycznie na jego obraz i podobieństwo. Średniego wzrostu, dobrze zbudowany, rysów niezmiernie foremnych, a nawet pięknych, w ruchach i postawie miał widocznie wszystkie charaktery i ujęcia prawdziwego gentelmana. Starannie codzień wygolony, nie cierpiał na twarzy swéj ani niemieckich bakenbardów, ani polskiego wąsa; bielizna jego była nieposzlakowanéj białości, a suknie zawsze czarne formą i krojem angielskim, gdyż je zawsze za pośrednictwem angielskiego magazynu w Odessie sprowadzał z Londynu. Chociaż nie miał jeszcze w posiadaniu własném żadnéj części obszernego majątku, który mu się miał dostać w puściznie, zarządzał jednak całą tą fortuną, sprowadzał z Anglii machiny, ułatwiające niektóre części gospodarstwa, i rozmyślał już i roił plany założenia jakiéj fabryki, nie dla powiększenia dochodu, bo wiedział o tém, że tam najwierniejszym i największym dochodem jest psze-

nica, ale dla zaspokojenia téj chęci fabrykowania czegoś, która wraz z wychowaniem angielskiém w istotę jego przeszła. Gdyby kto widział go w kompanii Ewansa, u którego był zaraz nazajutrz po przybyciu swém do Warszawy i potém często go odwiedzał, gdyby przysłuchał się ich rozmowie, wziąłby go pewnie za najprawdziwszego syna Albionu, z takim akcentem i brakiem giestów mówił, tak kiwał głową na znak, że rozumié i akceptuje, tak go interesowały wszystkie koła zębate i niezębate, tak wiernie insularnym był ów wykrzyknik *oh!*, którym okazywał czasem niby podziwienie, niby niedowierzanie słowom mówiącego. A tymczasem, pod tym pozorem zimnym i cudzoziemskim, było serce szlacheckie, pełne prawości i najuczciwszych zasad, był rozum ukształcony nauką i chęci dla kraju najlepsze. Dotąd jeszcze żadna kobiéta nie zrobiła na nim takiego wrażenia, jak panna Jadwiga, na którą zwrócił uwagę najprzód dla tego, że była siostrą Stasia, a głównie, że mu się wydało, iż każda angielka wyższego rodu i wychowania, z rozumem i sercem, musi być taka, jak ona. A choć wiedział, że angielki są

różowe i blondynki, cały jednak jéj układ, całe ujęcie i wyraz tak mu jakoś po angielsku wpadł w oko, tak przystał i wpoił się w jego myśl, że nawet ta twarz blada i zamyślona, te bujne i czarne włosy stały się w oczach jego tym wyższym przymiotem i tym bardziéj podniosły powab, który go uderzył.

Łatwo pojąć, że mając tyle ważnych względów poznania bliżéj tego domu i osób, które go składały, postarał się wkrótce, że go w salonie kasztelanowéj zarekomendowano. Panie nasze mają tak nieograniczoną słabość do wszystkiego, co cudzoziemskie, że samo ułożenie i mina czysto angielska już były dla niego w ich oczach korzystną rekomendacyą. Nawzajem go więc sobie w każdéj kompanii pokazywały, a widząc przytém piękność niepospolitą, nadewszystko dowiedziawszy się, że to jest Nabab ukraiński, wszystkie go poznać pragnęły. Przyjęła go tedy i kasztelanowa bardzo uprzejmie, a chociaż pan Konstanty był mało mówiącym, wcale niezabawnym i niedowcipnym, że jednak wyciągnięty na słowo, jeżeli się odezwał, odezwał się dobrze i rozumnie, postanowiła go ośmielić, i choć zbyt

uprzedzająca grzeczność nie była jéj zwyczajem, dała mu jednak poznać, iż jéj miło będzie, jeśli jéj domu mijać nie zechce, zwłaszcza co piątek wieczorem, którego to dnia zwykle przyjmują. Nim przyszedł ów pożądany piątek, widywał on pannę Jadwigę w innych domach, do których łatwy znalazł przystęp, i które miały inne dni do przyjmowania gości naznaczone. Że jednak nigdy nie tańczył, a zatém nie miał sposobności do konwersacyi obowiązkowéj w czasie przerw tańca, a wprost zbliżyć się nie śmiał, bo jakoś nie przychodziło mu na myśl od czego zacząć rozmowę wśród tego tłumu, który znał tak mało, nie rozmawiał więc z nią wcale. Krążył tylko z daleka, przypatrywał się jéj poruszeniom i wbijał sobie coraz w myśl tę postać, która go już odstąpić nie chciała.

Gdy nadszedł piątek, zjawił się między najpiérwszemi gośćmi, i postrzegł z tajemném wzruszeniem, że matka i córka były dla niego z większą jeszcze grzecznością i uprzejmością, niż po raz piérwszy. Na to uprzedzające przyjęcie wpłynął list księdza Augustyna, przed dwóma dniami odebrany, w którym donosił kasztelanowéj o za-

jęciu się Stasia panną Teodorą Zaworską, o skłonności wzajemnéj, jaką mu się zdaje widzieć w pannie, o jéj wieku, urodzeniu, stosunkach familijnych, posagu i t. d. »Przyznaję się pani ze wstydem, dodał w końcu, że stosunek ten zawiązał się początkowo bez mojéj wiedzy, takiego mi Staś dał kominka. Ale gdym zmiarkował, gdzie tak często bywa i poznał tę damę i jéj córkę, gdym się dowiedział o wszystkich okolicznościach, które naturalnie w takich razach są warunkami koniecznemi, chociaż saméj matce znalazłbym to i owo do zarzucenia, a mianowicie, że będąc już niemłodą, przez wielką miłość strojów staje się trochę śmiészną; znajdując wszakże panienkę skromną, naiwną, ładną i poglądającą na Stasia z wyrazem, okazującym serce czyste i kochające, nie położyłem od razu mojego *veto*, któreby już może nic nie pomogło, w tém przekonaniu, że to partya dla syna pani wcale odpowiedna, że postępowanie moje zatwierdzisz już i z tego względu, iż uczciwa skłonność dla młodzieńca tak żywego jak Staś, i notabene w Paryżu, stanie się zbawienną tarczą, która go od niejednéj pokusy zasłoni.”

Kasztelanowa ucieszyła się tą wiadomością tém bardziéj, że sam widok brata téj panienki, i reputacya, z jaką tu przybył, sprawdzały wszystko to, co ksiądz Augustyn pisał. A niedomyślając się, że pan Konstanty przybył do Warszawy jedynie po to, aby ich bliżéj poznał, postanowiła przyciągnąć go do siebie i więcéj jeszcze wybadać, więcéj dowiedziéć się szczegółów równie o koneksyach familijnych, co było dla niéj rzeczą główną, jak i o charakterze, wychowaniu i sercu téj siostry, która miała się stać jéj dzieckiem przybraném, i zapewnić szczęście syna, którego niezmiernie kochała. Takim sposobem wspólny interes zbliżył ich do siebie i postawił od razu pana Konstantego na takiéj stopie życzliwości ze strony matki i córki, jakiéj się tak prędko nie spodziewał, i do jakiéjby inaczéj, mimo swych zalet osobistych i majątku, może nigdy nie doszedł.

Po niejakim czasie, gdy w salonie dosyć już było osób, i jakoś nie bardzo się zanosiło na ożywioną zabawę, gdy kasztelanowa zajęła się kilku damami, które na wieczór ten nie tańcujący przybywszy, siedziały milcząc i oczekując,

aż je przyjdzie kto bawić, panna Jadwiga postrzegłszy, że pan Konstanty także sam jeden stoi przy oknie, patrzy na zebraną kompanią i nie bawi się, pomówiwszy to z tym, to z owym, przystąpiła do niego i zaczęła rozmowę o Warszawie, o kończącym się karnawale, jak długo jeszcze zabawi i t. d. Z początku jakoś to nie szło. Pan Konstanty, uszczęśliwiony jéj zbliżeniem, więcéj patrzył i słuchał, niż odpowiadał. Wkrótce jednak, gdy panna Jadwiga spójrzała na różne gruppy mężczyzn, którzy stali nie rozmawiając, i niby oczekując, aż się podniesie jakaś kurtyna, która im zasłania widowisko, mające ich zabawić, ruszyła nieznacznie ramionami i rzekła:

— Ci panowie nudzą się. Boję się zawsze większego cokolwiek zebrania gdzie nie tańcują. Nie wiém, czy nie umiemy mówić, czy nie umiemy słuchać, ale w ogóle u nas w Warszawie mało jest salonów, gdzieby kilkadziesiąt osób zebranych bawiło się dobrze samą tylko rozmową. Ja przynajmniéj znam jeden tylko.

— Domyślam się o jakim pani mówisz— odpowiedział pan Konstanty— słyszałem o nim wiele.

— Więc jeszcześ pan tam nie był?— rzekła panna Jadwiga.— Radzę panu nie opuszczać sposobności poznania tego domu, gdzie panuje wielka uprzejmość, gdzie każdy czuje się swobodnym i zawsze znajdzie kogoś, co go interesuje. Dla pana szczególniéj będzie to widok zajmujący. Obaczysz tam pan towarzystwo bardziéj rozmaite niż gdzieindziéj: wielu panów tutejszych i obcych, wielu ludzi odznaczających się nie tylko urodzeniem, ale i nauką i talentem; będziesz mógł poznać się z kim zechcesz i przekonasz się— dodała z uśmiechem pełnym rozumu i wdzięku— że i damy nasze, starsze i młódsze, zdolne są rozumiéć i zainteresować się poważniejszą rozmową, i nie zawsze tęsknią za strojem i tańcem.

— Oh!— wykrzyknął na to pan Konstanty z akcentem czysto angielskim — Nie wątpiłem nigdy że panie interesujecie się tém wszystkiém, co nas podnosi i uzacnia. Chociaż z drugiéj strony znajduję to rzeczą bardzo naturalną, że młodzi lubią taniec i oddają mu się z takim zapałem. Sądzę nawet, że nie sama chęć popisania się toaletą i zgrabnością ruchów jest pobudką tego zamiłowania, z jakiém oddajemy się téj zabawie.

— A jednak uważałam— rzekła panna Jadwiga— że pan jéj nie podzielasz wcale. Dostrzegłam nawet przed kilku dniami, żeś w mazurku odmówił bardzo uprzejméj tancerce, która pana wybrała i do koła wciągnąć pragnęła.

— Nie tańcowałem nigdy— odpowiedział pan Konstanty, rumieniąc się nieznacznie.— Musiałem więc odmówić przez nieumiejętność i bojaźń wystawienia się na śmiech, zwłaszcza tu, w ojczyznie mazura, gdzie go z takim zapałem i z taką zręcznością tańcują.

— Czy na Ukrainie mazur nie jest tak lubionym?— spytała panna Jadwiga.

— I owszem— odpowiedział młody człowiek żywiéj— towarzystwo nasze Ukraińskie niczém się nie różni od tutejszego, ani duchem ani formą. Takie same są jego gusta, takie same zalety, i zapewne takie same wady.

— To szkoda— rzekła panna Jadwiga seryo.— Ja miałam inne o tém wyobrażenie. Czytając niektóre opisy tego kraju, obrazy jego życia i obyczajów, wyobraziłam go sobie daleko poetyczniejszym, niż nasz ubogi i zaniedbany, niż nasza społeczność, przykrojona z cudzoziemska i na-

strajająca się tak chętnie do obcego tonu. Dla tego pragnęłam zawsze widzieć tę ojczyznę rusałek, rozpuścić wzrok po tych rozległych obszarach, gdzie wystawiałam sobie farysów ukraińskich, idących na wyścigi z wiatrami i wyzywających do walki orły, które stepy te zaludniają. Pan zdjąłeś mi z tej krainy wiele uroku—dodała uśmiéchnąwszy się.

—Bardzo byłbym nieszczęśliwym, gdybym mógł panią zniechęcić i odebrać jéj tę ciekawość, tak dla nas pochlebną—rzekł pan Konstanty i żywy rumieniec na twarz jego wystąpił. Gdy panna Jadwiga widząc to spuściła oczy, on dodał:— Trwaj pani w téj chęci, a sądzę, że się nie zupełnie zawiedziesz. Wprawdzie nie mogę panią upewnić, że rzeczywistość odpowié tym obrazom, jakie imaginacya znakomitych poetów naszych skreśliła, zawsze jednak znajdziesz pani ogromną różnicę w widoku téj bujnéj natury, którą nas Opatrzność uposażyła. Nasze niezmierzone niwy, obfitém powiewające zbożem, nasze zielone stepy, na których roją się stada, nasze dębowe lasy, silne jak pierś naszego ludu, wszystko to zajmie oko pani i podoba się pewnie. My przy-

wykli do tego widoku, patrzymy nań więcéj z gospodarskiéj strony, i rozmierzając okiem te rozległe przestrzenie, liczymy zaraz ilość kóp pszenicy, jaka na nich stanie. Pani zapewne rachunek ten nie przeszkodzi, a choć nie znajdziesz tam ani rusałek, ani farysów, ale wdzięk nowości uderzy oko pani, a sama ta rozległość, gdzie niegdzie niezmierzona okiem, i obfitość płodów, które także nie łatwo zliczyć się dają, mają w sobie cóś rzeczywiście wielkiego. Natura jest inną od tutejszéj, mogę panią upewnić. Ja mówiłem tylko o towarzystwie naszém, które jest takie same jak tutejsze, jak wszystkie Europejskie towarzystwa, oprócz angielskiego, które samo tylko zachowało swój charakter i wyrobiło się z własnych swych pierwiastków.

— Pan musisz lubić Angliją i wszystko co angielskie — rzekła panna Jadwiga, patrząc mu w oczy.

— Wychowywał mię z dzieciństwa Anglik — odpowiedział pan Konstanty — człowiek rozumny i kochający namiętnie wszystko to, co wyrosło i urobiło się w jego ojczyznie. Nie dziw więc, że wiele rzeczy, które szczęśliwy kraj ten posiada,

które wymyślił i wykonał, bardzo wysoko cenię. Starałem się nawet urządzić mieszkanie moje na wzór angielski i widzę, że mi tak nie źle; sprowadziłem kilka machin, ułatwiających zajęcia gospodarskie, i przekonałem się, jak i niektórzy z sąsiadów moich przekonali się, żeby to było dobrze, gdybyśmy naśladowali tę przemyślną, a razem tak praktyczną biegłość tego ludu, który dziś stoi najwyżéj w Europie i rozumem i zamożnością.

— Możeby było lepiéj — rzekła panna Jadwiga — gdybyśmy naśladowali Anglików w ich miłości tego wszystkiego, co ich własne, co do swéj myśli i zwyczajów swoich, tak dla nich szanownych i świętych, zastosować i wydoskonalić umieją. Ale my nie mamy żadnéj ufności, żadnéj wiary w nas samych, i natura nasza jest tak miękką, że wszelka obca forma wybija się na niéj z łatwością i zostawia swoje piętno. I nie tylko myśl nasza i mowa ma tę własność bierną, ale nawet nasze ciało, rysy i fizyonomija. Towarzystwo nasze nie różni się niczém od paryzkiego, ani strojem, ani obyczajem, ani nawet mową, co jest dla mnie rzecz najbardziéj ra-

żąca. My wszystkie kobiéty jesteśmy najzupełniejszemi francuzkami, a co gorsza lubimy uchodzić za takie; panowie, wychowani przez cudzoziemców lub za granicą, przybiéracie nie tylko formy obce, ale tak dalece przekształcają się wasze postaci i twarze, że łatwo poznać, gdzie który z was wyrósł, czy w Paryżu, czy w Londynie, czy w Petersburgu. Znajdujesz-że to pan dobrém, i przynoszącém nam zaszczyt lub użytek?

— Przesadę znajduję złą i umyślne zakrywanie swojéj własnéj natury przez jakąś źle zrozumianą próżność znajduję niedorzeczną, a nawet występną— odpowiedział pan Konstanty, a uśmiéchnąwszy się, bo czuł, że mówi we własnéj obronie, dodał:— Ale mimowolne przyjęcie obcych form dowodzi tylko téj giętkości natury naszéj, którą pani z taką trafnością postrzegłaś. Jest ono często śmieszném, ale nie sądzę je być grzechem, jeżeli rodzimego nasienia nie przygłusza. W tém miejscu przepraszam panią, że jéj jedno zrobię zapytanie. Jeżeliś pani na mnie zwrócić raczyła uwagę, gdym się tu w salonach Warszawskich pokazał, za kogo mię pani wzięłaś?

— Wzięłam pana za Anglika— odpowiedziała z uśmiechem panna Jadwiga— i nie tylko ja, ale wszyscy ci, co pana nie znali.

— Otoż mogę panią upewnić— mówił daléj pan Konstanty, patrząc jéj śmiało w oczy— że o tém wcale nie myślę, abym za Anglika uchodził, że napatrzenie się i ośmioletni ciągły pobyt z człowiekiem, któregom szacował i kochał, dał mi ten pozór, który wielu nie znających mię zwodzi. Ale chociaż cenię wysoko rozum i przemysł tego kraju, i lubię wszystko to, co ztamtąd pochodzi, możesz mi pani wierzyć, że nikt więcéj i serdeczniéj odemnie nie kocha téj ziemi, na któréj urodziłem się, i tego języka, którym, jakto pani uważasz, mówię tak dobrze jak i pani, co jest wiele, i równie jak pani z żadnym Polakiem inaczéj nie mówię, o czém już słyszałem, i co jest jednym z powodów téj czci, jaką dla pani powziąłem.

Panna Jadwiga zarumieniła się mocno, a pragnąc zmienić przedmiot téj rozmowy, któréj tym sposobem urwać nie chciała, zapytała go jak długo jeszcze zabawi w Warszawie.

— Zapewne z parę jeszcze tygodni— odpowie-

dział pan Konstanty — czekam na list mojéj matki, bawiącéj obecnie w Paryżu z moją siostrą, po którego odebraniu udam się za granicę. Zapewne mi pani tego nie weźmiesz za złe — dodał uśmiechając się — że jadąc po raz piérwszy, jadę z wielką ciekawością, że wyobrażam sobie bardzo wiele, że cieszę się prawdziwie, iż z Paryża łatwo mi będzie odwiedzić Angliją, którą znam bardzo dobrze, ale tylko z opowiadania, tylko z książek, a która jak sądzę, w naturze przejdzie jeszcze moje oczekiwanie.

— Winszuję panu — rzekła panna Jadwiga — i bardzo będę rada, jeżeli się pan nie zawiedziesz. Złudzenia należą do kwiatów życia, i często, równie jak kwiaty schną i opadają za dotknięciem. Spodziewam się, że pan zechcesz poznać się z moim bratem, który także jest w Paryżu.

— Możesz pani być pewną, że to będzie najpiérwsza znajomość, jaką tam zrobię — rzekł pan Konstanty kłaniając się. Panna Jadwiga spójrzała na niego uprzejmie, i oddalając się kiwnęła mu głową i dodała:

— Sądzę, że przed odjazdem pana, będę jeszcze miała sposobność więcéj panu powiedzieć o moim bracie i polecić go przyjaźni pańskiéj!

Kasztelanowa uważała to dobrze, że P. Jadwiga zbliżyła się sama do młodego człowieka, który się jéj teraz bardzo interesującym wydał, że zaczęła z nim rozmowę, że ta rozmowa musiała córkę jéj zająć, kiedy się tak długo przeciąga. Ucieszyło ją to bardzo i kombinując wszystkie okoliczności, wpadła na myśl, że P. Konstanty, młody, przystojny, bogaty, mający tak poważną minę i wyraz, wprawdzie trochę zimny, ale rozumny, potrafi skłonić dla siebie jéj córkę, tak trudną w wyborze, jeżeli tylko zechce i będzie miał częstszą sposobność widywać ją i z nią rozmawiać. Wtedy to ułożyła sobie plan owego podwójnego związku z rodziną Zaworskich, który przeprowadzić postanowiła. A chociaż dawność rodu nie wiele za niemi przemawiała, ale w takim razie panie nasze wchodzą łatwo w układy ze swém arystokratyczném sumieniem, jeżeli w rodzinie są tytuły, chociaż świéże, a nadewszystko jeżeli wielkie dobra, a do tego na Ukrainie, kompensują brak pergaminów i pieczęci, które wychodziły z kancellaryi Wazów i Sasów. W téj myśli, skoro się P. Jadwiga od P. Konstantego usunęła, zbliżyła się do niego sama, krótką, ale pełną uprzejmości zaszczy-

ciła go rozmową, i w niedzielę zaprosiła go na obiad.

P. Konstanty, który, jak widzieliśmy z tego wyznania wiary, jakie zrobił, miał w gruncie serce, umiejące ocenić takie wdzięki, jakie go uderzyły od razu, i takie usposobienie, jakie z powyższéj rozmowy poznał, rozmarzył się więcéj niżby sam mógł się spodziewać, i nie z angielską wcale, ale z prawdziwie szlachecką niecierpliwością niedzieli oczekiwał. Przyjęty przez kasztelana, którego żona do sekretu planów swych przypuściła, z tą serdeczną gościnnością, jaką zacny ten ale słaby człowiek okazywał wszystkim, dla których żona jego była uprzejmą, posadzony przy stole między matką i córką, postrzegł, że zabiegi jego mogą nie być daremnemi. A gdy się przekonał, że P. Jadwiga nie tylko nie zbywa go półgębkiem i miną seryo, jak to czyniła czasem względem innych, ale owszem okazuje mu wiele względności, mówi z nim chętnie, i sama z téj zamkniętéj piersi, jakby z bogatéj skrzyni, wydobywa skarby mysli i uczuć, które w niéj rzeczywiście były, powiedział sobie w duszy, że ją naprawdę pokocha i że wszelkich użyje starań, aby szczęście tak wielkie, jakiém

by mogło być posiadanie serca takiéj kobiety, stało się jego udziałem. Te myśli utwierdzały się w nim i w czasie następnych wizyt w domu kasztelanowéj, i zajęcie jego wzrosło tém silniéj, że było piérwszym, że to nie był człowiek, któryby przed lada ołtarzykiem ukląkł, że przedmiot téj czci, jaką w sercu swém poczuwał, był rzeczywiście niepospolitym, i godnym ze wszech miar hołdu i miłości człowieka z sercem i głową.

Ale, chociaż ten stosunek wzajemnego szacunku, a nawet pewnéj zażyłości utrwalił się przez te kilka niedziel, które jeszcze P. Konstanty bawił w Warszawie, nie było ani ze strony kasztelanowéj żadnego awansu, któryby wyraźniéj plany jéj zdradził, ani ze strony P. Jadwigi żadnego znaku jakiegoś zajęcia, przechodzącego miarę zwyczajnéj towarzyskiéj życzliwości, ani ze strony P. Konstantego żadnego śmielszego kroku, któryby go jawnie na liście starających się postawił. Kasztalanowę wstrzymywała ta okoliczność, że nie znała matki i córki, i nie wiedziała jeszcze, czy będzie mogła zezwolić na związek Stasia z P. Teodorą; P. Jadwiga zbliżyła się do niego jedynie w interesie brata, a poznawszy go bliżéj, zajęła

się tém, że nie był takim jak inni, że pod tą pokrywką cudzoziemską znalazł się szczéry Polak, a pod pozorem zimnym i ułożonym, serce pełne szlachetnych uczuć i głowa z myślą jasną i gruntowną. A chociaż może dostrzegła, co się w sercu jego dzieje, bo któraż kobiéta nie przeniknie od razu téj tajemnicy, nawet najzręczniéj ukrywającéj się, udawała jednak, że nic nie widzi, i jaką była od najpierwszéj z nim rozmowy, taką samą zupełnie aż do jego wyjazdu. P. Konstanty znowu, chociaż czuł, że P. Jadwiga jest jedyną kobiétą, która mogłaby mu dać szczęście, chociaż przekonywał się, że mu codzień staje się milszą, że obraz jéj w jego głowie zajmuje całkiem miejsce tych wszystkich machin, tych ulepszeń gospodarskich i planów przemysłowych, o których dawniéj wyłącznie marzył, nie znając jednak myśli i postanowienia matki swéj, bez któréj woli nic przedsiębrać nie chciał, nie wiedząc jakim jest Staś, czy się z nim zejdzie, czy wszystkie te relacye, jakie matce zawiezie, los siostry jego zdecydują, odłożył do powrótu swego z zagranicy jawniejsze odkrycie swych zmiarów i uczuć; w konferencyach swych tylko z P. Jadwigą ożywiał się czasem,

stawał się rozmówniejszym, i że tak powiem, połaczał widomiéj. Ale w obec świata, na który uczęszczali, tak był jednostajnie z angielska wyprostowanym, tak szczelnie zapinał pierś swoją, że nikomu nawet do głowy nie przyszło, aby mu się heroina nasza lub inna jaka panna podobała, aby którakolwiek z Warszawianek obaczyła kiedy z jego łaski owe ukraińskie łany, o których szczerozłotych kłosach wszystkie tak bajeczne wówczas miały wyobrażenie.

W takiém usposobieniu byli wszyscy, gdy P. Konstanty w piérwszéj połowie postu Warszawę opuścił i do Paryża pojechał. Tam zastał wszystko w takiém położeniu, jak tylko mógł pragnąć. P. Zaworska, odebrawszy od niego piérwszy list z Warszawy, w którym skreślił jéj najpochlebniejszy obraz rodziny Stasia, postanowiwszy nie tamować rozwijających się coraz bardziéj uczuć córki, zmianą toalety wyprowadziła ją nagle z małoletności i postępowaniem swojém względem zakochanego młodzieńca okazała jawnie, że oświadczenie jego przyjmie, byle je zrobił. Gdy więc P. Konstanty przywiózł Stasiowi list matki, w którym mu wyraziła, że chociaż bez osobistego poznania panny

stanowczego nie może dać zezwolenia, ale ponieważ wszystkie zewnętrzne okoliczności składają się stosownie do jego życzeń, a wychowanie i ułożenie brata daje rękojmią, że i siostra równie się jéj podoba, nie wzbrania mu mieć nadziei; upomina go tylko aby się ostatecznie nie zobowiązywał, ale aby skłonił panią Zaworskę do skierowania powrótu swego na Warszawę, gdzieby mogły się osobiście poznać i stanowczo o przyszłém szczęściu dzieci swych pomówić. Łatwo więc sobie wyobrazić, jak serdecznie przyjął P. Konstantego, który tak dobréj wieści był posłem. Przylgnął on do niego z całym zapałem, a chociaż tak różny w usposobieniu, stał się jego nieodstępnym towarzyszem. P. Konstanty ze swojéj strony miał także ważny powód szukać przyjaźni Stasia; a choć także widział, jak różnym jest od swéj siostry, jak daleko od niéj niższym, nie zważał na jego dość płytką głowę, na jego dość harde myśli i zbyt arystokratyczne zasady, ale patrząc na jego przymioty przez pryzmat miłości, jaką miał dla P. Jadwigi, widząc, że Teosia najserdeczniéj się do niego przywiązała, udarował go swoją przyjaźnią, postanowił moderować jego żywość

swoją zimną krwią, zwrócić jego uwagę na takie rzeczy w Paryżu, na które dotąd patrzéć nie chciał, a nawet zabrać go z sobą do Anglii, i tam okazać mu całą wartość rozumu, nauki i ich zastosowania do życia. Słowem, wziąwszy od razu górę nad młodzieńcem, który z pańskiéj tylko strony zapatrywał się na świat, myślał podnieść go niejako do siebie i mieć w nim gorliwego i oddanego sobie patrona.

Takim sposobem zawiązał się pomiędzy młodymi ludźmi pakt ścisłéj koalicyi i ufności zupełnéj. Staś zaklął go, aby się opiekował jego serdecznym interesem, pokazał mu list matki i błagał, aby objawił pani Zaworskiéj, jaki jest powód, że się formalnie nie oświadcza, oraz aby ją skłonił, żeby koniecznie na Warszawę wracała. Nawzajem P. Konstanty wyznał przed Stasiem, jakie wrażenie na nim panna Jadwiga zrobiła, jak mu się zdaje, że była dla niego łaskawszą, niż dla innych młodych mężczyzn, którzy się starali do niéj zbliżyć, a gorący młodzieniec przysiągł P. Konstantemu, że murem stanie w jego sprawie, że niemal pewnym jest, że matkę, która go najmocniéj kocha, będą mieli za sobą, a jak skoro

zjednają sobie jéj przyzwolenie, mogą być pewni skutku.

Wszystkie te umowy robiły się bez wiedzy Eugeniusza, którego Staś prawie zupełnie od poufałości i ufności swéj usunął. Był on dla niego grzecznym, nie robił mu żadnych wymówek, ani z powodu powołania Ignasia, ani z powodu téj łaski, jakiéj Eugeniusz ciągle od rodziców jego doświadczał; ale Eugeniusz widział to dobrze, że nie ma w nim przyjaciela, że wyższość jego pod każdym względem cięży mu i rzuca na niego cień, z pod którego hardy młodzieniec radby się jak najprędzéj wysunąć. Życie więc bohatera naszego nie było bez kolców, i tylko praca, przyjaźń ks. Augustyna, wdzięczność serdeczna dla kasztelana, a nadewszystko obraz P. Jadwigi, ozłacały te kajdany zawisłości, które coraz mocniéj uczuwał. Nie prędko nawet Staś zezwolił na to, aby się z P. Zaworską poznał. Zazdrościł on mu wszelkiego powodzenia, czuł się od niego niższym, bał się, aby Eugeniusz swym powabem zewnętrznym, swym rozumem, i tym poetycznym wyrazem, który rozlany był w całéj jego postaci, nie oczarował matki lub córki. Dopiero, gdy P. Zawor-

ska, spotkawszy ich parę razy razem na bulwarach, ujęta powierzchownością i odezwaniem się Eugeniusza, dowiedziała się, że to jest towarzysz Stasia, z którym się wychował, i wyraźnie zażądała, aby jéj był zaprezentowanym, przyprowadził go Staś i w domu jéj zarekomendował. P. Konstanty prędko ocenił przymioty i usposobienie bohatera naszego, lubił z nim rozmawiać, rozgrzéwał się nieraz i tajał przy tym żarze wewnętrznym, jakiego serce Eugeniusza było pełne; ale nigdy pomiędzy nimi nie przyszło do takiéj poufałości, żeby go przypuścił do owych serdecznych zwierzeń, jakie oba przyszli bracia nawzajem sobie czynili. Chociaż więc Eugeniusz wiedział o miłości kolegi dla P. Teodory, często o tém z nim i z ks. Augustynem rozmawiał, aprobował ten wybór i cieszył się, że matka prawie zezwala, chociaż dla P. Konstantego szczery powziął szacunek, nigdy jednak żadnéj wzmianki nie słyszał o jego skłonności dla P. Jadwigi; sam zaś nie domyślił się wcale, że z tym zimnym wprawdzie, ale pełnym zalet Ukraińcem zeszli się w tém samém uczuciu, że taka komplikacya interesów, że taka potęga, nie tyle rodu, jak majątku, dźwiga tę ścianę, co

między nim a jego najdroższemi nadziejami urość miała.

Przy końcu czerwca tegoż roku, pan Konstanty powrócił ze Stasiem z Anglii, gdzie mu doskonała znajomość języka i mina zupełnie angielska zjednała uprzejmość wszystkich przedsiębierców, i otworzyła drzwi wszystkich zakładów, które widzieć pragnął, gdzie tą olbrzymią siłą, jaką daje zespolenie kapitałów, uderzony był do tego stopnia, że prawie o pannie Jadwidze zapomniał. Wkrótce po powrócie swym skłonił on matkę do opuszczenia Paryża, i sam jéj w téj podróży do domu, skierowanéj na Warszawę, towarzyszył. Staś został jeszcze we Francyi, na wyraźny rozkaz matki. Chciała ona widać mieć ręce rozwiązane, chciała sądzić panienkę, którą za córkę przybrać miała, nie pod wpływem próśb i nalegań syna, i w rzeczy tak ważnéj nie stanowić nic z pospiechem, do jakiego zakochani i sami są tak skłonni, i zwykle rodziców swych prowadzą. Gdy panna Zaworska z córką i synem przybyła do Warszawy, już tam zastała całą rodzinę kasztelana, która na jéj spotkanie, pod pozorem jarmarku wełnianego z Zabuża przybyła.

Stara elegantka, przybrana w najświeższe paryskie stroje, wypiętrzona w kunsztowe falbany, upstrzona w różnokolorowe wstęgi, wydziurkowana drogiemi koronkami, zmieszała się cokolwiek, stanąwszy w tym salonie, okazałym sztuką i gustem, ale nie rażącym żadną przesadą, obaczywszy przed sobą kobietę słuszną, poważną, po prosto ubraną, ale każdym ruchem i słowem okazującą, że to prawdziwa wielka pani, która nie na świecidłach i fraszkach zasadza wyższy ton i prawa swe do pierwszeństwa i szacunku. Kasztelanowa na piérwszy rzut oka zasmuciła się cokolwiek, przypomniała sobie słowa księdza Augustyna i powiedziała sobie w duchu, że to postać trochę śmieszna, z którą sympatyzować nie będzie. Ale szczęściem dla Stasia, panna Teodora podobała się jéj, ujęła ją i zniewoliła odrazu jéj serce. Znając już doskonale jaką jest kasztelanowa z rozmów swych z kochankiem, mimo wszelkich nalegań matki, ubrała się na tę piérwszą wizytę niezmiernie skromnie, patrzyła ze czcią i drżeniem w surową twarz téj pani, od któréj szczęście jéj zależało, a przystąpiwszy do niéj, mimowoli przejęta pokorą dziecka, uchyliła przed nią

głowę, i ująwszy podaną sobie rękę, całowała ją z takiém uczuciem, że pannie Jadwidze łzy stanęły w oczach, a kasztelanowa wzruszona utuliła ją w swém objęciu. Pan Konstanty, obecny temu przywitaniu ucieszył się niezmiernie, choć naturalnie radości téj nie objawił; a gdy po niejakim czasie kasztelanowa postrzegła, że panna Jadwiga wziąwszy pod swą opiekę śliczną i lgnącą do niéj panienkę, zdawała się z niéj kontentą i cieszyła się jéj szczebiotaniem; gdy w rozmowie swéj z panią Zaworską przekonała się, że pod tym pstrym pozorem jest najlepsze serce, troskliwość prawdziwie macierzyńska, dość ukształcony rozum i szczere przywiązanie do Stasia; że ta chęć strojenia się jest tylko słabostką niegdyś ładnéj kobiéty i trochę prowincyonalną zdrożnością, która jednak gruntownych przymiotów nic przygłuszyła, pobłażliwiéj zaczęła patrzeć na tę wadę, co ją tak na wstępie zraziła i postanowiwszy nie przeciwić się szczęściu syna, umyśliła przyciągnąć jeszcze więcéj ku sobie pana Konstantego, aby podwójnym związkiem połączyć się z tą rodziną, która pod wszelkiemi względami odpowiadała jéj widokom i macierzyńskiéj troskli-

wości. Takim sposobem ta przepaść, która biednego Eugeniusza i tak oddzielała od téj, którą z takiém ubóstwieniem czcił i kochał, rozwarła się jeszcze i rozpadła się do niedojrzanéj okiem głębi. Rozkopał ją jeszcze mocniéj i sam kasztelan, który sobie pana Konstantego niezmiernie upodobał. Im odmienniejszém było ich ukształcenie, tém więcéj znajdowali powabu w udzielaniu sobie swoich widoków; co łatwo pojąć, bo grunt poczciwy i miłość kraju była taż sama, a różne tylko drogi, na jakich ten i ów chciałby dążyć do podniesienia go w ozdobie, zamożności i dobrym bycie. Mieli więc między sobą niewyczerpany przedmiot rozmowy, do któréj najczęściéj mięszała się i panna Jadwiga, trzymająca stronę ojca, i podniecała tym sposobem ożywienie młodego człowieka, który w oku jéj i twarzy czerpiąc niejako natchnienie, odmykał te zasoby umysłowe, jakie w głowie swej tail, a które przez tę krótką wprawdzie, ale rozumną podróż, znacznie jeszcze powiększył.

Po trzech tygodniach pobytu pani Zaworskiej w Warszawie, przez który to czas obiegła wszyst-

kie celniejsze magazyny, nakupiła jeszcze wiele rzeczy, i przekonała się, że gdy przyjdzie do wyprawy, będzie ją mogła równie dobrze uskutecznić tu, jak za granicą, obie rodziny rozjechały się. Co do połączenia Stasia z Teosią, to stanęło jawnie, z oznaczeniem znacznego posagu, z przystaniem kasztelana i jego żony, a raczéj kasztelanowéj i jéj męża, na ten warunek, że młodzi małżonkowie przez kilka początkowych lat mieszkać będą na Ukrainie, aby córka była bliżéj matki. Zgodzono się także i na to, że na początku karnawału pani Zaworska z dziećmi swemi zjedzie do Warszawy, gdzie w tém, czego nie dostarczy Odessa, dopełni się wyprawa Teosi, i gdzie się odbędzie ślub w obecności całéj znakomitéj rodziny kasztelanowéj, która na ten akt zaproszoną zostanie. Co do związku pana Konstantego z panną Jadwigą, o tém otwartéj nie było mowy. Ostróżny ten i niewylewający się płocho młodzieniec, chociaż widział uprzejmość, szacunek, a nawet pewien rodzaj życzliwości ze strony panny Jadwigi, postrzegał wszakże, że wiele razy dał jéj poznać, jak go interesuje, urywała lub zmieniała rozmowę, i przybierała wyraz tak poważny,

tak zakazujący wszelkie wynurzenie się, jak gdyby ją każdy taki objaw bolał, a przynajmniéj zasmucał. Niechcąc bowiem robić jéj téj przykrości i narażać na niepewne tak drogi sercu jego interes, wiedząc oraz, że wszystko zależy od matki, otworzył jéj w sekrecie swoje serce, odkrył swoje intencye i o łaskę jéj, przyzwolenie, i protekcyą u męża i córki prosił. Kasztelanowa przyjęła to oświadczenie bardzo uprzejmie, upewniła go, że ze strony męża, który go tak wysoko ceni, a nawet kocha, nie będzie miał żadnéj przeszkody; co się zaś tycze córki, radziła odłożyć propozycyą do dalszego czasu, nim ją lepiéj wyrozumie i przekona się, że przeciwną nie będzie. Obiecała mu wpływać na serce panny Jadwigi przychylnie, ale w obecnéj chwili nie mogąc jeszcze zaręczyć za skutek, nie chciała ani nadużywać swéj powagi macierzyńskiéj, ani jéj kompromitować, gdyby się pokazało, że ten szacunek i życzliwość, jakie córka jego rzeczywiście dla niego ma, dalekie są jeszcze od tego przywiązania, które ją jedynie do oddania ręki swéj skłoni. Pan Konstanty poprzestał na tém, a ubezpieczony tą nadzieją i niepozwoliwszy sobie żadnego kroku,

któryby téj instrukcyi był przeciwny, wraz z matką i siostrą odjechał.

W Zabużu, dokąd kasztelan z rodziną swą zaraz się udał, częsta była mowa o tych osobach, które ich teraz tak zblizka interesowały. Często więc słyszała panna Jadwiga z ust ojca i matki pochwały młodego człowieka, który na bliższém poznaniu tak niezmiernie zyskuje, co się rzadko komu zdarza i prawdziwéj wartości moralnéj dowodzi; często kasztelanowa napomykała, jak szczęśliwą może być rozumna kobiéta z takim mężem, który nie ma żadnego z tych narowów, jakie młodzież ówczesną kaziły; nigdy jednak nie przyszło między matką i córką do otwartszego w téj mierze porozumienia się, gdyż kasztelanowa widziała to bardzo dobrze, że panna Jadwiga, nie tając się z tą dobrą opinią, jaką miała o jego sercu, zasadach i ukształceniu, nie zdradziła żadnéj tęsknoty za nieobecnym, nigdy o nim sama rozmowy nie rozpoczęła i nie okazała żadnym, by najmniejszym znakiem, że przeniknęła stan jego serca i intencye rodziców swych zmiarkowała.

II.

Na początku listopada cały dwór kasztelana był znowu w Warszawie, i wszyscy z niecierpliwością, którą łatwo pojąć, wyglądali podróżnych naszych z Paryża. Jakoż w tydzień po przybyciu, gdy wszystko na przyjęcie ich było gotowe, gdy panna Jadwiga jakaś niespokojna i niemogąca sobie wytłómaczyć tego ściśnienia piersi, jakiego doznawała, wyszła po śniadaniu do swego pokoju, który się znajdował od dziedzińca, a kasztelan i jego żona, także już zaczynający się niepokoić, weszli do salonu, stanęli przy oknie i rozmawiali o synu swym, o księdzu Augustynie i o Eugeniuszu, zagrała trąbka pocztarska na ulicy i silny hurkot powozu nagle ucichł przed bramą.

I wtéjże chwili dał się słyszeć dzwonek w sieniach, w przedpokoju rozległy się znajome głosy, i wprzódy nim się oboje opamiętać i ruszyć naprzeciw zdołali, otwarły się z trzaskiem drzwi i Staś był już u nóg matki. Za nim wszedł ksiądz Augustyn i Eugeniusz. Gdy Staś schylił się potém do kolan ojca, i podniesiony przez niego wpadł w jego objęcia, gdy kasztelanowa ściskała rękę księdza Augustyna, a Eugeniusz stał z boku i czekając swojéj kolei, oglądał się za tą, któréj oblicze świeciło mu tyle czasu w czuwaniu i we snach, podniosła się z boku portiera i stanęła przed nim panna Jadwiga. Wzrok jéj padł najpierwéj na jego twarz piękną, męzką i opromienioną tém uczuciem, jakiego doznał, gdy ją obaczył. I w oczach jéj zabłysnęła dziwna radość, którą on tylko widział, i usta jéj wymówiły najpierwéj to słowo: Eugeniusz! które on tylko słyszał. Choć więc nie ruszył się z miejsca, bo nogi jego jakby przyrosły do kobierca, na którym stał, choć się nie odezwał i tchu w sobie nie czuł, ogarnął ją jednak duchem i wzrokiem, i uczuł całą wartość tego mgnienia, tego powitania, téj nieméj rozmowy, która mu lata całe męczarni i tęsknoty sto-

krotnie opłaciła. Gdy panna Jadwiga rzuciła się w objęcie Stasia, gdy się sobie wzajem przypatrywali, gdy witała księdza Augustyna, wtedy Eugeniusz przystąpił do kasztelana, który go przycisnął do swéj piersi z uczuciem prawdziwie ojcowskiém i zbliżywszy się do kasztelanowéj, wziął podaną sobie rękę, i z wyrazem serdecznéj wdzięczności i uszanowania do ust ją przytulił.

Kasztelanowa przypatrywała mu się z widoczném zajęciem, i z uśmiechem dobroci, którą jéj ta chwila szczęścia natchnęła, rzekła:

— Czyś tylko zmężniał Eugeniuszu, czyś nawet urosł, ale dziwnie mi się jakoś wydajesz starszym, niż byłeś.

— Z łaski waszéj, drodzy państwo—rzekł Eugeniusz—widziałem tyle, doświadczyłem tak dużo, myśl moja przeszła przez tak wiele obrazów życia, jego prac i zabiegów, jego szczęścia i niedoli, że rzeczywiście stałem się bez porównania starszym niż byłem.

— Bardzo nas to cieszy—rzekła kasztelanowa—żeś korzystał. Mamy nadzieję, że ci to wyjdzie na dobre. Myśleliśmy już i o dalszéj twojéj karyerze.

— W wolniejszéj chwili, kochany Eugeniuszu, pomówimy o tym projekcie, który się zapewne uda—dodał kasztelan i wyciągnął rękę, którą on z uczuciem ucałował.

Po pewnéj przerwie, gdy rodzice znowu zajęli się synem, panna Jadwiga przybliżyła się do Eugeniusza i rzekła mu:

— Nie mogłam jeszcze serdeczném słówkiem powitać cię Eugeniuszu!—a gdy młody człowiek patrzył jéj w oczy i nie mógł się zdobyć na odpowiedź, dodała:—wiém, żeś użył dobrze tego czasu, przez który nie widzieliśmy się.

— Mógłżem nie myśléć o tém upomnieniu, które mi pani dałaś przy pożegnaniu—odpowiedział Eugeniusz drżącym głosem.

— Więc pamiętałeś o tém—rzekła rumieniąc się nieznacznie.

— Tę zbawienną radę—dodał ciszéj—przypominał mi ciągle drogi ów talizman, który mi brat mój przysłał, a który na piersiach mych noszę jako świętość.

— Czy ci ten talizman nic więcéj nie przypomniał?—zapytała patrząc mu w oczy.

— Przypomniał mi także i tę obietnicę, jakąm

wówczas otrzymał—odpowiedział uszczęśliwiony młodzieniec.

—Dzieci tylko zmieniają się, Eugeniuszu!—rzekła wówczas prędko — i zarumieniona odwróciła się do zbliżającego się do nich księdza Augustyna.

Nie mógł Eugeniusz nie powiedzieć sobie w duszy, że to jest najpiękniejsza chwila jego życia, że wyższego i czystszego szczęścia, jakiego doznał od wejścia jej do tego pokoju, gdzie zewsząd zlało się na niego tyle życzliwości jéj rodziców, tyle znaków jéj przywiązania, a może i miłości, doznać już niepodobna, i on go zapewne nie dozna. To też w głębi jego piersi odezwał się jakiś głos ostrzegający, rozlał się po niéj jakiś smutek głęboki i rzewny, który się objawił na jego twarzy, i podniósł jeszcze jéj piękność tym wyrazem melancholicznym, odbijającym dziwnie przy ogólnéj radości rodziny, która po długiém niewidzeniu zebrawszy się w ciasne kółko, komunikowała sobie wszystkie plany i projekta, które jéj przyszłość tak blizko interesowały. Długo Eugeniusz patrzył z daleka na miłą twarz kasztelana, na poważne lice jego żony, na cudną postać panny Jadwigi,

któréj wejrzenie padało kiedy niekiedy i na niego i mignęło mu, jak gwiazda przelatująca firmament, na Stasia, który najwięcéj okazywał uszczęśliwienia, że spełnienie życzeń jego było już tak bliskiém. Bolesna myśl, że mimo tych oznak serca, które przeszły nawet jego oczekiwanie, będzie tu zawsze oderwaném tylko ogniwem, i nie spoi się z tym łańcuchem, do którego go wszystkie siły serca i głowy ciągnęły, stanęła przed jego okiem, zachodzącém łzą, jak chmura zakrywająca ten horyzont, jaki mu jéj pierwsze spójrzenie i jéj słowa ukazały.

To osamotnienie, jakie wówczas uczuł, przypomniało mu Ignasia. Zostawił więc zajętych sobą, i wymknąwszy się poszedł na Freta ulicę do warsztatu brata, którego adres dobrze mu był znajomy. Był on szczęśliwym i nieszczęśliwym razem, i pomieszanie to uczuć tak przeciwnych, dało twarzy jego ten wyraz nieopisany, ten wdzięk dziwny, jaki ma atmosfera w téj chwili, kiedy przez ciepły deszcz przebijają się słońca promienie, kiedy tyle tęcz schyla się ku odświeżonéj i parującéj ziemi, ile kropel z nieba zsuwa się widocznie i osiada na listkach i kwiatach. To też wszyscy prze-

chodzący oglądali się za tym tak dziwnie, tak jakoś nie po warszawsku pięknym mężczyzną; a gdy wszedł do warsztatu, gdy stanął przy drzwiach i spójrzał na tę izbę wielką, zarzuconą deskami i wiórami, zastawioną stołami roboczemi, wszyscy, którzy przy nich pracowali, podnieśli na niego wzrok i przypatrywali się temu panu, który widocznie nie przyszedł po żaden obstalunek, ale poglądał na nich z jakiémściś zajęciem, które zdawało się pochodzić z serca.

Po niejakim dopiéro czasie Eugeniusz był w stanie zapytać najbliższego czeladnika, czy jest pomiędzy nimi Ignacy Zabużski. Czeladnik ukazał mu go z daleka i zawołał:

— Panie Ignacy! ktoś tu się o pana pyta.

Ignaś był wówczas przy stole snycerza, gdzie mu tłómaczył, jak ma według jego rysunku wyrobić rozmaite ozdoby, które mu potrzebne były do sztuki czeladniczéj, którą właśnie wykończał. Podniósł on głowę, obejrzał się i uderzony postawą, pięknością i wyrazem twarzy mężczyzny, który na niego jakby ze wzruszeniem patrzył, tknięty jakiémś przeczuciem, ożywiony wspomnie-

niem rysów, w których cośkolwiek z dawniejszego zostało, wiedząc wreszcie, że to był czas, w którym Eugeniusz miał przybyć, rzucił papier i śpiesznie przystąpił. Ignaś porządniéj był ubrany od innych czeladników, koszula jego była cieńsza i czysta, fartuch cały i niepoplamiony, a choć miał zakasane rękawy i był bez chustki, jak i wszyscy, w twarzy jego jednak ładnéj i męzkiéj, na czole białém i myślącém widać było więcéj ukształcenia, i wszystko pokazywało, że to był raczéj rzemieślnik amator, a nie prosty czeladnik, który tylko w warsztacie jest do czegoś przydatnym, a gdzieindziéj nie umiałby sobie na kawałek chleba zarobić. Gdy się Ignaś zbliżył do Eugeniusza i w oczach jego obaczył łzy, a pod pięknym wąsem ów uśmiech serdeczny, który mu przypomniał Hrubieszów, Sawin i dóm ojcowski i wszystkie uciechy dziecinnego wieku, zawołał rozrzewniony i wyciągając do niego ręce:

— Tyś Eugeniusz, albo to sen tylko!

— Ja, Ignasiu mój serdeczny — odpowiedział młody człowiek, i oba bracia rzucili się sobie w objęcia, i w téjże chwili wszystkie hyble spoczęły, wszystkie piły ucichły, uroczyste milczenie

zajęło warsztat, i oczy tych ludzi, z prostém sercem, ze zdrowym, choć nieuczonym rozumem, wytężyły się na tych godnych siebie braci, i każdy uczuł w piersiach swych pewne wzruszenie i podniósł się sam w sobie, widząc że ten, który zdawał się panem, do łona swego tuli ich kolegę, okrytego roboczym fartuchem, i w dłoniach odzianych piękną rękawiczką, ściska rękę stwardniałą od narzędzi, które ich karmią i odziewają.

Gdy piérwsza chwila ich zobopólnego wzruszenia przeszła, gdy Ignaś obejrzał się na kolegów i wdzięczném wejrzeniem dziękował im za ich współczucie, które było jawne, przybliżył się do obu braci Adwentowicz, i w oczach jego była łza, która świadczyła, jakiém sercem patrzał na tę scenę, która się niespodziewanie w obecności całego warsztatu odbyła. Ignaś wziął jego rękę i obracając się do brata, rzekł:

— Eugeniuszu! to pan Adwentowicz, to mój najlepszy przyjaciel, to jest starszy tego miejsca pracy, gdziem doznał wiele życzliwości, gdzie długo jeszcze zostanę, jako kolega tych dobrych ludzi, z których każdy pomagał mi do nauki i ciężki mój trud życzliwością swą słodził. Podaj mu

rękę Eugeniuszu, bo to dłoń uczciwa i biegła, choć równie twarda jak moja.

Eugeniusz podał Adwentowiczowi obie ręce, który ściskając je mocno, rzekł:

— Panie Eugeniuszu! znam pana od dawna, bom z panem Ignacym nieraz wiele o panu mówił. Wiem, żeś wychował się i wyrósł pomiędzy panami, którzy z nami wtedy tylko mówią, kiedy im potrzeba stołu do uczty, albo trumny do odpoczynku. I to wiem także, żeś się pan bardzo zmartwił, że będziesz miał brata stolarza, który ciężką pracą zarabia na chleb i dostatek, jaki Pan Bóg panom daje darmo. Przyznam się nawet, żem się trochę gniewał na pana, i myślał sobie, żeś pan może nie wart takiego brata, jakiego masz i którego my tu wszyscy szacujemy i kochamy. Ale teraz miarkując jak go pan witasz, jak nie wstydzisz się jego fartucha, choć może masz na sobie paryzki surdut, widzę, żem się pomylił, i przepraszam pana za to, żem mógł sobie pomyślić, aby ten, którego pan Ignacy tak bardzo kochał, mógł gardzić nim i tymi, z którymi razem pracuje, i z którymi jeszcze nie jedną godzinę złą i dobrą przebędzie.

— O! pomyliłeś się panie Adwentowicz, pomyliłeś się bardzo — rzekł Eugeniusz.—Przykrość jakiéj doznałem, była chwilowa i zaraz minęła. Z tego, co mówisz, widzę serce pana poczciwe i zacne, widzę pomiędzy jakimi ludźmi brat mój żyje i pracuje. Nazywa on pana swoim najlepszym przyjacielem; bądźże i moim, a wy wszyscy, coście mu okazywali życzliwość, przyjmijcie moje podziękowanie, i pozwólcie, abym was w osobie waszego starszego uściskał i po bratersku ucałował.

To powiedziawszy, Eugeniusz głośno i dobitnie, wzruszonego Adwentowicza przyciągnął do siebie i wziął go w swe objęcia, a wszyscy czeladnicy poruszyli się na ten widok i w całym warsztacie powstał odgłos: Wyzwolić Zabużskiego i zaraz do ferglajchu, jak na to zasługuje!

— Dziękuję wam bracia!—rzekł Ignaś, i wyprosiwszy sobie na dziś uwolnienie z warsztatu, zrzucił fartuch, ubrał się prędko, i zaprowadził brata do swéj stancyjki, którą już miał oddzielną na tejże ulicy, maleńką, skromną, ale wygodną i schludną. Obadwa byli w usposobieniu pełném rzewności, która im przez znaczną chwilę nie po-

zwoliła przyjść do słowa i nie umiała znaleźć odpowiednéj do wyrażenia się formy. Gdy się już sobie dość napatrzyli, uściskali się raz jeszcze, i usiadłszy blizko siebie, wzięli się oba za ręce, wtedy zaczęła się rozmowa długa, rozmaita, przerywana pytaniami, słuchana na wzajem z serdecznem zajęciem. Nie da się ona uchwycić, nie da się powtórzyć i przeprowadzić tak, aby równie zająć mogła czytelników, jak zajmowała rozmawiających. Dla tego też nie porywamy się na to, czego dokonać nie potrafimy. Powiémy tylko, że tam było wszystko: były wspomnienia dzieciństwa, były wzmianki rozkosznych i ciężkich chwil, jakich doznali oba, jeden w domu kasztelana i w podróży, drugi w szkołach i w przebijaniu się swém przez ciżbę świata; były obrazy tych wszystkich osób, których rysy każdy z nich miał w sercu i w pamięci, które ich jakimkolwiek sposobem interesowały. Nie zapomnieli i o zwierzeniach się serdecznych, i kiedy jeden opisywał ze wzruszeniem swoją kuzynkę, od któréj nic go nie dzieli, tylko wzajemne ubóstwo, drugi ze czcią i miłością mówił o córce kasztelana, któréj wejrzenie i słowo daje mu tyle nadziei, a od któréj oddzie-

la go taki mur potężny, na którego przełamanie nie wystarczy mu zapewne ani sił ani sposobów. To ostatnie zasmuciło ich obu. Ignaś umilkł, bo nie chciał pocieszającém kłamstwem umacniać jego nadziei i zwodzić brata, a nie śmiał wejść na drogę perswazyi rozsądnéj i zimnéj, któréj nieskuteczność widział, a któraby go tylko na próżno zraniła. Eugeniusz powstał, przeszedł się parę razy po tym pokoiku małym i ubogim, i oglądając się na to wszystko, co tam było, stanął przed bratem, wziął jego rękę i z melancholicznym uśmiechem rzekł:

— Szczęśliwszyś odemnie Ignasiu! wszystko to, co tu masz, biedne i ubogie, ale twoje. Ręka twoja twarda, ale biegła. Umiesz i zechcesz do tego ziarnka, jakieś już zdobył, przydawać codzień nowe ziarnko, póki się nie zbierze miarka, która dla was obojga wystarczy. Potrzeba ci tylko trochę cierpliwości i trochę czasu, aby była pełna, bo Bóg postawił cię w takiém położeniu, że nie jest za wielka, że ją własną pracą i własnemi siłami zapełnić zdołasz. Miara, którą zapełnić bym musiał, żebym ich zaspokoił i zniewolił, ogromna i prawie bez dna. Żadna cierpliwość mi

nie pomoże, żaden czas pod strych jéj nie wyrówna. Przewidziałeś moje obecne położenie, i twoja studencka arytmetyka, pamiętasz, była prorockiém i filozoficzném słowem, którego wagi wówczas nie czułem.

Gdy Ignaś milczał, patrząc tylko na niego z wyrazem pełnym spółczucia, Eugeniusz potarł szerokie swe czoło, i dodał:

— Przyjęli mię życzliwie, serdecznie i prawie po rodzicielsku; ale zaraz na wstępie kasztelanowa dała mi poznać, że myśleli o dalszéj mojéj karyerze i postarają się, abym mógł mieć kawałek chleba. Mnie kawałek chleba nie wystarczy, ja potrzebuję wielkiéj fortuny, nie dla siebie, rozumiesz to dobrze, ale dla niéj, bez któréj nie ma dla mnie na świecie ani urzędu, ani godności, ani sławy, a tym bardziéj kawałka chleba, na którybym musiał pracować, jak ty pracujesz, lub inaczéj, przy stoliku biórowym lub literackim, kiedy do tego nie znajdę ani ręki, ani głowy, ani serca z takiém wytrwaniem i wolą, jaką ciebie Bóg uposażył. Mojaż to wina, żem się tak urodził i wychował? Ręce moje przyuczyły się brać tylko gotowe, głowa umie bujać wysoko, ale wte-

dy, kiedy może bujać swobodnie, serce umie ją kochać, i w niéj tylko z mocną wolą i żelaznem wytrwaniem potrafi kochać to wszystko, co dobre i szlachetne. Ale jeżeli co do potrzeb moich zostawiony zostanę własnéj sile, jeżeli dla tego nieszczęśliwego kawałka chleba przykują mię do jakiéj pracy, jednostajnéj, niewolniczéj, pługowéj, jeżeli mi jeszcze odbiorą to światło, co mię dziś oświeca i tę duszę, co mię ożywia, nie wiém doprawdy, co się ze mną stanie i co mię czeka. Teraz nie dziwisz się, drogi Ignasiu—dodał kładąc rękę na ramieniu brata, w którego oczach łzy się zakręciły—żeś nie znalazł radości na mojém czole, chociaż ona obdarzyła mię wyższą łaską niżelim mógł nawet marzyć, chociaż w oku jéj wyczytałem, żem zastał to, com zostawił, a usta jéj powiedziały mi to wyraźnie, że dzieci tylko zapominają. Pomimo to wszystko, czuję w głębi duszy, że mi lepiéj było, gdy nas trzysta mil rozdzielało, niż tu, gdzie co dzień, co chwila będę ją mógł widzieć i pragnąć szczęścia, które nie może być mojém. Tam imaginacya uprzątała wszystkie trudności, tam stawał na moje zawołanie Bóg własnéj mojéj kreacyi, który

mię robił panem i wprowadzał mię wraz z nią do pałacu, jakiego im potrzeba, ustrojonego tak, że nam z radością błogosławili. Tu próżno bym wołał, nikt się nie zjawi, nikt mi nic nie da, czego sam nie zdobędę, a jakże zdobędę krociową fortunę, bez któréj niéma dla mnie zbawienia, ja, który nawet na kawałek chleba zarobić nie potrafię, co gorsza, choćbym potrafił, może nie zechcę.

I to powiedziawszy, biedny Eugeniusz usiadł, zakrył twarz gorącemi dłoniami i płakać zaczął. Ignaś przystąpił do niego, utulił głowę jego na swych piersiach, a gdy się uspokoił, rzekł seryo i zmuszając się do zimnéj krwi, któréj nie miał.

— Uspokój się, drogi Eugeniuszu. Stan twój byłby bardzo smutnym, gdyby to była prawda, co o sobie mówisz. Dotąd wyprobowałeś tylko swoje skrzydła i wiész, że silne są i mogą cię trzymać nad ziemią. Po ziemi jeszcze nie chodziłeś prawie, i dla tego ci się zdaje, że tylko latać umiesz. Rzeczywistość twardą jest i nieubłaganą, to prawda; ścieżki, po których każdego z nas iść zmusza, ostre są i kaleczą nieprzywykłe do nich nogi; ale konieczność to wielka lekarka,

kochany bracie! Pogoi ona prędko te rany, które ci da nieprzyzwyczajenie, wskrzesi w tobie siły, o których bytności zwątpiłeś i oswoi cię z tym musem, który w końcu stanie ci się miłym i pożądanym. Że ci żal będzie tego poetycznego świata, w którym wszystko tak piękne i łatwe, o tém nie wątpię; że wyrzeczenie się szczęścia, które ci obiecuje jéj miłość, da ci ból niezmierny, o tém wiém dobrze, ale nie myśl, abyś nie znalazł w sobie dość mocy do zniesienia tych ciosów, któremi cię ta rzeczywistość uderzy. Wytrwasz je, przerodzisz się, przejdziesz prędko przez ten ogień, i z próby téj wyjdziesz z silniejszemi rękami, z chłodniejszą głową i ze zdrowszą piersią. Nie przestaniesz zapewne być poetą, boś się nim urodził; wspomnieniami swych rojeń ozdobisz niejedną chwilę po pracy i mozołach życia; ale wierz mi, przekonasz się wkrótce, że ta praca, te mozoły to jest chleb powszedni ziemi, a rojenia i mary są tylko jéj kwiaty, któremi godzi się ucieszyć oko zdaleka, ale oddychać ciągle ich upajającą wonią nie można.

Eugeniusz podniósł głowę, wpatrzył się w twarz brata i wyciągając do niego rękę rzekł:

— Tyś starszy odemnie, Ignasiu! Według jéj słów, o których mi pisałeś, łamiąc się z życiem, opanowałeś ten instrument i będziesz mistrzem. Niech ci Bóg szczęści. Nie wiem czy cię naśladować potrafię. Ja podobno zostanę na zawsze partaczem. Ale dajmy na teraz temu pokój. Czas mi iść; nie wypada mi chybić przy piérwszym obiedzie. Kasztelan miał mi objawić swój plan względem dalszego mego zawodu. Muszę go wysłuchać z pokorą i wdzięcznością, choć wiem, że się to na nic nie zda. Do widzenia więc, drogi Ignasiu. Koło godziny siódméj przyjdę tu do twojéj miłéj stancyjki, któréj nigdy nie zapomnę, i ztąd pójdziemy do naszych kuzynek, które radbym jak najprędzéj poznać.

Dwaj młodzieńcy podali sobie ręce i rozłączyli się. Wracając, na Długiéj ulicy spotkał Eugeniusz dwóch panów, znakomitych rodem, mająkiem i ukształceniem. Poznał się on z nimi w Rzymie, potém przebyli razem czas niejaki w Paryżu i także dość często widywali się. Panowie ci powitali bohatéra naszego bardzo łaskawie, ucieszyli się widocznie że wrócił, że go widzą, i okazawszy mu wiele znaków życzliwości i pogłaskawszy

młodzieńca wyrażeniem nietajonéj admiracyi dla jego zdolności i usposobienia, prosili go uprzejmie, aby ich jak najczęściéj odwiedział. Eugeniusz przywykł do téj pańskiéj grzeczności, która, gdy chce, jest tak wślizgującą się w serce. Maniery więc tych panów ujęły go, a pochwały, mające wszystkie pozory szczérości, pogłaskały jego poetycką próżność. Widząc się tak przyjętym, tak cenionym przez tych, do których grona należał wychowaniem i nałogami, a pragnął należeć istotnie dla zaspokojenia téj gorączki serca, co go trawiła, podniósł się jakoś we własném mniemaniu, otrząsnął się z tych ciężkich myśli, jakie mu dał widok ciężkiéj pracy brata, rozmowa z nim tak długa i zwrót na siebie, i skąpawszy się niejako we właściwéj sobie atmosferze, orzeźwiony tym blaskiem, do którego myślą i chęcią dążył, nabrał znowu odwagi i nadziei, którą już był utracił, i śmieléj i weseléj wszedł do salonu kasztelanowéj, gdzie już wszyscy byli zebrani.

Tam nadzieje jego wzmógł jeszcze widok P. Jadwigi. Zastał on ją patrzącą ku drzwiom, jakby wyglądającą jego wejścia; i skoro się pokazał, twarz jéj zajaśniała delikatnym rumieńcem, w o-

czach błysnął promień, który widocznie wyrwał się z serca uszczęśliwionego jego widokiem, a uśmiech nieznaczny i ledwie dostrzeżony ruch głowy powiedział mu wyraźnie, że umyślnie czekała i patrzyła, aby go piérwsza powitać mogła. Przytém ubranie jéj było takie, że go do dawniejszych lat, do najpoetyczniejszéj chwili życia jego przeniosło. Wiedziała zapewne panna Jadwiga, i instynktem kochającéj kobiéty przeniknąć to musiała, że Eugeniusz nie inaczéj ją sobie wyobraża, jak w upodobanym jéj jasno-błękitnym kolorze, w jakim była wtedy, gdy utaić w sobie nie mogła bolu na tę myśl, że go lat kilka widzieć nie będzie, w jakim była wtedy, kiedy się z nim żegnała, kiedy mu ze łzą w oku przyrzekła, że zastanie to co zostawia. I w téj chwili obaczył ją w takiéj saméj sukni, nie ozdobniéj, nie wykwintniéj, jak zwykle wystrojoną, ale w tym wyborze koloru była myśl przypomnienia mu tych momentów, które i dla niéj były drogie, była chęć pokazania mu, że ubierając się myślała o nim, że się dla niego ubierała. Któraż z czytelniczek naszych nie zrozumie téj niewinnéj kokieteryi, nawet w takiéj kobiécie, jaką była P. Jadwiga; któryż z młodych

czytelników, któremu Bóg zdarzył to szczęście, że zwrócił na siebie uwagę i skłonił serce takiéj istoty, jakiéj tu portret wierny i z natury skopiowany podajemy, dziwić się będzie, że Eugeniusz do reszty zapomniał w téj chwili o całéj swojej rozmowie z Ignasiem, że umocniony duchem uczuł w sobie olbrzymią siłę na zdobycie tego skarbu, który już do niego należeć zdawał się, że cała rzeczywistość znikła z jego oczów, a wstąpiwszy znowu w czarowne sfery poezyi, pewnym był, że wywoła jakiegoś boga, który przez tę przepaść, co go od niéj oddzielała, rzuci tęczę jasną i silną, po któréj się bezpiecznie przesunie.

Po obiedzie, który przeszedł wesoło w gronie rodzinném na rozmowie ogólnéj o tych wszystkich rzeczach, które podróżni widzieli, i w któréj Eugeniusz, ożywiony okiem bacznèm téj, przed którą jedynie rad był rozwinąć wszystkie zasoby swego ducha, miał sposobność pokazać, jak dalece z łaski dobroczyńców swych korzystał, P. Jadwiga znalazła sposobność powiedzieć mu te słowa:

— List twój z Rzymu, który pisałeś do brata, mam i często go odczytuję. Nie dziwię się, żeś

takiém okiem patrzył na to wszystko, tak szanowne i wielkie, co ciągnie ku sobie myśli, i cobym rada jeszcze w życiu obejrzeć. Ale z tego, com dziś słyszała, widzę, żeś i w innych krajach, które nie tyle przemawiają do duszy, umiał upatrzyć stronę poetyczną. Czy ta książka, którą ci dałam przed wyjazdem, pełna? Staś nie miał czasu zapisać swojéj; głowa jego zajęta była czém innćm. A ty Eugeniuszu?

— Ja myślałem tylko o tém — odpowiedział Eugeniusz drżącym głosem — że pani będziesz czytać to, com myślał i czuł daleko od Zabuża i patrząc na otaczające mię rzeczy, wielkie i małe... zapisałem ją całą.

— Dziękuję ci, dasz mi to jutro — rzekła P. Jadwiga, spójrzawszy wdzięcznie na pięknego młodzieńca, i widząc zbliżającą się matkę, zaczęła mówić o czém inném, wypytując go obojętniéj, jak mu się wydała Warszawa, jak miło dźwięk ojczystéj mowy musiał uderzać jego uszy, gdy w granice kraju wjechał. Dyplomacya kochających kobiet zawsze jedna i taż sama, równie w chatce, jak i w pałacu, równie w dziewczynce, która tylko co wyszła z pensyi, jak i w pannie

dojrzałéj, wyższéj umysłem i sercem, gdy ją okoliczności postawią w potrzebie tajenia uczuć, które pierś jéj opanowały.

Kasztelanowa, któréj nawet przez myśl nie przechodziło, aby młody człowiek tak biedny i pod słomianym dachem szlacheckiego dworku urodzony, śmiał podnieść oczy na jéj córkę, chociaż się z nią wychował, nie przypuszczała także, aby ta córka, która się z niéj rodzi, mogła się tak dalece zniżyć, iżby skłoniła serce swe dla młodzieńca, który w jéj oczach był tylko wyższym trochę stopniem sługi. A chociaż widziała tyle zalet w Eugeniuszu, że nieraz dziwném się jéj to wydawało, zkąd one mogły się wziąść w człowieku takiego pochodzenia, chociaż postrzegała w córce swéj skłonności, myśli i zasady, które ją więcéj zbliżały do ojca niż do niéj, nie sądziła jednak, żeby się tyle od niéj odrodzić mogła, iżby zamknęła oczy na brak urodzenia i majątku, a widziała tylko niezwykły wdzięk powierzchowny, i oczywistą wyższość serca i głowy. Była więc zupełnie spokojną i bezpieczną, a poufalsze, chociaż dziwnie godne postępowanie P. Jadwigi z Eugeniuszem, znajdowała bardzo naturalnym skutkiem

wspólnego wychowania, obowiązków, jakie dla niego miała za dobry przykład, jaki we wszystkiém bratu jéj dawał, i téj życzliwości, którą i ona podziela, i na jaką Eugeniusz przez skromność, uległość i nadzwyczajny takt w postępowaniu swém zasługiwał. Bez żadnéj więc myśli przerwania ich rozmowy przybliżyła się do córki, usiadła przy niéj, prosiła Eugeniusza aby także usiadł, i do uwag, jakie on robił, malując wrażenia, jakie mu dał kraj własny po trzechletniém prawie niewidzeniu, dodając swoje, rozmowie téj dała tok ogólny, do któréj się i reszta kompanii przyłączyła.

Odetchnął Eugeniusz widząc taki obrót rzeczy, a postrzegłszy że to P. Jadwigę także uspokoiło, że się stała weselszą i rozmówniejszą, wniósł, iż rada, iż się jéj udało ukryć uczucia, które jemu tylko objawić pragnęła, i tém więcéj jeszcze utwierdził się w tém przekonaniu, że jest kochanym. Uszczęśliwiony tém odkryciem, i tą względnością kasztelanowéj, i tą myślą, że P. Jadwiga chce i będzie czytać to wszystko, co dla niéj pisał; że choć niewyraźnie, znajdzie tam na każdéj karcie ślad jego uczuć, i tego natchnienia, jakie ona mu daje, opuścił salon, i oddawszy się

tym marzeniom, które go niosły od ziemi, biegł tak, iż mu się zdawało, że nie dotykał bruku, i sam nie wiedział jak i kiedy przeleciał ulicę Długą i w stancyi oczekującego nań brata stanął.

Ignaś uprzedził Paulinkę i Julkę, że Eugeniusz przyjdzie wieczorem. Wielkie więc tam było oczekiwanie, i ubożuchny ten, ale czyściutki lokalik przybrał świąteczną szatę o tyle, o ile pozwalała godzinka czasu, jaką gospodynie jego miały, do sprzątnienia niepotrzebnych gracików, do przyrządzenia herbaty i ciastek, do odświeżenia kołniérzyka, przygładzenia lśniących włosów, a nadewszystko do przybrania od stóp do głowy małego Pawełka, aby ów kuzynek, wychowany między panami, aby elegant, który prosto wraca z Paryża, znalazł dziecię to równie śliczném, jak je znajdowała matka i ciotka, aby przedmiot ten ich karesów, ich miłości i próżności, okazał się oku jego w całém swém świetle. Zaledwie zakręt ten skończył się, zaledwie zdążyły postawić dwie świéce na stole, i światło w sieniach, aby na schodach było choć trochę widniéj, gdy posłyszały szybkie kroki, gdy się drzwi nagle otwarły, i wszedł najprzód Ignaś a za nim Eugeniusz.

Obie kobiéty stanęły jak wryte, gdy postrzegły przed sobą tak pięknego, z taką elegancyą ubranego, tak po pańsku ułożonego mężczyznę. Nie wiedziały z razu jak go przywitać, jak do niego przemówić, jak się zbliżyć do człowieka, który może nigdy nie był na trzeciém piętrze i nie wie, jak się żyje na takiéj wysokości i w stanie graniczącym z ubóstwem. Ale Eugeniusz uprzedził je. Z tym pięknym uśmiechem, który oznaczał dobroć jego serca i uprzedzał wszystkich, z tym wzrokiem, w którym malował się jego rozum i dusza, zbliżył się śmiało, wziął za rękę jednę i drugą, i rzekł wzruszony:

— Kochajcie mnie siostrzyczki! bo ja was znam dobrze i kocham od dawna.

Słowa te złamały piérwszy lód od razu. Nastąpiło serdeczne powitanie i zaczęła się rozmowa prosta, naturalna, pełna wylania i szczerości, któréj znowu niepowtarzamy, bobyśmy ją pewnie zepsuli. Z uczuciem podwójnéj radości, i téj, jakiéj doznaje krewny, gdy się ujrzy nagle w gronie swoich, którzy go tak z serca przyjmują, i téj, jakiéj doznaje artysta i znawca, kiedy obaczy cudne dzieło boże, które nieporównaną formą imaginacyę

7*

jego przechodzi, przypatrywał się Eugeniusz twarzom obu kobiet, prześlicznemu a tak różnemu wyrazowi ich oczu, ułożeniu pełnemu powabu ich figurek, niewielkich, udatnych, wdzięcznych w każdym ruchu, w każdym zarysie skończonych i doskonałych. Nieraz nieznacznie szepnął Ignasiowi:

— Jakież one śliczne! cóż to za oczy! jakie rysy i kształty!

Słowa te pochlebne nie zupełnie dochodziły do uszu kobiet, ale ze spójrzenia i uśmiechu Ignasia domyślały się, co Eugeniusz mówił, i rumieniec, występujący na ich twarz, jeszcze je piękniejszemi czynił. Wielką była ich radość, że ten, którego sądu i oka bały się niezmiernie, znajduje je miłemi, że się z niemi bawi, że mu w ich towarzystwie dobrze i miło. Ale im szło także i o to, aby Eugeniusz i Pawełka znalazł równie pięknym, aby się nim także zajął i zachwycił. Tym czasem, jak to zwykle bywa, chłopczyk przy piérwszém zaraz przedstawieniu rozchimerował się, rozbeczał i w żaden sposób karesom Eugeniusza odpowiedzieć nie chciał. Musiano go nawet wynieść do drugiego pokoju, cała jego toaleta nie zdała się na nic, i próżność matki i ciotki okropnie

zawiedzioną została. Wśród śmiechu i żarcików, do jakich ta przeciwność, jakiéj doznały, dała powód, powrócił do domu Kański, i Paulinka zapomniała prędko o tém niby zmartwieniu z powodu kaprysów syna, gdy postrzegła, jak serdecznie Eugeniusz powitał jéj męża, jak prędko się z sobą zapoznali, jak przystali do siebie nawzajem. Ledwie koło dziewiątéj postrzegli, że czas się rozejść; a gdy Eugeniusz zaczął się żegnać, i wszyscy otoczyli go, spójrzał on z rozrzewnieniem na te miłe, piękne i kochające twarze, i zawołał:

—Jak mi tu dobrze między wami! jak tu wszystko tchnie kółkiem rodzinném. Zapomniałem o szerokim świecie, a zdaje mi się, żem w domu, żem się stał znowu dzieckiem, że ojciec i ciotka patrzą na mnie i zawołają mię do pacierza. O! dawno takiéj nie miałem chwili. Szczęśliwyś ty Ignasiu, że możesz ich widzieć codzień.

— Przychodź i ty braciszku—rzekła Paulinka— jak będziesz mógł najczęściéj, i kiedy ci dom przyjdzie na myśl.

—Przychodź wtedy— dodała bardziéj seryo Julka — jak będziesz smutnym, jak cię ten pański świat, na którym żyjesz, czémkolwiek zakole.

Eugeniusz spójrzał na nią tak, jakby w jéj głosie coś proroczego słyszał, przyrzekł i wyszedł rozmarzony.

Z wizyty téj jego wszyscy byli kontenci, ale nikt tyle co Ignaś. Przyszła jego majstrowa znajdowała zupełną aprobacyą Eugeniusza, i o niéj tylko mówił z bratem, który go aż na Leszno odprowadził. Choć trudno było powiedzieć, która z obu siostr była piękniejszą i milszą, zdawało się jednak Ignasiowi, że Eugeniusz widocznie dawał pierwszeństwo Julce, może dla większéj mocy i żywości charakteru, a może tylko dla tego, że miała błękitne oczy, podobne do tych, które drodze życia jego świeciły.

Na drugi dzień przed śniadaniem, kasztelan wezwał go do siebie, i uściskawszy serdecznie, kazał mu usiąść i rzekł:

— Chciałem z tobą pomówić, Eugeniuszu, jeszcze wczoraj w wieczór, ale cię nie było.

— Cały wieczór przepędziłem z bratem— odpowiedział Eugeniusz, oczekując trwożnie, co mu kasztelan powie.

— I kontent z niego jesteś?— zapytał kasztelan.

— Wolałbym zapewne— odpowiedział Euge-

niusz — aby na innéj drodze doszedł do tego, co ma dzisiaj; ale nie mogę się nie cieszyć, widząc, jak niezależne wyrobił sobie stanowisko, jak go kochają ci, z którymi pracuje, jak biegłym już jest w téj rzeczy, która mu zapewnia chleb i dostatek, a nadewszystko jak przywiązanym jest do swego zawodu i kontent, że go obrał.

— Nie widziałem go od tego czasu, nie chcąc robić przykrości mojéj żonie, a przez to i tobie — rzekł kasztelan z uśmiéchem. — Ale możesz być pewnym, że brata twego cenię, jak zasługuje. Podobał mi się on od razu, widziałem w nim energiję i ukształcenie, jakie rzadko w młodzieży naszéj biednéj, z dobrego gniazda pochodzącéj, widziéć się daje. Przypadek zrządził, że się spotkał ze znakomitym obywatelem, którego wszyscy poważamy, że zyskał jego względy, a za odwagę, z jaką, idąc za jego radą, wziął się do swego rzemiosła, i za wytrwałość, z jaką się w niém doskonali, ma dotąd wielką jego życzliwość. Musiał ci o tém mówić.

— Wspominał mi mój brat z wdzięcznością o téj znajomości, którą się zaszczyca — odpowiedział Eugeniusz.

— Przyznam ci się — mówił daléj kasztelan — że mi na razie przykro było, iż nazwisko moje pójdzie na szyld stolarski. Ale gdym się nad tém zastanowił, jak zamknięte są i ciasne drogi, na których młodzi ludzie bez funduszu kierować się mogą, gdym postrzegł, z jakiego punktu patrzy na to człowiek, którego intencye, zasady i czynności mają tak ważny wpływ na opiniją, i który to widzi lepiéj niż inni, do czego dążymy, pogodziłem się z postanowieniem twego brata i chciałem nawet, aby jak z początku czasem do nas przychodził. W tym celu mówiłem o nim niekiedy z moją żoną; jeżdżąc nawet z nią po mieście, pokazywałem jéj na szyldach krawców i szewców znakomite nasze i przez historyą uświęcone imiona. Ale znasz zasady téj zacnéj zresztą kobiéty, dla któréj sam masz tyle obowiązków. Nie chcąc mi się przeciwić — dodał kasztelan z uśmiechem, który pokazywał, że zna podrzędne swe w domu położenie — udawała zawsze, że mię nie słyszy i nie rozumié. Tak więc zostało. Powiédz jednak Ignasiowi odemnie, że go pamiętam dobrze, że go cenię, i jak skoro wyjdzie na majstra i będzie mógł sam na swoją rękę pra-

cować, zrobimy koalicyą z hrabią Adamem, jakiesmy się umówili, aby miał dużo kosztownéj i artystycznéj roboty, którаby go prędko postawiła na nogi. Do téj koalicyi należéć będzie i Jadwisia, w któréj Ignaś ma gorącego, ale równie jak i ja, nieszczęśliwego adwokata.

Te ostatnie słowa zmieszały Eugeniusza niezmiernie; ale że go wprzód dobroć kasztelana rozrzewniła i miał łzy w oczach, powstał więc, wziął jego rękę i całując ją z synowskiém uczuciem, ukrył ten żywy rumieniec, który na tę myśl, że i tu panna Jadwiga jest jego aniołem opiekuńczym, twarz jego oblał. Kasztelan przycisnął głowę jego do piersi, pocałował go i dodał:

— Usiądźno dobry chłopcze, teraz pomówimy o tobie. Z tobą trudniéj będzie, jak z innymi, boś głową przerósł wielu, nawet daleko starszych od ciebie, a do pracy takiéj, którаby ci dała zarobek, nie przywykłeś.

— Czyżem tego potrzebował, mając waszą opiekę, waszą rodzicielską łaskę! — zawołał Eugeniusz.

— Nie żałujemy tego — odpowiedział kaszte-

lan— boś się za to wypłacił synowi naszemu przykładem i zachętą do wszystkiego, co zacne i dobre. Nie dorównał on tobie wprawdzie, jak spodziewałem się; ale może to i nie jego wina; nie każdego tak Pan Bóg obdarza, jak obdarzył ciebie. Robiłeś wszystko, coś tylko mógł, i dawniéj, gdyście byli dziećmi, i późniéj gdyście oba dorośli, i w domu i za granicą. Widziałem to i sam i wiém o tém ze świadectwa księdza Augustyna, w którym masz serdecznego przyjaciela, co notabene przynosi zaszczyt i twemu sercu i twojéj głowie. Czy Staś będzie równie twoim przyjacielem, i czy z właściwém uznaniem oceni, czém dla niego byłeś, tego nie wiém. Fantazye mego syna, które już i teraz postrzegam, nie podobają mi się wcale, i będę się starał wyperswadować mu wiele rzeczy, z któremi się odzywa, a które już dziś są niewczesne. Ujdą one kobiécie, która za nie nie odpowiada; ale mężczyzna powinien więcéj i wyraźniéj iść z wiekiem, jeżeli nie chce być śmiésznym, lub narazić się na jakiego demokratycznego szturchańca. Czegoś więc nie doznał, i może daléj nie doznasz od Stasia, co mię szczérze martwi, to będziesz

miał we mnie i w mojéj żonie, któréj życzliwość widziałeś i na któréj polegać możesz, bo wiész, że ona się w takim razie nie zmusza, i kogo nie lubi i nie ceni, to mu da poznać od razu i bez żadnéj ceremonii.

— O! panie kasztelanie!— zawołał Eugeniusz z zapałem wdzięczności— te drogie słowa, które tylko z takiego serca jak twoje wyjść mogły, przenikają mię do gruntu duszy. Łaskawość żony twéj widzę, a jak mi ona potrzebna, jak ją wysoko i nad wszystko cenię, to tylko Ten widzi, który w myślach naszych czyta, i każdą z nich sądzi i przeważa. Że Staś nie jest dla mnie takim, jakbym pragnął, jakbym chciał z serca zasłużyć, to prawda. Ale nie każdy w jego latach przychodzi do dojrzałości i do właściwego ocenienia biegu i kierunku téj ogólnéj myśli, która pewnemu czasowi daje charakter i dążenie. Za lat kilka uzna on zapewne, że nie żyje w XVIII wieku i względem mnie także będzie sprawiedliwszym. Dziś przebaczam mu chętnie ten brak przyjaźni i braterskiego przywiązania, który widzę; ciebie zaś panie kasztelanie błagam, abyś mu z tego względu żadnéj nie czynił wymówki.

Staś ma dobre serce, jest dla mnie grzecznym, nie chybia mi w niczém, nie robi mi żadnéj przykréj wymówki. Na teraz dosyć mi na tém. Jak dojrzeje będzie mię kochał.

— Cieszę się— odpowiedział kasztelan, podając rękę Eugeniuszowi — że tę rzecz tak widzisz. Wkrótce obaczysz różnicę w jego względem siebie usposobieniu. Słowa i przykład rodziców zrobią swoje, bo rzeczywiście Staś ma dobre serce. Wróćmy więc do tego, o czém głównie z tobą pomówić chciałem. Jeszcze zapewne nie myślałeś o tém, co z sobą zrobisz, boś dotąd więcéj żył duchem niż ciałem, boś częściéj przebywał w górnych sferach, niż chodził po ziemi. Ale przyszła pora, że ci i na ten padół pracy i mozołu zstąpić potrzeba. Gdybym był Potockim lub Sanguszkiem, dałbym ci parę wsi, i zaspokoiłbym moją o ciebie troskliwość. Gospodarowałbyś tam może trochę po łacinie, jak to wy wszyscy poeci gospodarujecie— dodał kasztelan uśmiechając się— ale miałbyś czas pracować głową, i nie myślałbyś o tém, co jutro dostaniesz na obiad, który jak na złość i poetom uprzykrza się co-

dziennie. Ale tego zrobić nie mogę, muszę więc zaradzić ci inaczéj.

Eugeniusz nic nie odpowiedział, patrzył tylko z wdzięcznością w oczy zacnego człowieka; ale chciało mu się serdecznie upaść mu do nóg, i po głębiach jego duszy krążył głos: Ojcze! oddaj mi ją, a niczego więcéj nie pragnę! głos potężny, który całą mocą rozumu i woli powstrzymywał. Kasztelan widział jego wzruszenie, ale myśli jego nie odgadł. Mówił więc daléj:

— Nauczycielem być nie zechcesz.

— Nie, panie kasztelanie — odpowiedział stanowczo — użyteczny ten, szanowny, ale zbyt mozolny i za nadto wiele czasu zabierający obowiązek byłby nad moje siły. Pług to zbyt ciężki, który ciągnąć trzeba ustawicznie, powoli, bez wytchnienia i iść codzień tą samą, zawsze ciasną i zawsze jednakową bruzdą. Toby mię zabiło.

— Przewidywałem to — rzekł kasztelan — na aplikanta i machinę kancelaryjną do przepisywania referatów także nie zdasz się.

— Jeszcze mniéj, jak na nauczyciela, panie kasztelanie — odpowiedział Eugeniusz, błagalnie składając ręce. Kasztelan zaśmiał się i dodał:

— I tego byłem pewny, a jednak trzeba koniecznie, żebyś był czémściś i wyrobił sobie pewną pozycyą, którąby ci dała, już nie mówię chléb, bo głód można z dnia na dzień zaspokoić, przy takiém zwłaszcza usposobieniu i talencie, jaki masz, ale którąby ci dała pewny widok nadal, że się rozwiniesz, podniesiesz i staniesz na stanowisku, odpowiadającém i twoim chęciom i tym nałogom, jakie ci dało wychowanie. Nie nastąpi to od razu, ale umyśliłem postawić cię na takiéj drodze, na któréj prędzéj niż na każdéj innéj do tego dójdziesz. Słuchaj więc. Mówiliśmy już ja, i moja żona o tobie z naszym ministrem sekretarzem stanu. Człowiek to uczony, dostojny, a nadewszystko złotego serca. Pozna się on prędko na tobie, czytał nawet z pobłażliwém upodobaniem twój list, któryś pisał do brata z Rzymu, i obiecał nam najuroczyściéj, że cię pomieści przy sobie, skoro powrócisz i pozna cię bliżéj.

Eugeniusz zadrżał w duszy, aby mu nie kazano jechać natychmiast, i aby znowu nie był wystawionym na rozdział, który dziś byłby dla nie-

go stokroć boleśniejszym. Gdy więc milczał ze spuszczonemi oczami, kasztelan dodał:

— Żeby cię przekonać, że minister pamięta o swéj obietnicy, oto jest list jego, który odebrałem przed miesiącem, a w którym zapytuje mnie, czyś już wrócił, i dodaje, że teraz stanowczo wezwać cię nie może, ale że będzie tu w lutym w Warszawie, pomówi z tobą i wtedy umieści cię przy swym boku. Jest to karyera, mój drogi Eugeniuszu, która pod każdym względem odpowie twemu oczekiwaniu. Będziesz miał światłego i dobrego zwierzchnika, pole do pokazania swych zdolności, może z początku nie zbyt dostateczny fundusz, ale ten będę się starał w miarę możności méj dopełnić, a nadewszystko, będziesz miał otwarty każdy zacny dom i to towarzystwo, do którego przywykłeś. Zostaniesz więc do lutego w naszym domu, jak dotąd. Wyznaczam tymczasowo na potrzeby twéj garderoby i inne drobniejsze wydatki dziesięć dukatów miesięcznie, co ci zapewne wystarczy, i radzę ci, abyś się zapoznał z niektórymi urzędnikami z Rady Administracyjnéj, którzy cię z biegiem interesów Królestwa oswoją i do przyszłego obo-

wiązku twego przygotują. Spodziewam się, że ci się ten projekt uśmiécha. Ale czegoż ty płaczesz?

Gdy Eugeniusz zanosił się i nic odpowiedziéć nie mógł, kasztelan powstał sam wzruszony, utulił go w swojém objęciu, i rzekł:

— Rozumiém cię, zacny chłopcze! ale czyż to nie było moim obowiązkiem.

Na tém się skończyła ta ważna dla bohatéra naszego rozmowa. Wyniósł on z niéj głównie to przekonanie, że kasztelan kocha go ojcowskiém przywiązaniem, i tę pewność, że kilka jeszcze miesięcy zostanie jak jest, że żyć będzie pod tymże dachem gdzie ona, że będzie mógł widywać ją codzień i codzień jakimkolwiek znakiem jéj miłości na dalsze ukrzepić się sieroctwo. Stan więc jego, jak na teraz był zupełnie szczęśliwy. Wszystko go dochodziło jak dawniéj, na garderobę swą miał aż nadto, reputacya jego rozumu, jego ukształcenia, jego powabów powierzchownych, jego ułożenia pełnego dystynkcyi, i téj karyery semi-dyplomatycznéj, która młodemu mężczyznie w oczach kobiét, będących z natury dyplomatkami, daje szczególny urok, ro-

zeszła się prędko w kołach arystokratycznych Warszawy. Wszystkie więc drzwi stały dla niego otworem, i wszędzie gdzie się pokazał, czy w kompanii kasztelaństwa, czy w towarzystwie Stasia, czy sam jeden, był przyjmowanym tak, jak panowie i panie przyjmują każdego, który urodził się im równym, i ważne te zalety podnosi jeszcze blaskiem wielkich zdolności i sztuką pełną powabu, przez którą je objawia. Widywał się często z bratem, raz lub dwa razy na tydzień bywał na Święto-Jańskiéj ulicy, a tam i serce jego karmiło się zdrowszą strawą prawdziwych i pełnych szczérości uczuć i umacniało się do strawienia tych wszystkich blichtrów, które na wielkim świecie spożywał, do których jednak przywykł i obejść się już bez nich nie mógł. Tak to było do połowy grudnia, to jest do tego czasu, w którym wyprzedzając matkę i siostrę przybył do Warszawy pan Konstanty.

III.

Nim ten stanowczy moment dla Eugeniusza nastąpił, zbliżył się czas wyzwolenia Ignasia. Przed przybyciem jeszcze brata, na mocy 49 § Ustawy rzemieślniczéj, odbył się jego egzamen przed Urzędem Starszych, w którym dotąd jeszcze stary Drylius prezydował. Hebel, który ucznia swego tak wysoko cenił, że mu już przed wyzwoleniem pensyę naznaczył i najtrudniejsze roboty powierzał, przedstawił go na sessyi i postępowaniu jego, pilności i nabytéj biegłości w kunszcie swym najchlubniejsze dał świadectwo. Ponieważ zaś w warunkach skróconego terminu było, aby w obecności delegowanych zrobił rysunek sztuki czeladniczéj, jaką miał wykonać, za-

dano mu więc do wyrobienia kanapkę na dwie osoby, z ładnemi wyrzynaniami, ale taką, żeby elegancyę łączyła z wygodą. Hebel uśmiéchnął się, że rzecz tak drobną tak biegłemu naznaczają robotnikowi, a gdy się inne czynności sessyi odbywały, Ignaś usiadł przy osobnym stoliku i rysunek swój, najprzód ołówkiem, a potém piórem delikatnie i czysto wykończył. Połączył on z sobą dwa wygodne krzesła, związaniem swém tak nieznacznie ku środkowi nagięte, że osoby siedzące mimowolnie ku sobie zwrócone być musiały i tym sposobem opierając się wygodnie i niewykręcając się rozmawiać z sobą mogły. Plecy obu krzeseł miały formę linii krzywéj, zgrabnie ku dołowi nagiętéj, z wyrzynaniem u góry i z brzegami w dziewięć małych łuków wyciętemi. W związaniu łączącém dwa krzesła, znacznie niższém od pleców, był przymocowany zgrabny i w rysunku brzegów odpowiadający całości stoliczek, na którym rozmawiający mogli stawiać filiżanki, kłaść książki lub gazety, a w tym ostatnim razie, gdyby się zajmowali czytaniem wieczorem, mieli do tejże ściany przymocowane dwa zgrabne lichtarze, tak, że każdy

mógł się osóbną dla siebie świécą posługiwać. Kozetka ta nie była przeznaczona na przysuwanie jéj do ściany, owszem, tylna jéj część była tak wyrobiona, że mogła stać na środku pokoju, i każde tak nazwane *établissement* ozdobić. Wysłanie jéj i wypikowanie w pasy, odpowiadające zębom plecków, dawało jéj pozór dwóch rozwartych muszli, w których żadnéj linii nie było prostéj, żadnego ostrego kąta, ale wszystkie zagięcia odpowiadały większym lub mniejszym łukom eliptycznym. Pod spodem Ignaś dał każdéj części wymiary, oznaczył wielkość każdego łuku i w krótkości opisał, z jakiego ma być drzewa i jaką materyą, odpowiednio do koloru i blasku politury powinna być pokrytą, aby się lepiéj wydała.

Po przedstawieniu rysunku, członkowie zgromadzenia przypatrywali mu się kolejno, ten i ów kiwał głową, to dziwiąc się zgrabności mebla, dokładności rysunku, to wątpiąc, czy to wykonać zdoła tak jak narysował. Wtedy Drylius, który widocznie bohatérowi naszemu sprzyjał, pamiętając mu zapewnie, że perory jego przy

zapisie z taką uwagą słuchał, uprzejmie na niego spójrzawszy, rzekł:

—Bardzo ładne, ale bardzo trudne. Panie Hebel, chodź no obacz.

Hebel obejrzawszy uśmiéchnął się i kładąc rysunek na stole, rzekł:

—Pan Zabużski pokazał tu, że moja nauka nie poszedł jemu w las. Trudne sobie on zadawał pensum, ale ja zaręczyłem prześwietne Zgromadzenie Starszych, że będzie je wykonywał sam, i nikogo do téj roboty nie dotknie się. A choć to będzie dużo kosztował, taki śliczny mebl, który może nie prędko będę sprzedawałem, ale już ja będę dostarczyć pan Zabużski wszystkiego materyału, żeby to był ein mejsterwerk, jaki obaczywszy, każdy będzie oddawał sprawiedliwość i nauczyciela i ucznia.

Po téj przemowie, przy któréj Hebel aż się zarumienił, tak rad był temu podziwieniu, które niektórzy z majstrów okazali, zaczęto Ignasia examinować, jak każdą rzecz wykona, i jakim sposobem wyjdzie z wielu trudności, które sobie sam zadał. Młodzieniec ze skromnością, ale z precyzyą odpowiedział na wszystkie zarzu-

ty, okazawszy przez to postępy swe w rzemiośle, a gdy się ten ustny examen skończył, Drylius dodał:

— Z religii, czytania i pisania, jak chce 49 § Ustawy naszéj, nie ma co takiego ucznia examinować. Aprobujemy więc rysunek, i niech ci Pan Bóg szczęści, abyś go tak wykonał, jak pomyślałeś.

Więcéj niż dwa miesiące, przy innych zajęciach obowiązkowych, pracował Ignaś nad tém dziełem, które go między celniejszymi miasta czeladnikami postawić miało. W ciągu téj roboty zapraszał nie raz Hebel delegowanych, aby widzieli, że mu nikt nie pomaga. Sam Drylius nawet parę razy zastawał go przy robocie i uprzejmie zachęcał.

Gdy kanapka była już całkiem skończona i stała w pokoju Hebla obok tego majstersztyku, za który, rękę swoją kochaną Rózię otrzymał, i na który zawsze wdzięczném okiem poglądał, przywiązany i pyszniący się uczniem takim Niemiec zaprosił cały Urząd Starszych, wraz z delegowanymi i komisarzem municypalnym, i tu im dokonaną robotę zaprezentował. Obejrzawszy ją we

wszystkich szczegółach, nie tylko przyznali, że jest dostateczną, ale jednogłośnie oświadczyli, że zasługuje na pochwałę, i gdyby przyszło do wystawy przemysłowéj, a do téj pory sprzedaną nie była, że publicznie z nazwiskiem robotnika okazaną być może.

Wtedy Hebel, ucieszony takiém zdaniem kolegów, zawołać kazał Ignasia; a gdy mu wszyscy winszowali, wziął się do butelek, których kilka przy szeregu kielichów stało na stole. Spełniono więc zdrowie Urzędu Starszych, potém zdrowie wszystkich majstrów i zdrowie wszystkiéj dobréj i uczciwéj czeladzi, a nareszcie zdrowie Ignasia. Wszyscy wychylili duszkiem ten toast i podawali rękę nowemu adeptowi kunsztu stolarskiego, który im uprzejmie dziękował. Rozochocony Hebel dodawał wina, a komisarz municypalny polskim obyczajem zaproponował oddzielnie zdrowie Dryliusa, potém Drylius zdrowie komisarza, potém podstarszego i delegowanych. Gdy Hebel sobie podpił, co mu się rzadko zdarzało, nalawszy jeszcze jedną koléj, rzekł:

— Moi mili panowie! jeszcze ja będę coś powiedziałem. Oto będziemy jeszcze wypić *zu ehren*

ta prześliczna kanapka, który nic na tém nie stracił, choć tu stoi koło tego majstersztik, który ja sam wykonywałem, który mnie dawał patentu i ręka moja najmilsza Rózia, i przez który Pan Bóg dawał mi moje miłe dziatki, mój żwawy Wilhelmek, i mój kochany Frycunio, który ty, panie Ignacy pokochałeś i uczyłeś, i za co ja z wdzięczności serca mego— tu Hebel rozpłakał się, i nie mogąc skończyć przemowy, postawił kielich, objął szyję Ignasia i całować go zaczął. Gdy się uspokoił, śmiejąc się i ocierając spłakane policzki dodał:— Ten głupi łez nie dawał mi dokończyć moja przemowa. *Aber schad'nichts.* Ten łzy lepszy niż słowo, i panie Ignacy zrozumiałeś to lepiéj, jak ja ciebie kochałem i jak ucieszyłem się, że już swojego terminu skończyłeś.

Po wychyleniu tego ostatniego wiwatu i wzajemnych uściskach wszyscy rozchodzić się zaczęli, a na sessyi, która w kilka dni potém nastąpiła, Ignaś mianowany został czeladnikiem. Złożywszy więc 30 złotych polskich do skrzynki rzemieślniczéj, zapisany był do księgi Zgromadzenia, i otrzymał książeczkę i list wyzwolenia, opatrzony pieczęcią i podpisem urzędu. Samo

przez się rozumié się, że nowy czeladnik, który z obowiązku powinien był 14 dni, t. j. *fercentag* u swego majstra przesłużyć darmo, lub za dowolną z jego strony opłatą, zrobił z nim zaraz korzystną umowę i na dalszy czas w warsztacie jego zostać zobowiązał się.

Pozostało jeszcze zespolenie się z całém towarzystwem stolarskiéj czeladzi na Gospodzie czeladniczéj, czyli tak nazwane *ferglejchowanie.*

Gospoda jest to miejsce zgromadzeń starszéj czeladzi, gdzie żadne nadużycie nie ma, a przynajmniéj nie powinno miéć miejsca. Ustawa rzemieślnicza nie upoważniła wyraźnie tego zbierania się i obrzędów, jakie się tam odbywają; nie zniosła ich jednak, zastrzegając tylko §§ 89 i 90, aby się nie zbierali w zwyczajne dni roboty, a tém mniéj, aby pod karą nałożoną na gospodarza Gospody, nie pozwalali sobie tam jedzenia i trunków. Ma więc Gospoda czeladnicza charakter mniéj więcéj urzędowy, ma organizacyę i zwyczaje, które nie są bez interesu.

Lokal najmuje czeladź. Składa się on z dwóch pokojów. Piérwszy jest miejscem zebrania wszystkich, drugi jest izbą sesyonalną, przeznaczoną

dla różnych spraw, jakie się tam odbywają. Lokal ten najmuje się zwykle u jednego z majstrów uboższych i dobrego prowadzenia się. Majster taki jest gospodarzem i nazywa się *ojcem gospodnim*, żona jego *matką gospodnią*, jaka ich krewna, lub nawet obca, która ma tam rolę niby sługi, niby szynkarki, nazywa się *siostrą gospodnią*. Ojciec gospodni przedewszystkiém odpowiedzialnym jest za spokojność, bezpieczeństwo i przyzwoitość Gospody w każdym czasie, a szczególniéj w czasie zebrań, jakie mają miejsce w niedzielę po południu. Matka i siostra pilnują porządku, czystości, starają się oraz aby czeladnik, który *fremdował*, t. j. który przyszedł z wędrówki, jeżeli zaraz nie znalazł miejsca z rekomendacyi lub szykowania, a także miejscowy, który miejsce swe nie z własnéj winy utracił, znalazł tam na kilka dni przytułek i miał się czém pożywić. Na ten cel w piérwszéj izbie jest nawet parę tapczanów, na którychby się tacy przespać mogli.

Druga izba jest pod kluczem szafarza gospody, którym bywa jeden ze starszych towarzyszów. Tam na środku znajduje się stół do po-

siedzeń, otoczony krzesłami, a w około ściany są ławki i krzesełka, gdzieby zebrani spocząć mogli. W téj izbie znajduje się skrzynka czeladnicza, czyli *lada*, pod kluczem prezydującego, w którą składają się składki miesięczne, tak nazwane *auflegi*, po złotemu od każdego czeladnika, wpływy od ferglajchu, oraz takie, któremi najczęściéj wykupuje się wykraczający od innéj kary, jaka już dziś prawie zupełnie wyszła z użycia. W szafie, przeznaczonéj na akta, książeczki, regestra czeladzi i rachunki, mieści się także puhar duży, cynowy wprawdzie, ale świetny i mający nakrywkę, jaką dawniéj u nas puhary wiwatowe miewały. Puhar ten nazywa się *willkom*, od *willkommen*, co oznacza serdeczne pozdrowienie. Ma on na sobie ten napis i datę ustanowienia swojego, t. j. rok 1756. Prezentują go wtedy, gdy przybyły z wędrówki czeladnik lub nowy wyzwoleniec wstępuje do towarzystwa czeladzi i z nią się jedna. Puhar ten obwieszony jest pamiątkami tych, którzy go dotykali, i połyska w około krzyżykami, medalikami srébrnemi, lub jakiemi sztuczkami własnego wyrobu, pełnemi kunsztu i zgrabności. Willkom

jest pod kluczem i dozorem szafarza Gospody, który go prezentuje.

Na głównéj ścianie téj izby jest tablica, na któréj są wypisani wszyscy ferglajchowani towarzysze; z jednéj jéj strony wisi książeczka ustawy, z drugiéj osóbno za szkłem wypisane czytelnie wszystkie z niéj artykuły, które się głównie czeladzi tyczą, i które każdy na pamięć umiéć powinien. Nad tém zaś wszystkiém umieszczone jest godło rzemiosła, kunsztownie wyrobione, przyozdobione, a takie same, jak na pieczęci, t. j. hybel, winkel i cyrkiel spojone razem, i sztucznie rzeźbionym otoczone wieńcem.

Kiedy się Gospoda przenosi, wtedy zawieszenie tego godła odbywa się uroczyście, przy wielkiéj frekwencyi panów towarzyszów i bajzycmajstrów, t. j. majstrów delegowanych z Urzędu Starszych, a prezydujący towarzysz ma mowę, w któréj wyraziwszy, że się zebrali dla oznaczenia tego miejsca godłem ich zacnego kunsztu, dodaje, jak szanować powinni ten znak, pod którym przyjmują i witają wędrownych towarzyszów, jednają nowo wyzwolonych, układają

sprawy i interesa towarzyskie, łagodzą spory i gniewy doprowadzają do podania sobie ręki, miłości bliźniego i zgody. Daléj upomina, aby tego miejsca nie znieważali niemoralném swojém postępowaniem, aby byli z szacunkiem dla ojca i matki gospodniéj, aby jedność, zgoda i miłość braterska wszędzie ich oznaczała. Mowa ta kończy się zwykle temi słowy: »Teraz skoro jesteśmy już w tém nowém mieszkaniu, spełnijmy zdrowie za ojca i matkę gospodnią, za tych, którzy to godło nasze sprawili i przyozdobili, i za zdrowie wszystkich towarzyszów tu obecnych i nieobecnych.” Dobycie Willkomu i odgłos wiwat! kończy ceremoniją.

Składka znajdująca się w ladzie czeladniczéj ma zacne i miłosierne przeznaczenie. Pieniądze te idą na chorych, znajdujących się w szpitalach, na wsparcie zniedołężniałych towarzyszów, lub ich wdów i sierot, które się nagle znalazły w zupełnym niedostatku. Dla tego składkę tę exekwują ściśle i notując dłużników i nieregularnych, w razie ich potrzeby odmawiają im pomocy. Starszy, czyli prezydujący towarzysz, we czwartek

w wieczór przed aflegą, t. j. przed sessyą składkową, powinien się znajdować na Gospodzie, i wezwać szafarza, aby obszedł warsztaty, zamówił towarzyszów na zebranie niedzielne o 3ciéj po południu; aby doręczył kartki dłużnikom i tym na których jest zaskarżenie, tudzież, aby wezwał wyzwoleńców do ferglajchu, jeżeli to jest auflaga kwartałowa. Sam w niedzielę rano powinien być w Urzędzie Starszych, tam oznajmić, że dziś mają auflegę, prosić o oznaczenie bajzycemajstrów i tych zawiadomić, oraz pisarzowi Urzędu złożyć książkę rachunkową z przychodu i expensy czeladniczéj skrzynki. W niedzielę także powinien obejść szpitale, gdzie się chorzy towarzysze znajdują i dać im tygodniowe wsparcie, nie udzielając go takim, którzy lub źle są notowani, lub nieregularnie składkę opłacali.

W dawniejszych czasach Gospoda stolarska miała wiele dziwacznych ceremonij, między innemi *hyblówkę*, t. j. wyzwolenie czeladnika za pomocą wielkiego hybla, którym go niby hyblowano. Hyblówka ta z powodu nadużycia przy tém trunków, niemoralnych konceptów i piosnek, już na

początku XVIII wieku została zniesioną. Później a mianowicie w roku 1765 niektórzy z czeladników wędrownych, chcąc się odróżnić od młódszych, którzy nie fremdowali, ustanowili *ferglajch*, czyli pojednanie towarzyskie, zaprowadzone w gospodach w Warszawie, Lublinie, Krakowie, we Lwowie, Bielsku i Białéj. Oni także sprawili ów puhar, o którym mówiliśmy wyżéj. Od tego to czasu do izby sesyonalnéj nieferglejchowany żadnego wstępu nie miał, nie należał do żadnych rad i opłacał składkę dubeltową, którą szafarzowi w piérwszéj izbie na tacy składał. Tak więc Gospoda stolarska dzieliła się na dwie klassy: 1mo na czeladników towarzyszów, 2do na czeladników wyzwoleńców, z których nie każdy nawet, choćby oznaczoną opłatę ferglajchową uiścić pragnął, bywał przypuszczonym. Zależało to od miejsca, z którego przychodził, od majstra, u którego się uczył, słowem, od łaski, jaką miał u panów towarzyszów, którą trzeba było umiéć wyjednać. Ztąd powstały niezgody i nieporozumienia między dwóma klassami, które, po wyjściu już obecnie obowiązującéj Ustawy rzemieślniczéj, spowodowały Urząd Star-

szych do skasowania znowu wielu zwyczajów, wielu nadużyć i do zaprowadzania téj reguły, aby każdy wyzwoleniec zaraz się ferglajchował, aby każdy do lady za wstęp swój do towarzystwa jednakową opłatę wnosił, i aby wszyscy takąż samą miesięczną składkę, czyli auflegę opłacali. Tym sposobem zrównała się niejako wszelka zdolna i pilna czeladź, i wyrobiła się ta organizacya, którąśmy w krótkości skreślić starali się, a któréj ceremonije i szczegóły właśnie z okazyi przystąpienia Ignasia do grona towarzystwa bliżéj poznamy.

W jedną niedzielę w grudniu, przypadła auflega kwartalna, na którą się PP. towarzysze licznie zebrali. Do grona ich przybyło dwóch bajzyc-majstrów, których Urząd starszych delegował. W pierwszéj zaś izbie znajdował się jeden wędrowny czeladnik i dwóch do ferglajchu wyzwoleńców, oprócz naszego bohatéra, który tam także czekał. Wtedy szafarz Gospody, P. Antoni Giżyński, wystąpił i rzekł:

— Za pozwoleniem panów towarzyszy, panów bajzyc-majstrów i ojca gospodniego! Którenby co ostrego lub kończastego miał przy sobie, łaskę

lub jakiekolwiek inne narzędzie, ma wydać to od siebie. Po skończonéj aufledze będzie mu nazad oddane, tak jak było od niego złożone.

Gdy wszyscy oświadczyli, że żaden przy sobie nic nie ma, że laski swe złożyli w pierwszéj izbie, szafarz skłonił się i otworzywszy drzwi do pierwszego pokoju, rzekł znowu:

— Za pozwoleniem PP. towarzyszy i t. d. którzy z podróży przybyli i którzy mają listy wyzwolenia i do ferglajchu przystępują, mają się przy stole i skarbie towarzyskim znajdować. Panowie bajzyc-majstrowie, starsi towarzysze i inni, będą już miejsca swoje wiedzieć.

Gdy wszyscy z ukłonem z piérwszego pokoju weszli i uszykowali się przy niższym końcu stołu, a członkowie Towarzystwa według rangi miejsca swe zasiedli, starszy Towarzystwa, przed którym stała skrzynka, i którym wówczas był Adwentowicz, powstał i skłoniwszy się zgromadzeniu, rzekł:

— Za pozwoleniem PP. towarzyszy. Taki jest zwyczaj w Królestwie Polskiém, w stołeczném mieście Warszawie, że towarzysze, co cztéry tygodnie na Gospodę zgromadzają się, i spokojnie i

przyzwoicie, pod strafem, odbywają auflegę, czego im Ustawa, przez księcia namiestnika wydana nie wzbrania — potém powiedziawszy obszerniéj o téj ustawie, dodał: — Główne wyjątki z tych artykułów prawa są za szkłem na ścianie i każdy powinien je sobie przeczytać i w pamięci zachować. Którzy przybyliście z podróży, i którzy przystąpiliście tu z nowemi lehrbriefami dla pojednania towarzyskiego, nim do książek towarzyskich auflegowych zapisani zostaniecie, przeczytajcie sobie te przepisy, jeżeli który nie czytał, abyście się do nich zastosowali.

Wszyscy nowi przystąpili do wiszącego na ścianie wypisu z Ustawy i czytali, a tymczasem Adwentowicz otworzył skrzynkę i rzekł:

— Auflega dzisiejsza po złotemu od osoby.

Gdy składka w cichości złożoną, przerachowaną i zapisaną została, a aspiranci do ferglajchu stali na swojém miejscu, Adwentowicz rzekł:

— Za pozwoleniem PP. towarzyszy. Kto ma jaką skargę, niech wystąpi przed stół towarzyski. Kto będzie miał sprawiedliwość, będzie usprawiedliwiony, kto zaś wykroczył, strofowanym będzie

według zwyczaju i prawa towarzyskiego. Po raz 1szy, 2gi i 3ci.

Gdy na wołanie to trzykrotne wszyscy odpowiedzieli milczeniem. Prezydujący dodał:

— Ponieważ jedność i zgoda pomiędzy nami są takie, że nikt się nie skarży i nikt nie ma być strofowanym, podziękowawszy więc w duchu ukrzyżowanemu Chrystusowi i Jego Przenajświętszéj Matce, że nas umacnia w pracy i miłości braterskiéj, a od swarów i kłótni broni, przystąpimy teraz do innych spraw towarzyskich.

Wtedy szafarz powstał i obracając się ku wędrownemu czeladnikowi, rzekł do niego:

— Za pozwoleniem PP. Towarzyszy. Przybyłeś WPan do miasta Warszawy i udałeś się do ojca i matki gospodniéj, jak należało. Witam więc WPana według zwyczaju kunsztu stolarskiego i zapytuję, zkąd przybywasz?

— Dziękuję WPanu i PP. Towarzyszom za przywitanie, i oraz przynoszę wszystkim ukłon od majstrów i towarzyszów kunsztu stolarskiego miasta Lublina, zkąd właśnie przybywam — odpowiedział wędrownik.

— Jakież jest WPana żądanie? — mówił znowu

szafarz.—Czyli żądaniem WPana jest miasto obejrzeć, albo z uczciwymi majstrami lub towarzyszami przy szklance piwa lub wina zabawić się, czyliż jest żądaniem u poczciwego majstra 14 dni pracować. To trzeba mi dać do zrozumienia.

— Miasto obejrzeć, to się już stało—odpowiedział wędrownik, dodając zawsze za pozwoleniem PP. Towarzyszy— z uczciwymi majstrami lub towarzyszami szklankę piwa lub wina wypić, to się jeszcze nie stało, ale się stać może. Tymczasem żądanie moje jest ferzentag u poczciwego majstra pracować, co gdyby mnie spotkało, bardzoby mnie kontentowało.

— Do mnie należy—odpowiedział szafarz—szykowanie dla WPana poczciwego majstra, u któregobyś ferzentag pracował, i to się zrobi. Tymczasem pokaż nam WPan kartę z Urzędu Starszych, żeś tam swoje kundszaft złożył.

Gdy wędrownik oddał swoje papiery, szafarz poprosił go na ustęp. Po przejrzeniu świadectw i karty z Urzędu Starszych, jeden z obecnych majstrów oświadczył, że czeladnika tego przyjmie. Wtedy szafarz wezwał go na powrót i rzekł:

— Podług życzenia WPana i dla ukontentowania

mojego, chodziłbym od najstarszego do najmłódszego majstra, aby WPanu robotę zaszykować. Ale ponieważ trafiłeś na sessyą auflegową, nie było tego potrzeby. Oto szanowny JP. Długosz, obecny tu bajzyc-majster, ofiaruje się według zwyczaju kunsztu stolarskiego dać WPanu roboty na dni 14, poczém do księgi towarzyskiéj zapisany będziesz. Winszuję więc szczęścia do pracy. W przeciwnym razie, gdyby wszyscy majstrowie WPanu za robotę podziękowali, winszowałbym WPanu szczęścia w dalszą podróż. Bo gdy worek naładowany i bóty załatane, dobrze się wędruje, choć wiele kosztuje. A teraz P. towarzyszu usiądź.

Wędrownik się pokłonił, odstąpił na bok i z daleka pod ścianą usiadł. Wtedy Adwentowicz podniósł się i znowu za pozwoleniem PP. Towarzyszy zwracając się do Ignasia, do którego się nieznacznie i serdecznie uśmiéchnął, rzekł:

— Jakież jest twoje żądanie?

— Abym mógł być przyjętym do grona towarzyszów— odpowiedział Ignaś.

— Czyli masz kartę z Urzędu Starszych i zgodny jesteś na wszystko, na co inni towarzysze, przystępujący do grona naszego, przystali?

— Przystaję na wszystko, na co inni przystali— odpowiedział Ignaś—i oto jest karta z Urzędu Starszych, jako otrzymałem list wyzwolenia i dopełniłem warunków, jakie przepisuje ustawa.

— Masz złożyć złotych 28, to jest 10 złotych polskich wstępnego, a 18 złotych polskich za ferglajch i dopuszczenie cię do praw towarzyskich. A teraz ustąp, aby PP. towarzysze swobodnie postępowanie twoje rozważyli.

Gdy Ignaś ustąpił, starszy zapytał, czy który z PP. towarzyszów nowemu wyzwoleńcowi nie ma co do zarzucenia. Długie było milczenie. Ale że nikt nie jest bez nieprzyjaciół, wystąpił jeden z towarzyszów, ów Batogowski, który zaraz z początku okazał niechęć dla bohatéra naszego, ciągle go prześladował, i nareszcie z warsztatu P. Hebla wyszedł, gdy postrzegł, że młody człowiek zyskiwał tam coraz więcéj względności, przyjaźni, a on na opinii i miłości kolegów tracił; Batogowski wyraził, że chociaż Ignacy Zabużski zdolnym jest i pilnym rzemieślnikiem, ale że to panicz, który nie będzie dobrym towarzyszem i coraz hardziejszym się zrobi; że w czasie ścięcia swiécy na Śgo

Józefa *), malca, któremu mowę napisał, od oblania go wodą obronił, a zatém sekret warsztatu zdradził; że ma jakąś pannę na Święto Jańskiéj ulicy, do któréj chodzi, i z którą czasem przez ulicę paraduje, co nie wolno; że chociaż nie widział go nigdy w kapeluszu i z laską, ale od niedawna chodzi z jakimściś paniczem, pod ręce się z nim prowadzi, i wtedy nie kłania się starszym, wniósł więc, aby dla nauczenia go pokory nadal, za takie postępki był osztrafowanym.

Wtedy wszyscy towarzysze z warsztatu Hebla, których tam było kilku, powstali z oburzeniem, a Adwentowicz uciszywszy wrzawę, odezwał się gorąco w obronie przyjaciela, wymówił Batogow-

*) W warsztatach stolarskich wszyscy rzemieślnicy pracują przy świécach od 5téj rano i potém do 9téj w wieczór, począwszy od Śgo Michała do Śgo Józefa. Na Śty Józef, jak się zacznie zmierzchać, zbiérają się wszyscy, majster i majstrowa, i zapalają jednę świécę. Wtenczas chłopiec najmłodszy ma mowę, którą mu kto ze starszych napisze, do zapalonéj świécy; potém ścina ją drewnianym pałaszem, a inni oblewają go wodą z pablaczu, gdzie siedzą zaczajeni ze dzbankami w ręku. Malec nic nie wie, że go taka kąpiel spotka, bo to sekret największy, i nie wolno go odkryć wstępującemu do warsztatu pod wielką karą.

skiemu jego niesłuszne uprzedzenie, które, jak okazał na samym wstępie takiego ucznia do warsztatu, tak i teraz objawia bez żadnéj przyczyny; że tym więcéj zasługi ma nowy wyzwolenice, że pochodząc z takiéj rodziny, w któréj są księżne i senatory, oddał się rzemiosłu, którego się nie wstydzi; że początkową surowość jego, jako werkfirera i kolegów znosił z pokorą; że nie zdradzając sekretu warsztatu, i nie mówiąc malcowi, że oblanym zostanie, kazał mu tylko natychmiast po zgaszeniu świécy uciec w kąt, a sam na jego miejscu stanął dla tego, że dzieciak ten był słabowity i miał wówczas febrę; że panna do któréj chodzi, jest jego daleką krewną i narzeczoną, a ten panicz, z którym go oskarżający widział, jest jego rodzony brat, także młodzieniec dobry i skromny, który chociaż się między panami wychował i tylko co z Paryża wrócił, jak wszedł do warsztatu, obszedł się z czeladzią po bratersku i za brata podziękował. Gdy po téj przemowie, jeden z bajzyc-majstrów, który się znajdował na uczcie u Hebla, gdy im sztukę czeladniczą bohatéra naszego prezentowano, dodał, że niepodobna, aby za tak błahe zarzuty sztrafowanym był młody

człowiek tak zdolny, którego robotę cały Urząd Starszych admirował, którego majster tak kocha, że go uczcił łzami i wiwatem, którego koledzy tak gorąco bronią, zawstydzony przeciwnik umilkł, i Ignaś jednogłośnie od wszelkiego zarzutu uwolnionym został.

Takie same zapytania, zarzuty i obrona, mniéj żwawa i bez interesu dla nas, miała miejsce i względem dwóch drugich wyzwoleńców, którzy z kolei ustępowali. Gdy się to wszystko skończyło, szafarz wezwał ich znowu przed stół towarzyski, a Adwentowicz rzekł do nich:

— Chociaż było przeciwko wam to i owo, ale się to usunęło, i za pozwoleniem PP. towarzyszów, PP. bajzyc-majstrów, i ojca gospodniego witam was, jako towarzyszów i kolegów.

Wszyscy się skłonili, a on daléj tak mówił.

— Wstępujecie oto w dniu dzisiejszym do grona naszego. Ale nie na tém tylko rzecz zależy, aby się zapisać w Gospodzie i udawać dumę towarzysza względem młódszych, ale na tém, żeby się stać użytecznym towarzystwu i być we wszystkiém przykładem.— Tu wyłożywszy, czém jest Gospoda, i jakie są ich obowiązki względem wędrownych,

chorych i podupadłych braci, objaśnił, jak koniecznąjest rzeczą wnosić miesięczną składkę i w téj powinności nigdy nie chybiać. Potém wyłożył im z prostotą, ale dosadnością, jaka go cechowała, zmieniając gdzie niegdzie i uzupełniając przepisaną w téj mierze przemowę, jak powinni postępować względem uczniów, jak względem kolegów czeladników, jak względem majstrów, u których dostaną robotę. Ostrzegał ich, aby się nie wdawali ze złą czeladzią, wyrzuconą z gospody i wałęsającą się bez zajęcia, aby unikali zawziętości jedni względem drugich, a pochlebstwa względem majstra, aby szanowali warsztat, do którego ich zaszykują; aby się nie wpraszali na robotę sami, chodząc po warsztatach i stając po bramach, bo to już lichy rzemieślnik, który szuka, a którego nie szukają i nie chcą. Dodał, jak powinni strzedz się przywłaszczenia sobie cudzéj własności wszędzie i zawsze, a tym bardziéj dla reputacyi kunsztu, gdy na robotę do cudzego domu wezwani będą. »Co nie jest wasze, mówił, niech waszém nie będzie, choćby to był najlichszy kawałek nitki. Nitkę do nitki przykładając, może się wielki ukręcić powróz.” Nareszcie upomniawszy, aby się

strzegli pijaństwa, jako matki wszystkiego złego, i długu, jako ojca kłamstwa i szalbierstwa, zachęcał do pilności i pracy, która im zabierze wszelki czas, że nie będzie chwili do kieliszka i hulanki, a da tyle dochodu, że dług stanie się niepotrzebnym. Na wypoczynek, mówił, i zabawę dosyć jest niedzieli, w którą tylko trumnę wolno wam robić, jeżeli tego będzie potrzeba, i zawoła śmierć, która nie zna niedzieli."— Skończywszy takie upomnienie, którego młodzi aspiranci słuchali z pokorą, a nawet i Ignaś, który o wszystkiem tém dobrze wiedział, a wiele z tych przestróg nie mogło się do niego stosować, Adwentowicz podniósł głos i dodał: — Czyście zrozumieli te uwagi i przestrogi, i czy przyrzekacie według nich zachować się?

— Przyrzekamy — odpowiedzieli wszyscy.

— Więc za pozwoleniem PP. towarzyszów, PP. bajzyc-majstrów i ojca gospodniego, zapisuję imiona wasze do księgi towarzyskiéj, winszuję wam, żeście przystąpili do tego pojednania towarzyskiego, i z uprzejmego serca wam życzę, abyście imie towarzyszów godnie nosili, abyście naśladowali tych braci naszych, których tu widzicie, a

dla młodszych i następnych byli wzorem i przykładem. Panie szafarzu! zaprezentuj WPan Wilkom i na tém skończymy posiedzenie nasze.

Wtedy szafarz wydobył z szafy puhar, już pełen wina, i gdy wszyscy powstali od stołu i ugrupowali się, szafarz stanął po środku i rzekł:

— Za pozwoleniem PP. towarzyszy. Chwalebny Wilkom ma być prezentowany. Lecz kto chce pić z niego dla honoru, może oświadczyć całemu zgromadzeniu.

Wędrowny towarzysz z Lublina przystąpił i rzekł:

— Gdy chwalebny Willkom ma być prezentowany, zatém proszę o pozwolenie PP. majstrów i PP. towarzyszów, abym z niego mógł pić tak, jak dawno z niego towarzysze pili. Trunek będzie mi miły, ale osoby jeszcze milsze.

— O ten zaszczyt prosimy i my — rzekł Ignaś w imieniu dwóch swych kolegów.— I nam trunek będzie miły, ale osoby i honor towarzystwa jeszcze milsze.

Wtedy szafarz, trzymajac prawą ręką od spodu, a lewą od wierzchu, zaprezentował puhar kandydatom tak, że wszyscy dotknąć go mogli prawą

ręką od wierzchu, a lewą od spodu. Prezentujący tak mówił:

— Za pozwoleniem PP. towarzyszów, przystępuję do prezentowania panom tego pamiętnego puharu, jak mnie i innym towarzyszom moim był prezentowany. Tak więc za zdrowie tych towarzyszów, którzy ten chwalebny Willkom postanowili, ukształcili i z niego smakowali; za zdrowie tych, którzy w późniejszych czasach będą go kształcić i smakować z niego będą; za zdrowie panów bajzyc-majstrów i starszego i podstarszego towarzyszów; za zdrowie ojca i matki gospodniéj; za zdrowie tych towarzyszów, którzy w robocie zostają, i tych, którzy na morzu, lądzie i po lasach się tułają, lub na zielonych łąkach spoczywają; za zdrowie wszystkich towarzyszów tu w obecności się znajdujących, tak starszych jak i młódszych, podług naszego uczciwego kunsztu stolarskiego.

To powiedziawszy, szafarz odkrył puhar i usta swe do niego przytknął, potém podał go żądającym. Każdy z kandydatów z kolei pił, i zawiesił na puharze pamiątkę, jaką na uczczenie téj chwili przyniósł. Wtedy szafarz schował puhar, a nowi

towarzysze wszedłszy w koło starszych, ściskali ich za ręce i dziękowali za honor, jaki ich spotkał. Adwentowicz ściskając Ignasia szepnął mu:

— Jakże się P. Ignacemu i tu nasza kompanija podoba.

— Jesteście zacni i dobrzy ludzie — odpowiedział Ignaś ze łzą w oku — i dziękuję ci P. Adwentowicz, żeś mi dopomógł do poznania was i z téj strony, z jakiéj mało znają was na świecie. Gdyby nie twój rozum i serce, nie byłbym tak szczęśliwym.

Gdy się już rozchodzić mieli, zastąpiła drogę nowym towarzyszom siostra gospodnia, i każdemu z nich ofiarowała fajeczkę, któréj cybuszek był ładnie wstążkami różnokolorowemi ozdobiony. Każdy z nich przyjął ten podarunek, oznaczający, że już im wolno palić fajkę, i nawzajem czém mógł ją obdarzył.

Dzień ten pamiętny dla bohatéra naszego, który postawił go w takiém położeniu, że gdzieby się obrócił, czy w kraju, czy za granicą, miał sobie każdy warsztat otwartym, i wszędzie przyzwoite utrzymanie zapewnioném, zakończył się

wesoło na Sto Jańskiéj ulicy, gdzie herbata była przygotowaną, i gdzie kompaniją, złożoną z domowych i Eugeniusza, z Hebla i jego żony, powiększył jeszcze Adwentowicz, którego Ignaś z sobą przyprowadził.

IV.

Przybycie pana Konstantego ocknęło Eugeniusza z tego odurzenia, w jakie go teraźniejszy sposób jego życia wprawił. W oczekiwaniu przybycia ministra, żył on tymczasem, jak prawdziwy panicz, którego wszystko bez jego wiedzy i przyczynienia się dochodzi, którego głównem zatrudnieniem są wizyty, proszone śniadania, obiady i wieczory, są te wszystkie przyjemności wyższego towarzystwa, w których stopniami i nieznacznie niedołężnieje ciało, umysł odwyka od wszelkiego wytężenia, a sercu przyrastają skrzydła motyle, które je tylko po kwiatach życia unoszą. Kładł się on późno i późno wstawał. Obudziwszy się, wylegiwał się w łóżku i marzył o tém wszyst-

kiém, co mu się wczoraj zdarzyło, przypominał sobie, wiele razy zbliżył się do panny Jadwigi, jakiém go obdarzyła powitaniem, jak patrzała na niego, gdy nikt na nią nie patrzył, jakiém go uszczęśliwiła słowem, jakie były z jéj strony oznaki tego przywiązania, którego codzień był pewniejszym, i które coraz bardziéj zakrywało przed jego okiem wszystkie te trudności, co ich rozdzielały. Przepaść, która nie dziś to jutro otworzyć się miała przed jego nogami i okazać mu całą swą głębią, osłaniała dziś przed nim łaskawość jego opiekunów, uprzejmość tego towarzystwa, co go przyjmowało i pieściło, niby to przyjaźń i podziwianie jego wyższości w tych wszystkich, z którymi żył tak poufale, iż mu się musiało wydać, że jest im zupełnie równym. Skoro wstał i ubrał się, albo myślał o tém, jakie ma obowiązkowe wizyty do oddania, którym uchybić nie wypada, albo od rana, to jest od jedenastéj, miał u siebie którego ze znakomitych swych znajomych, który także nie wiedział, co z rankiem swym zrobić? I czy sam gdzie wyszedł, czy kogo u siebie przyjmował, najczęściéj rozmowa miała za przedmiot lub wczorajsze śniadanie, lub obiad, albo wieczór;

najczęściéj na placu były tylko wdzięki téj lub owéj, stosunki i stosuneczki takiéj lub innéj pary, projekta uczczenia jaką ucztą téj lub tego, słowem, te wszystkie fraszki życia, które jak chwasty rozrastają się w głowach i sercach ludzi bez obowiązkowéj pracy, tak, że wszelkie inne nasienie głuszą i wytępiają. Wprawdzie dawniejszy zapas nauki i to wszystko co widział, a co mu głębsze podało refleksye, wystarczało Eugeniuszowi do górowania nad innymi w każdéj poważniejszéj rozmowie, jaka się zdarzyła; ale te rozmowy były rzadkie; bieżące sprawy towarzystwa, które każdy brał na seryo, zajmowały wszystkich, i jego także, wyczerpywały czas i siły, tak, że nie było ani sposobności, ani ochoty oddać się czytaniu, rozwadze, i zapas ten, jaki był, pomnażać, ubogacać i do dójrzałości doprowadzić. Tym sposobem bohatér nasz stał się jak i inni, miłym, grzecznym, wyelegantowanym i rozumnym próżniakiem. I sprawdziła się na nim głęboka myśl Tacyta, który powiedział, że *desidia primo invisa, postremo amatur*. Jakoż z początku walczył on z tym prądem, który go unosił, myślał o tém, żeby tylko wyższością umysłową podobać

się kochance i światu; ale wkrótce widząc, że i tego dosyć, co ma, że do dalszego nabywania nie ma czasu i potrzeby, bo panna Jadwiga kochała go takim, jakim był, a świat admirował go i przyznawał mu nawet więcéj, niż było, polubił to życie bez troski, bez mozołu i pracy, tak łatwe i tak powabne, przejął wszystkie jego formy i zwyczaje, i tém chętniéj mu się oddał, że mu dawało sposobność zbliżania się i rozmawiania z kochanką, bez narażenia jéj i siebie, że tym ciągłym wirem i stawianiem się na równi z innymi, mógł się ciągle odurzać, że w rzeczy saméj jest równy wszystkim, że jak każdy inny, może także nic nie robić, i mieć prawo do zyskania téj, co się stała duszą jego myśli.

Gdy pan Konstanty przybył i na nowo pokazał się na świecie warszawskim, wszystkie oczy się na niego zwróciły. Choć zimny, poważny i często milczący, ale piękny i rozumny, ściągnął on na siebie uwagę i mężczyzn i kobiet. Piérwsi widzieli w nim człowieka wielkich nadziei dla kraju i tych wszystkich ulepszeń, które już wówczas stawały się przedmiotem rozmów, i jako potrzeba i jako moda; drugie, pod tą zimną pokrywką

widziały ukrywający się wulkan uczuć, a pod tém milczeniem głębią myśli i rozumu, którą każda zgruntować pragnęła. Przytém pozór cudzoziemski i wielkie dobra na Ukrainie, dodały w oczach jednych i drugich tyle powabu temu nowemu gościowi, że Eugeniusz zszedł na drugi plan, i jako stare sitko zdjętym został z tego kołka, na którym świat warszawski pana Konstantego zawiesił.

Eugeniusz szacował go sam i wysoko jego przymioty cenił. Widział on wprawdzie, że ci panowie, którzy dawniéj w każdéj kompanii, skoro się pokazał, szli ku niemu, podawali mu ręce, otaczali go chętnie i słuchali, aż się odezwie, dziś zajmowali się tylko panem Konstantym; postrzegał także, że te same panie, które dawniéj uśmiéchały się do niego z daleka, wzrokiem i wachlarzem dawały mu znaki, aby się co prędzéj przybliżył i do konwersacyi z niemi zasiadł, dziś ścigały tylko okiem, gdzie się obraca Anglik z niezmierzonych stepów Ukrainy, kręciły się na miejscu, gdy do nich nie przystępował, i pod różnemi pretextami wstając z kanap i krzeseł, szły do niego same i otaczając go wonnym wieńcem swych

strojów, rozgrzewały tę zimną szynę palącym swym wzrokiem; wszystko to jednak nie bardzo go zastanawiało, nie dziwiło wcale i nie zdejmowało z jego ocz tego zaślepienia, jakie mu dawniejsze łaski i fawory tego świata niestałości i gładkiéj obłudy dały. Ale gdy się przekonał, że pan Konstanty bywa najczęściéj w domu kasztelana, że przyjmowany tam otwartemi rękami, i nie tylko jako człowiek rozúmny i dobrze wychowany, jako przyszły powinowaty, jako przyjaciel i mający być bratem ich syna, lecz z takiemi zabiegami, jakich nikomu nie okazują, z takiém uprzedzaniem ze strony kasztelana, które w części nawet ujmowało powadze starego człowieka, z taką serdecznością ze strony kasztelanowéj, która jéj była zupełnie nie zwyczajną; gdy widział, że Staś przylgnął do niego duszą i ciałem, że skoro może do siostry go prowadzi i obok niéj sadza, że i panna Jadwiga wita go zawsze uprzejmie, chętnie i długo z nim rozmawia, a on wówczas staje się żywszym, cieplejszym, jakby pod jéj okiem ten pancerz lodowy, co go okrywa, tajał i topniał; wtedy ocknął się biedny Eugeniusz z tego snu, co go dotąd tak słodko kołysał, i poczuł, jak śliz-

ki grunt pod jego nogami, jak blizką jest ta przepaść, którą bądź co bądź przesadzić musi, lub na dno jéj upaść. I odtąd zaczęły się dla niego dni zwątpienia, i na drodze jego wyrastał coraz nowy cierń, który go boleśnie zakłuwał. Wprawdzie panna Jadwiga, dostrzegłszy, że Eugeniusz widzi na co się zanosi; że nieraz blednie i mieni się, gdy patrzy na tę uprzejmość, z jaką pana Konstantego przyjmują rodzice; że nieraz porywa się z miejsca i opuszcza salon, gdy ona ze strasznym dla niego współzawodnikiem rozmawia; że coraz rzadziéj bywa w tych kompanijach, gdzie dawniéj pewnym był, że ją obaczy, starała się łagodzić jego smutek, i nieraz umocniła go miłém słowem, nieraz spójrzała mu w oczy tak, jakby go błagała, aby się nie straszył pozorem i nie upadał; wszystko to jednak nie na wiele mu pomagało. Kasztelan i kasztelanowa coraz bardziéj przyciągali do siebie znakomitego Ukraińca, coraz wyraźniéj okazywali mu rodzicielskie przywiązanie; Staś coraz widoczniéj go ośmielał i nie taił przed nikim, że wszystkie szanse są za nim; a świat Warszawski, ciekawy i domyślny, głośno się już odzywał, że pan Konstanty stara się o pannę

Jadwigę, że rodzice łapią go jak mogą, że brat panny ciągnie go do siostry wszystkiemi siłami, że panna Jadwiga jest wcale nie od tego, i byłaby nierozumną, gdyby odrzucała taką partyę, która dla każdéj i młodszéj od niéj i bogatszéj jest piękną i pożądaną. Takie mowy dochodziły do Eugeniusza, trapiły go jak furye, ścigały go we śnie i w czuwaniu, a nie miał odwagi pomówić z kochanką otwarcie, dowiedzieć się jakie jéj postanowienie, i przekonać się, czy będzie miała odwagę i serce zabić te nadzieje, które sama podnieciła, i które dobrocią swą w tak cudne przybrała szaty.

Stan ten trwał ze cztery tygodnie. Zmienił on tak dalece Eugeniusza, a przez to tak wpłynął i na zmianę humoru panny Jadwigi, że aż kasztelanowa to postrzegła. Zaczęła więc bliżéj się im przypatrywać, i wtedy dopiéro, przypominając sobie różne dawniejsze okoliczności, śledząc teraz ich wejrzenia, słowa i każde poruszenie, padła na myśl, że rodowi jéj i planom, przez tak niedorzeczne przywiązanie córki, do którego i jéj łaska dla ozuchwalonego nią młodzieńca mogła dać powód, widoczne zagraża niebezpieczeństwo.

Oburzyło ją to niesłychanie, wyrugowało z jéj serca wszelką życzliwość, jaką dla bohatéra naszego miała, i skłoniło ją do przyśpieszenia téj chwili, w któréj jawne oświadczenie się pana Konstantego i jego przyjęcie, położy tamę nadziejom niewdzięcznego zuchwalca i głupim marzeniom córki. Nie dawszy jednak nikomu poznać powodów, dla których pragnie aby się los panny Jadwigi jak najprędzéj rozstrzygnął, nie zdradziwszy ani przed mężem, ani przed synem trwogi, jaka ją opanowała i napełniała wstydem i wyrzutem, pewna przyzwolenia męża, bo widziała jego przywiązanie, pewna gorliwości syna, bo nie uszły jéj oka zabiegi, aby dla przyjaciela, skłonił serce siostry, pomówiła ze Stasiem i dała mu poznać, iż się dziwi, że pan Konstanty tak długo formalne oświadczenie zwleka, kiedy już dawniéj chęci jéj swe oznajmił, kiedy dziś i ona i Jadwisia widzi jego intencye, kiedy świat cały mówi już o tém, i zapytaniami swemi, na które nie wié co odpowiedzieć, nieraz ją żenuje.

— Ale moja mamo — odpowiedział Staś ucieszony—Kostuś niczego więcéj nie pragnie, jak téj chwili, która mu da tak wielkie w jego oczach

szczęście; chciałby jednak wprzódy być pewnym serca Jadwisi. Tymczasem Jadwisia nie chce go rozumieć. Grzeczną jest, dobrą, ma dla niego dużo przyjaźni, to widzimy wszyscy: ale wiele razy dawał jéj poznać, że mu nie o jéj przyjaźń tylko idzie, zawsze zwracała mowę do czego innego, tak, że biedny Kostuś zmieszał się i nastawać na nią nie śmiał. Ja także chciałem nieraz z niéj wydobyć, co myśli, i rozpoczynałem o tém mowę. Ale i mnie zbywa tak, że doprawdy nie rozumiem jéj wcale. Przyznam się mamie że mnie to w najwyższym stopniu niecierpliwi, i daje mi bardzo złą opiniję o rozsądku téj przemądréj Jadwisi, która się na takim człowieku jak Kostuś poznać nie umié.

— Ja ją rozumiem—rzekła na to poważnie kasztelanowa — i kiedy ci ja mówię, że jest pora aby się odezwał, jeżeli ją kocha i ręki jej pragnie, to możesz wierzyć i upewnić go, że nie chciałabym skompromitować ani jego, ani siebie.

Staś uszczęśliwiony ucałował rękę matki i pobiegł z tak pomyślną wieścią do przyjaciela. Pan Konstanty nie dał sobie dwa razy mówić, i tegoż dnia jeszcze przyszedł, a zastawszy kasztela-

nowę samą, gdyż panna Jadwiga siedziała przy ojcu, cokolwiek cierpiącym, zaczął jéj dziękować za ośmielenie go do wyjawienia tych uczuć i chęci, które jéj od dawna nie były tajne. Kasztelanowa mu odpowiedziała:

— Wiész pan o tém dobrze, jak pana szacujemy i kochamy. Znając poważne usposobienie córki naszéj, widząc jak trudną jest w wyborze, drżałam zawsze o jéj los i prosiłam Boga, aby jéj dał męża, coby sercem skłonioném do surowszéj strony życia, i ukształceniem odpowiadającém jéj ukształceniu zapewnił jéj szczęście i stał się takim jéj towarzyszem, któremu śmiało i bez wyrzutów mogłabym przyszłość jéj powierzyć. Na dzisiejszą prośbę pana—dodała podając mu rękę—odpowiém panu tylko tyle, iż widzę, że Bóg próśb moich nie odrzucił i modłów mych wysłuchał.

Pan Konstanty wzruszony ucałował z uszanowaniem jéj rękę i rzekł:

— Jak mię pani szczęśliwym czynisz i przyzwoleniem swém, i objawieniem téj ufności, jaką masz we mnie, tego wyrazić nie zdołam. Nie zwykłem ja uczuć moich afiszować, i więcéj jest bez wątpienia w mojém sercu, niż na twarzy i

w słowach. Może więc panna Jadwiga nie odgadła jeszcze jak głęboko, jak serdecznie ją kocham. Wyraźnie jéj tego powiedzieć dotąd nie śmiałem, a pół-słów moich, na którém się odważał, i które zapewne były niezgrabne i niezrozumiałe, nie musiała zrozumieć, bo dotąd nie wiem jeszcze, jakie jest jéj względem mnie usposobienie, i czy ta życzliwość, którą widzę, i którą się pysznię, na tkliwsze przywiązanie zamienić się może. Teraz, gdy wiem, że mam panią za sobą, że mi ufasz, że chętnie i bez trwogi skarb taki sercu memu powierzysz, będę śmielszym, i przy piérwszéj sposobności złożę u nóg panny Jadwigi moje szczęście, moje wszystkie nadzieje i całą mą przyszłość. Nim to jednak nastąpi, radbym wprzód otworzyć myśl moją panu kasztelanowi, i z jego pozwoleniem i błogosławieństwem przystąpić do téj, któréj słowo ma mię zbawić.

— Mój mąż dziś nie zdrów i przyjąć pana nie może — mówiła kasztelanowa. — Ale przyjdź pan jutro rano, zaraz po śniadaniu. Że on oświadczenie pana przyjmie ojcowskiém sercem, o tém nie wątpisz. Jadwisia będzie także przygotowaną, i tak jutro wszystko się skończy. Wiedząc, że my

oboje równie pragniemy nazwać pana naszym synem, córka nasza chętnie zapewne odpowie na propozycyą, jaką jéj pan zrobisz, i poda rękę człowiekowi, którego szacuje i któremu sprzyja.

Pan Konstanty podziękował i poszedł. Kasztelanowa długo chodziła po pokoju, myśląc nad tém, czy wprost córce zapowiedzieć, że taka jest jéj wola, i że inaczéj być nie może, czy zostawić tę ważną okoliczność naturalnemu biegowi i czekać, jaką da panu Konstantemu odpowiedź, gdy ten stanie przed nią uzbrojony pozwoleniem rodziców i prośbę jéj swoją przełoży. Rozsądek i przywiązanie, jakie miała do panny Jadwigi, skłaniały ją do tego ostatniego postanowienia. Myślała sobie, że jeżeli się jéj i zawróciła cokolwiek głowa pięknym i poetycznym młodzieńcem, z którym się wychowała, to jawnie okazana miłość takiego człowieka, jak pan Konstanty, którego chcą rodzice, którego jéj cały świat zazdrościć będzie, odpędzi niedorzeczne mary, a rozsądek, czas i aprobacya wszystkich życzliwych i rozumnych ludzi dokona perswazyi, i skłoni ją, że bez użycia powagi rodzicielskiej zrobi to, czego tak bardzo pragną, i co z jéj własnym szczęściem tak mo-

cno się zgadza. Ale z drugiéj strony, gdy wyobraziła sobie, że przez ten czas młodzi ludzie mogą się więcéj porozumieć, że niebezpieczeństwo utracenia jéj na zawsze może zrobić Eugeniusza śmielszym, a widok jego boleści i obawa rozpaczy, choć jéj nie doprowadzi do żadnego kroku, przez którýby uchybiła sobie, może zaciąć ją w uporze i skłonić do stanowczego odrzucenia takiéj partyi, jaka się już drugi raz nie zdarzy, zmieniła myśl i postanowiła tak szybki wszystkiemu dać obrót, aby nie mieli czasu do namyślenia się i do przedsięwzięcia jakiegobądź środka, któryby się woli jéj oparł. W tym celu zadzwoniła i kazała poprosić do siebie córkę.

Panna Jadwiga wiedziała już od brata, który razem z panem Konstantym przyszedł, że przyjaciel jego znajduje się u matki i że tam ważna odbywa się konferencya. Źle ukrywana radość Stasia, żarciki i półsłówka, jakiemi ją drażnił, a nadewszystko wielkie ściśnienie, jakie w piersiach swych uczuła, powiedziało jéj o co tam idzie. Gdy więc kamerdyner wszedł i wezwał ją do matki, wstrzęsła się cała; ale niechcąc straszyć ojca swym stanem, odpowiedziała spokojnie,

że zaraz przyjdzie, doczytała jeszcze do końca ćwiartki, która zamykała rzecz zaczętą, i złożywszy książkę i pocałowawszy go w rękę, poszła.

W sali, przez którą iść miała do gabinetu matki, stał Eugeniusz, blady, znękany i patrzył ku drzwiom kasztelana. Gdy postrzegł wychodzącą ztamtąd pannę Jadwigę, na któréj twarzy zmienionéj była trwoga, która opanowała jéj serce, cofnął się i ręce załamał. Panna Jadwiga obejrzawszy się na drzwi drugiego salonu, który ich przedzielał od gabinetu matki i widząc, że są zamknięte, zbliżyła się do niego prędko, i patrząc mu w oczy z wyrazem bolu i miłości, rzekła ciszéj:

— Eugeniuszu! mam z tobą wiele do mówienia. Bądź koniecznie na dzisiejszym wieczorze na Bielańskiéj ulicy.

— Zlitowałaś się więc pani nademną i powiész mi wreszcie, czego mam się spodziewać — rzekł Eugeniusz biorąc jéj rękę i cisnąc mocno w swoich dłoniach.

— Widzisz co się robi, Eugeniuszu! — odpowiedziała drżącym głosem — co będzie, nie wiém. Ale znasz moje serce; i jeżeli wierzysz, że to serce

czegoś warte, to bądź mężnym, bo mię twój stan zabija.

— O aniele dobroci!—zawołał ośmielony młodzieniec, a podniesiony temi słowy, chciał ją przyciągnąć do siebie. Panna Jadwiga odskoczyła i popatrzyła na niego z dumą. A gdy Eugeniusz w téjże chwili upadł na kolana, złożył ręce i łzy potoczyły się z jego oczów, zbliżyła się zwolna do niego, położyła obie ręce na jego głowie, i rzekła z dziwnym wyrazem rozrzewnienia, czułości i opieki:

— Biedny Gieniuszu! może mi Bóg dopomoże, że nie złamię twych skrzydeł. A teraz idź, i bądź mężnym.

Młody człowiek porwał się i uciekł, a ona postała jeszcze przez chwilę, patrząc na to miejsce, gdzie klęczał, potém potarłszy ręką czoło, odwróciła się i poszła do matki.

Gdy weszła, kasztelanowa siedziała przy biórku swém i zajęta była pisaniem. Panna Jadwiga stanęła z boku, czekając aż matka skończy, kontenta że ma cokolwiek czasu do uspokojenia tych wzruszeń, które ją opanowały. Kasztelanowa rzuciła na nią okiem, widziała jéj zmieszanie, ale

udając, że nic nie widzi, pisała dalej. Po niejakim dopiéro czasie tego oczekiwania, przez który serce panny zalęknionym uderzało ruchem, matka położyła pióro, obróciła się do córki i z wyrazem powagi i udanéj spokojności rzekła:

— Siądź tu koło mnie Jadwisiu! mam ci zwiastować nowinę, która mię serdeczną napełniła radością.

Gdy panna Jadwiga milczała, kasztelanowa mówiła daléj niby z uśmiechem:

— Był tu u mnie pan Konstanty, oświadczył się o twoją rękę, i ja oświadczenie jego przyjęłam.

— Przyjęła je mama bezemnie — zapytała panna Jadwiga blednąc i drżąc cała.

— Wiedziałam o tém, że go szacujesz — mówiła matka spokojnie — widziałam twoją dla niego życzliwość i przyjaźń, wiém także, że masz rozum i pojmujesz to, iż panna w twoim wieku i twojém położeniu przyjmie chętnie oświadczenie człowieka, któremu ani ona, ani rodzice nic mają nic do zarzucenia, a którego cały świat zazdrościć jéj będzie. Dla tego przyjęłam jego prośbę,

i obowiązałam się skłonić cię do przyjęcia jéj tak, jakieś powinna.

— Widzę, że tu rzeczy zaszły za daleko—rzekła panna Jadwiga, kładąc rękę na czole, i namyślając się, co ma odpowiedzieć. Gdy matka patrzyła na nią wytężonym wzrokiem, podnosząc głowę, dodała—Czy mama każe, żebym po prostu odpowiedziała: tak lub nie?

— Będzieszże miała cokolwiek na usprawiedliwienie tego *nie*, jeśli ośmielisz się je wymówić— rzekła kasztelanowa zaciskając wargi.

— Jeżeli mi mama pozwoli wytłómaczyć się— mówiła panna Jadwiga z pokorą.

— Kiedyż to nie wolno ci było wyjawić matce swéj myśli?—dodała matka surowiéj.

— Moja droga mamo!—rzekła wówczas panna Jadwiga, patrząc jéj w oczy z miłością i czcią— byłabym niewdzięczną i nieznającą twego serca, gdybym mogła pomyśleć, że mnie chcesz dla jakichbądź widoków poświęcić; że ten wybór, jaki zrobiłaś bezemnie, nie jest dziełem twéj miłości i téj troskliwości macierzyńskiéj, którą czczę i szanuję. Bo w rzeczy saméj, wybór to jest dobry, i dla każdéj innéj, a nawet dla mnie w in-

12**

nych okolicznościach, byłby pożądanym i chlubnym. Pan Konstanty ma szacunek wszystkich rozumnych ludzi i mój, ma życzliwość tych wszystkich, którzy go bliżéj znają, a zatém i moją, która go znam lepiéj niż inni. Nie mówię o jego wielkiéj fortunie, bo to dla mnie nie jest wzgląd piérwszy i jedyny, o odpowiedności jego wieku, a nawet o tém ukształceniu prawdziwie wyższém i gruntownem, którém wielu innych przenosi; ale ja w nim szanuję najwięcéj jego zasady, i tę odwagę jaką ma, że je objawia śmiało i otwarcie, tę moc, jaką go Bóg obdarzył, że według tych zasad poczciwych i rodzimych działa i postępuje. Jest to więc w moich oczach człowiek, którego wszystkie przymioty zdolają zapewnić szczęście każdéj kobiéty która go będzie warta.

—Zatém cóż?—rzekła kasztelanowa łagodniéj i z uśmiechem, widząc z tego panegiryku, że się nie zanosi na to *nie*, którego się bała.

—To moja mamo, że mimo to wszystko...—mówiła panna Jadwiga spuszczając oczy.

—Że mimo to wszystko—przerwała ostrzéj matka—jeżeli powiész *nie*, to będzie znakiem, żeś go niewarta.

— O! bynajmniéj. Tak nizko o sobie nie myślę — odpowiedziała panna Jadwiga z wyrazem uznania swojéj wartości. — Ale, że mam zbyt wysokie pojęcie o powinności żony, a dotąd nie myślałam jeszcze nad tém i nie zbadałam siebie, czy jéj względem człowieka, którego szacuję i którego zawieść nie chcę, dopełnić zdołam, dla tego błagam cię droga mamo, abyś uprzedziła pana Konstantego, żeby uważał za stanowczą nie tę odpowiedź, jaką ty mu dałaś, ale tę, jaką ja mu dam sama, według mego serca i sumienia kobiéty uczciwéj, znającéj siebie, i któréj słowo jest dla niéj religiją.

Kasztelanowa patrzyła długo na córkę, na któréj twarz wystąpiła niejako moc jéj duszy, okryła ją zacnym rumieńcem i dziwnie piękną zrobiła. Po niejakim czasie powstała i rzekła:

— Rób jak chcesz. Gwałtu zadawać ci nie myślę. Zapowiadam ci tylko, że to jest najgorętsze życzenie mego serca, że to jest moja wola, ugruntowana na tém przekonaniu, że żadna inna partya nie odpowie tak naszéj miłości dla ciebie, jak ta, nie zapewni tak twego szczęścia i pokoju całego życia, jak ta. Wybrałam ją według

serca i sumienia matki, która za przyszłość dziecka swego odpowiada przed Bogiem; przyjmij ją lub odrzuć według serca i sumienia dziecka, które za pokój i radość swych rodziców także się przed tymże Bogiem rachuje. Dziś dosyć na tém. Idź i namyśl się, abyś wiedziała, co odpowiedzieć ojcu, który ci jutro to samo powié.

I to rzekłszy z powagą i z wyrazem głębokiego zasmucenia, przeszła koło zalęknionéj głosem tym córki i udała się do męża. Panna Jadwiga zostawszy samą, zalała się łzami, załamała ręce, i stojąc tak, jak cudny posąg, wyrażający boleść i miłość, rzekła wreszcie półgłosem:

— Biédny! biedny mój Eugeniusz! — potém zwolna i chwiejąc się poszła do swego pokoju.

O godzinie w pół do dziesiątéj stała jeszcze karéta kasztelanowéj w sieniach. Eugeniusz ożywiony słowami kochanki, pełen nadziei, że się więcéj jeszcze umocni drogą i serdeczną z nią rozmową, do któréj w tłumie takim znajdzie się sposobność, przeszedł koło zaprzężonego powozu, i pewny, że zaraz pojadą, pobiegł na ulicę Bielańską. Lecz w domu kasztelanowéj nie było żadnego ruchu, żadnego znaku, że się panie wybiera-

ją. Kareta stała, bo taki był od rana wydany rozkaz; ale zresztą była tam cisza grobowa. Staś wcześnie ubrał się i pojechał do pana Konstantego, z którym mieli przyjść razem; kasztelanowa powróciwszy od męża o godzinie ósméj, siedziała w swoim gabinecie, i nie dzwoniła na pannę służącą; a panna Jadwiga zamknięta w swoim pokoju, z zapuchłemi od płaczu oczami, myślała tylko o tém co począć, co się z nią stanie, co się stanie z tym, którego tak serdecznie kochała. Gdy więc kamerdyner po oddaleniu się już Eugeniusza dał znać pani, że karéta oddawna czeka, kazała odprządz konie, powiedzieć córce że nie pojadą, i nikogo nie przyjmować.

Wieczór był świetny, gospodyni uprzejma, pięknych pań dużo, stroje pełne blasku i gustu. Eugeniusz, który od niejakiego czasu prawie się nie pokazywał, zjawieniem się swém znowu zrobił efekt. Poważném, zamyśloném czołem i bladością twarzy swéj zainteresował on wiele dam, które przed zaczęciem tańców przechadzając się, przystępowały do niego troskliwie wypytując, dla czego teraz tak rzadko bywa, dla czego blady i zdaje się smutnym. W zapytaniach tych Eugeniusz

dostrzegł intencyą wybadania go i tę ciekawość kobiécą, którą w braku dokładnéj znajomości tak dobrze zaspakaja domysł. Intencya ta była tém widoczniejszą, że razem zapytywały, czemu dotąd kasztelanowéj nie ma, i gdzie się pan Konstanty obraca. Przykre mu było to odkrycie, które teraz zrobił, że w tych kobiétach tak pięknych, tak ukształconych, tak na pozór dobrych, interesowanie się innymi łączy się najczęściéj ze złośliwością. Odpowiedziawszy więc niedbale, że przyczyną jego absencyi była choroba, usunął się w kąt, i czekał przybycia kasztelanowéj. Gdy już zbliżyła się dwónasta, a widać jéj nie było, przystąpił do Stasia, i z wyrazem niespokojności, któréj zapewne utaić nie mógł, zapytał go, czy panie nie będą wcale.

Staś, który go od niejakiego czasu coraz hardziéj traktował, czy przez zakorzenioną niechęć, jaką do niego miał, czy że zrobił takie same postrzeżenie, jakie zrobiła matka i uważał go za jedyną przyczynę obojętności siostry dla przyjaciela, w którym był rozkochany, spójrzał mu bystro w oczy i rzekł z ironicznym uśmiechem:

—Cóż cię to tak bardzo obchodzi? Czy nie masz

komu prawić poetycznych andronów? wiész że moja matka ich nie lubi.

— Słuchaj Stasiu! — rzekł mu Eugeniusz ciszéj i zaciskając zęby — taką drogą możemy zajść bardzo daleko, i mogę zapomnieć, że twój ojciec jest moim dobroczyńcą.

— Nie wiém, kto z nas gorzéj na tém wyjdzie — odpowiedział hardy panicz, odwrócił się i odszedł. Eugeniusz opuścił salę, wzburzony, rozgniewany, upokorzony niechęcią człowieka, którego niczém rozbroić nie mógł, a do oszczędzania go tyle miał powodów. Więc prawie nieprzytomny sobie wracał do domu, który mu się stawał coraz przykrzejszym, mimo to, że tam był jego anioł opiekuńczy. Boleśny ten jego stan pogorszała jeszcze ta myśl, że skoro nie przybyła, musiało się stać cóś stanowczego, cóś takiego co zagadkę życia jego rozwiąże. W pokoju swym znalazł na stole bilecik następujący.

»Eugeniuszu! Zawiodłam cię. Zmartwiona i zapłakana nie mogłam nawet pomyśleć o dzisiejszym wieczorze, na którym nie byłabym nawet wtedy, gdyby mama mogła i chciała być na nim. Ale i dla niéj był to dzień boleśny, bo nie zna-

lazła we mnie takiego posłuszeństwa, jakiego się spodziewała, jakiego się spodziewać mogła, wybrawszy dla mnie człowieka, który zasługuje na szacunek powszechny, a któremu ty nawet przychylności twéj odmówić nie możesz. Lecz od szacunku i przyjaźni jakże daleko jeszcze do tych uczuć, któremi Bóg nas związał od dzieciństwa, które ja widziałam w tobie zawsze, któreś ty postrzegł we mnie oddawna, a bez których nie byłabym tém czém jestem, bo one są kwiatem mojéj myśli, drogim brylantem, który świeci w głębi mojéj duszy. A jednak nie wiem co będzie. Stoję nad brzegiem strasznym i w oczach mi się ćmi i w głowie się kręci. Mam do wyboru albo nieposłuszeństwo najlepszym rodzicom, albo wyrzeczenie się téj nadziei że kiedyś w obec Boga i ludzi będę ci mogła powiedzieć: kocham cię Eugeniuszu! tak, jak ci to teraz ze łzą w oku i z bolejącém sercem mówię. Ubłagałam a raczéj siłą postanowienia, które widne było w moich słowach, wymogłam na mamie, że mi powiedziała: rób jak chcesz, gwałtu ci zadawać nie myślę. Ale drżę jeszcze, gdy przypominam jéj słowa, tak słuszne i macierzyńskie, że postąpiła według ser-

ca i sumienia kochającéj matki, i że i ja postąpić powinnam według serca i sumienia dziecka, dbałego o pokój i radość rodziców. O Eugeniuszu! cóż się ze mną stanie, gdy jutro ojciec odezwie się do mnie tym samym głosem? Znajdęż odwagę zasmucić oporem to złote serce, które mnie tak kocha, zdobędęż się na sprzeciwienie się człowiekowi, którego czczę, przed którego stopami proch bym zamiatać chciała. Ach! gdybym śmiała przynajmniéj otworzyć mu moją duszę, powiedzieć mu, jak cię kocham, jak dalece miłość ta do życia ducha mego jest potrzebną i nieodzowną, on, który cię zna, który był dla ciebie drugim ojcem, zrozumiałby mię, ulitowałby się nad mojém sercem, powstrzymałby może ten wyrok, który nad nami wisi. Ale téj odwagi nie mam, mój drogi Eugeniuszu! Nie odezwę się, nie powiém ani słowa, bo drżę na samą myśl, coby się stało, nie ze mną, o! ja o siebie nie dbam, ale z tobą mój biedny Eugeniuszu! któregobym wówczas zgubiła bez ratunku. Oto jest nasze dzisiejsze położenie, smutne, bolesne, i z którego tylko Bóg jeden wyprowadzić nas zdoła. Jak wyprowadzi, tego nie wiem; ale czyż niedołężne oczy nasze wi-

dzą wszystkie drogi jego miłosierdzia? Do jutra więc, mój drogi! wielkie i stanowcze jutro nas czeka. Tymczasem... ach! mogęż cię umacniać, ja która sama upadam."

Łatwo sobie wyobrazić, co się działo z Eugeniuszem, gdy oko jego przebiegało kilkakrotnie te słowa, a łzy padały na ten papiér, który stał się dla niego nieocenionym skarbem, którego równie jak życia i honoru nie dałby sobie odjąć bezkarnie. Nie będziemy rozbiérać tych uczuć, jakie nim miotały, usiłowania nasze byłyby daremne. Powiemy tylko, że go sen odbiegł zupełnie, że chodząc po pokoju i przebiegając myślą całe swoje życie, szukał w niém napróżno chwili podobnéj do téj, któraby zamykała w sobie tyle radości i smutku, tyle szczęścia i bolu, tyle nadziei i zwątpienia. Wszystko, czego dawniéj doznał, było małém i drobném, bladém i martwém w porównaniu z tą dumą, jaką czuł na tę myśl, że jest tak mocno kochanym, z tą rozpaczą, jaka szarpała jego pierś na tę myśl, że ją musi utracić, że nie ma środków ratowania ani jéj, ani siebie. W takim stanie przebył do rana; i gdy w domu krzątać się zaczęto i dzień

zimowy już był niedaleki, zmęczony i upadający na siłach, rzucił się na łóżko i w śnie gorączkowym przespał do dziewiątéj. Wstawszy, usiadł znowu przy stoliku i jeszcze raz list jéj czytać zaczął. Gdy przyszedł do tego miejsca, w którém panna Jadwiga mówi o ojcu z taką czcią i miłością, łzy mu się z ócz puściły. Wyobraził sobie Eugeniusz szlachetną postać kasztelana, jego twarz pełną dobroci, jego czoło pełne myśli i tak piękną okryte siwizną, jego głos i wejrzenie, w którém malowała się dusza, tak skłonna do litości i współczucia. I wtedy nagle, jakby jakie światło błysnęło przed jego okiem, przyszło mu do głowy, że nikt inny, tylko on poda im rękę, stanie się tém narzędziem miłosierdzia Bożego, o którém wspomniała, i tę gorzką czarę od ust ich usunie. Uderzony tą myślą, chwyciwszy się jéj, jakby jedynéj deski zbawienia, usuwając wszystkie względy osobiste, zapomniawszy, że nie tylko dumna kasztelanowa, ale nawet on, tak dla niego łaskawy i dobry, może go posądzić o niewdzięczność, o zuchwalstwo, o chęć zepsucia losu téj, któréj serce starał się odurzyć, a któréj osoba powinna była być dla nie-

go świętą, tak wysoko nad nim postawił ją los i dobrodziejstwo, jakie odebrał, ubrał się co prędzéj i postanowił upaść do nóg kasztelana i powiedziéć mu to wszystko, czego panna Jadwiga, powstrzymywana wstydem dziewiczym i bojaźnią zgubienia go, wyznać ojcu nie śmiała. Już miał wychodzić, gdy mu przyszło na myśl, że może tam zastać kasztelanowę przy śniadaniu u męża, który jeszcze nie wychodzi, że ona go pewnie oblega, aby córka nie miała czasu pomówić z ojcem i oddać się pod jego opiekę, choćby nawet śmiała, że widok téj kobiety, jeżeli ją tam zastanie, zmiesza go i usta mu zamknie, że wreszcie lepiéj się potrafi wypisać i mocniéj i śmieléj wyleje swe uczucia i prośbę swą przełoży. Takie mając powody, wrócił już ode drzwi, usiadł i drżącą ręką te kilka słów do kasztelana napisał:

»Jaśnie wielmożny panie! W chwili najważniejszéj w życiu mojém piszę te słowa, które racz przeczytać, nim wydasz wyrok, który dwa serca złamie. Odzywam się tu do ojca, który dziécię swe nad wszystko kocha, odzywam się do najszlachetniejszego człowieka, który najlichszemu

ze sług swych nigdy nie zrobił krzywdy. Od dawna wiedziałem, komu przeznaczacie rękę córki waszéj. Milczenie i ukrycie w sercu wielkiego bolu, który je rozrywał, było moją powinnością, bo to człowiek zacny i wart takiego losu, jaki go czekał, bo mi się zdało, że panna Jadwiga mu sprzyja, i wybór wasz, jeżeli nie z radością, to przynajmniéj spokojnie przyjmie. Dziś wiém, że tak nie jest. Bóg mnie dał to najwyższe szczęście, jakiego pan Konstanty nie otrzymał. Ta szlachetna istota, któréj dałeś życie, która otrzymała od ciebie duszę i myśl wysoką, kocha mnie, i w śmiertelnéj walce między tą miłością a posłuszeństwem dla was, losu swego oczekuje. Nie ulitujeszże się JW. pan nad własném dzieckiem? znajdzieszże w sobie dość mocy, abyś jéj kazał być żoną innego? O nie, temu nie wierzę, i dla tego odezwanie się z tą tajemnicą, która w innych okolicznościach poszłaby ze mną do grobu, uważałem za święty swój obowiązek. Czy mię teraz JW. pan przyciśniesz do serca jako ojciec, czy mię odepchniesz od siebie jako zuchwalca i niewdzięcznika, o tém nie myślę; ale ściskając stopy twe błagam cię i za-

klinam, nie wymagaj od córki swéj posłuszeństwa, które ją zabije, i nie każ jéj przed Bogiem i ołtarzem kłamać miłość dla innego, kiedy ją ma dla mnie.”

Koło godziny dziesiątéj, jak przewidywał Eugeniusz, kasztelanowa była już w pokoju męża. Oboje, skończywszy śniadanie, siedzieli jeszcze, rozmawiali o przyszłym losie swych dzieci i oczekiwali pana Konstantego. A chociaż kasztelanowa nie zupełnie pewna była, co odpowie córka, a wczorajsza z nią rozmowa tkwiła jéj w pamięci, ukryła jednak w sobie wszelkie trwogi, jakie ją trapiły, a polegając na téj nieograniczonéj miłości panny Jadwigi dla ojca, starała się wmówić w męża, że ona przyjmie chętnie oświadczenie człowieka, którego szacuje, że jeżeli nawet zbyt gorącego przywiązania z jéj strony nie ma, to sam rozum, miłość dla rodziców i aprobacya świata skłoni ją do posłuszeństwa ich woli, byle on ze swéj strony przemówił do jéj serca, i dał jéj to poznać, jak dalece to jest jego życzeniem, i jak go taki los córki szczęśliwym uczyni.

Wtedy weszła panna Jadwiga, blada i zmę-

czona bezsennością, oddać dobry dzień rodzicom. Pocałowawszy w rękę matkę, zbliżyła się do ojca, wzięła jego rękę i przycisnęła ją do ust z tym wyrazem miłości i czci, który go do głębi duszy przeniknął. Kasztelan ścisnął jéj dłoń gorącą i delikatną, pocałował ją w czoło i posadził koło siebie. Matka widząc, że właśnie jest pora, aby ją przygotował do tego, co ma wkrótce nastąpić, aby stosownie do jéj instrukcyi przemówił do jéj serca i życzenia jéj swoje wyłożył, i sądząc, że gdy będą sami, mąż jéj będzie wymówniejszym, a córka prędzéj się wzruszy, powstała i chciała wyjść z pokoju. Ale w tejże chwili wszedł lokaj, który Stasiowi i Eugeniuszowi usługiwał, i oddawszy kasztelanowi list bohatéra naszego, oddalił się. Kasztelanowa, widząc sługę Stasia, i sądząc, czy nie jaka zmiana lub zwłoka ze strony pana Konstantego, która wszystkie jéj plany rozbije, wstrzymała się zatrwożona i spytała męża od kogo to? Ale kasztelan nie odpowiadał, czytał tylko drżąc, a gdy skończył, położył list na stole, i załamawszy ręce i patrząc z bolem na córkę, zawołał: O! nieszczęśliwe dziecko!

Wtedy matka pochwyciła z pośpiechem to pismo, które takie wykrzyknienie wywołało, przebiegła je bystro i poskoczywszy prawie do dzwonka, szarpnęła go z całéj siły. Kamerdyner przestraszony wbiegł na ten odgłos, a ona zawołała z gniewem:

— Zawołać tu natychmiast pana Eugeniusza— a gdy sługa drzwi za sobą zamknął, spójrzała prawie ze wzgardą na męża i córkę i rzekła do téj ostatniéj— wyjdź ztąd!

Ale panna Jadwiga nie była w stanie podnieść się i odpowiedzieć. W zalęknieniu swém chwyciła ona rękę ojca i cisnąc ją do serca, trzymała się jéj jako jedynego środka ratunku i opieki. A gdy uczuła jego ściśnienie, gdy spójrzawszy na twarz jego obaczyła nie gniew, ale boleść i litość, przyszła cokolwiek do siebie, powstała i składając ręce z pokorą rzekła:

— Matko pozwól mi tu zostać. Twój gniew i twój rozkaz mówią mi, że obecność moja będzie tu potrzebną.

— Niech zostanie— dodał kasztelan stanowczym głosem, wziął pannę Jadwigę za rękę i posadził ją koło siebie.

W téj saméj chwili wszedł Eugeniusz. Wiedząc od sługi, że ma stanąć przed zagniewaną kasztelanową, uzbroił się w odwagę, wezwał na pomoc wszystkie duchy, opiekujące się cierpieniem ludzkiém, a gdy ujrzał kochankę obok ojca, umocnił się jeszcze bardziéj, postąpił naprzód nie spuszczając oczu, i stanął bez zuchwalstwa, ale i bez trwogi przed tą imponującą kobiétą, któréj bać się, i którą od dzieciństwa szanować przywykł.

Opozycya jakiéj ona doznała od córki, a szczególniéj od męża, zadziwiła ją; spokojna zaś postawa winowajcy, jego szlachetna i wyrazista piękność, rozlana na licu bladém i napiętnowaném wielkim bolem, zmieszała ją cokolwiek i powstrzymała wybuch. Wkrótce jednak szatan dumy wziął górę. Przystąpiła więc do młodzieńca, który się nie cofnął, zmierzyła go wzgardliwie od stóp do głowy, i ukazując mu jego list, zapytała:

— To Wacan pisałeś?

— Ja pani— odpowiedział Eugeniusz odważnie i wyraźnie.

— I tak bez zarumienienia się i wstydu śmiész wacan przyznać się do takiego zuchwalstwa i takiéj niewdzięczności?— mówiła z gniewem i oburzeniem.

— Wstydziłbym się nienawiści, gdybym ją miał— odpowiedział Eugeniusz spokojnie— ale miłości, jaką Bóg nas natchnął, ani ja, ani córka pani wstydzić się nie potrzebujemy.

— Więc ty go kochasz, powiedz?— zawołała kasztelanowa, zwracając się do córki. Panna Jadwiga milczała, cisnąc tylko na sercu zastygłem rękę ojca. Na twarzy jéj była śmiertelna bladość, oczy jéj były spuszczone i zaciśnięte usta. Widząc to kasztelanowa, ukazała ją Eugeniuszowi i rzekła:

— Widzisz wacan, że milczy, widzisz, żeś skłamał bezczelnie, jak chłystek zarozumiały i niewdzięczny.

— Panna Jadwiga milczy w téj chwili przez wzgląd na mnie— odpowiedział Eugeniusz, poglądając z miłością na kochankę— nie wyjawiła dotąd tajemnicy swego serca także przez wzgląd na mnie. Była to może jéj powinność, za którą

ją tém więcéj czczę i uwielbiam. Ale moja powinność inna. Ja uważałem to za obowiązek święty, bądź co bądź, ostrzedz ojca o tém, co się w sercu córki jego dzieje i ostrzegłem.

— Jesteś wacan bezprzykładny zuchwalec— krzyknęła dumna kobiéta, tą spokojnością młodego człowieka do najwyższego stopnia rozdrażniona.

— Gdybym dziś prosił państwa o rękę panny Jadwigi— mówił Eugeniusz nie mieszając się— zapewne, byłoby to może zuchwalstwo i chęć przeniesienia na ziemię marzeń z lepszego świata. Ale ja wiém dobrze, czego mi jeszcze do tak wielkiego szczęścia brakuje, i czekać będę, póki los i usilność moja nie dadzą mi środków, które mię ośmielą upaść do nóg waszych i prosić was, abyście mi oddali tę, którą kocham i która mnie kocha. Dziś błagam was tylko: nie zmuszajcie jéj do posłuszeństwa, które opłaci pokojem i szczęściem całego życia. Ze mną możecie państwo postąpić, jak się wam podoba. Wyrzućcie mię za drzwi waszego domu i każcie iść, a pójdę; ale pójdę z wiarą w jéj miłość, z tém

przekonaniem, żem jéj wart, z tém uspokojeniem, żem wam oszczędził okrucieństwa, którebyście popełnili przez niewiadomość, z tą pewnością, że zatrwożeni w waszém rodzicielskiém sumieniu, nie poświęcicie takiéj córki, jaką wam Bóg dał w nagrodę cnót waszych, widokóm tego błahego świata, który ofiary takiéj nie wart.

Gdy Eugeniusz mówił to z zapałem, a kasztelanowa zdumiona milczała, kasztelan miał łzy w oczach, a panna Jadwiga, siedząc z zakrytą twarzą, tłumiła w sobie płacz i łkanie, drzwi się nagle otwarły i wszedł Staś i pan Konstanty. Staś rzuciwszy okiem po wszystkich, widząc, że jest cóś nadzwyczajnego, spójrzał z niechęcią i wstrętem na Eugeniusza, jakby domyślając się, że on jest przyczyną téj sceny, która go uderza, i nie witając się ani z ojcem, ani z siostrą, przybliżył się do matki i zapytał:

— Mamo! co się tu stało?

Kasztelanowa umocniona obecnością syna, który lepiéj niż inni wchodził w jéj widoki, i całą duszą był takim jak ona, odpowiedziała:

— Stało się to, mój synu, co zamiesza pokój naszego domu i wszystkie nasze usiłowania o ustalenie wam świetnego losu uczyni daremnemi. Kto zaś jest tego sprawcą, to się dowiesz z tego listu. Przeczytaj go.

Staś wziął go, przebiegł prędko, i wprzód nim komukolwiek mogło przyjść na myśl jak postąpi, przyskoczył do Eugeniusza, rozdarł list i rzucił mu go w oczy tak, że go odwrótną stroną ręki swéj po twarzy uderzył. W téj chwili dwa jęki boleśne dały się słyszéć. Był to jęk Eugeniusza i panny Jadwigi. Kasztelan przestraszony skutkami takiéj sceny, rozgniewany zuchwalstwem syna i nieuszanowaniem obecności rodziców, powstał z miejsca i patrząc surowo na sapiącego od złości młodzieńca, zawołał:

— Coś ty zrobił, głupcze!

— Ojcze! — odpowiedział Staś— na zuchwalstwo i potwarz mojéj siostry odpowiedziałem temu hołyszowi tak, jak na to zasłużył.

Słysząc ten wyraz, potwarz, panna Jadwiga podniosła się z powagą i dumą, otarła łzy, wystąpiła na środek pokoju, i zwracając się do pana Konstantego, który stał zmieszany i żałujący

zapewne, że na tak nieszczęśliwy moment trafił, mówiła zwolna, ale wyraźnie i stanowczo:

— Panie Zaworski! Wczoraj oświadczyłeś pan intencye swe mojéj matce. Szacuję pana, cenię wysoko wszystkie przymioty pana, które miałam szczęście poznać. Masz pan dziś i będziesz miał zawsze we mnie serdeczną przyjaciółkę, ale ręki méj nie otrzymasz. Tak mam wysoką opiniję o delikatności pana, iż pewna jestem, że z żądaniem swém więcéj się nie odezwiesz i zostawisz mię w pokoju.— Potém przystępując do Eugeniusza, położyła rękę na jego ręku i tkliwszym głosem dodała— Eugeniuszu! kochałam cię i opiekowałam się tobą jak matka, gdyśmy byli dziećmi; tęskniłam za tobą jak kochanka, gdyś był daleko, teraz gdyś tak ciężko skrzywdzony, zapewniam ci miłość kobiéty wiernéj i stałéj, i tak kochać cię będę do grobu.— Wreszcie zwróciła się do rodziców i rzekła:— Matko, daruj mi, żem zawiodła twoje oczekiwania, a ty ojcze! nie odpychaj mię od serca swego, bo nieszczęście moje spełnione.

I to powiedziawszy, wyciągnęła ręce do ojca i padła płacząc w jego objęcie. Wtedy kaszte-

lan podniósł głowę i patrząc groźnie na syna, krzyknął.

—Precz ztąd, zuchwalcze!

A gdy Staś zmieszany wyszedł, kasztelanowa która na całą tę scenę suchém okiem patrzyła, obracając się do Eugeniusza, rzekła twardo i zimno:

—Widzisz wacan, coś narobił. Sądzę, że ci tyle jeszcze zostało rozumu, iż pojmujesz to wacan sam, że w domu naszym dłużéj zostać nie możesz. Spodziewam się, że dziś jeszcze opuścisz go, i że więcéj o wacanu słyszéć nie będziemy.

Eugeniusz spójrzał z miłością i czcią na ojca i córkę, na te dwie istoty, które po Bogu najwięcéj kochał, i nie odpowiedziawszy ani słowa odwrócił się i poszedł. Wtedy kasztelan siadając i sadzając obok siebie pannę Jadwigę, która zbolałą głowę na jego ramieniu położyła, rzekł do żony:

—Czy myślisz, że się to tak skończy?

—Mój syn powinien wiedzieć, jaka jego powinność— odpowiedziała dumnie.— Nie byłby

krwią moją, gdyby się zląkł odpowiedzialności za jakikolwiek swój postępek.

Kasztelan ruszył ramionami i wstawszy, zbliżył się do pana Konstantego, który nie wiedział co z sobą począć, wziął jego rękę i rzekł z uczuciem:

— Panie Konstanty, wszystko to, co panu powiedziała moja córka, ja zatwierdzam. Żal mi serdecznie, że tak być musi; ale spodziewam się, że wszystko to nie zmieni naszego wzajemnego szacunku, życzliwości i przyjaźni, o któréj nowy dowód w téj chwili pana proszę. Widziałeś pan, co między tymi młodymi ludźmi zaszło. Jako mężczyzna, znający prawa honoru, wiész na czém się to skończyć może. Proszę cię więc nie odstępuj mego syna, który będzie potrzebował twojéj rady, twojéj zimnéj krwi, twojéj pomocy. Wszak nie odmawiasz, nie prawdaż?

Pan Konstanty ścisnął rękę kasztelana, spójrzał raz jeszcze na pannę Jadwigę, i skłoniwszy się dość zimno kasztelanowéj, wyszedł. Wówczas kasztelan zawołał:

— O! to wielkie, wielkie nieszczęście!

— Cóś posiał, to musisz zebrać. Należało mię więcéj słuchać i być ostróżniejszym w wyborze— odpowiedziała na to obojętnie, powstała z miejsca, i nie spójrzawszy nawet na córkę, z podniesioną głową wyszła.

V.

Tego samego wieczora stancya Ignasia zarzucona była rzeczami i książkami Eugeniusza. Eugeniusz leżał na wznak, na łóżku brata, a przy nim w głowach siedział Ignaś, w nogach Kański, oba równie zasmuceni i oba nie wiedzący, jaką nieszczęśliwemu dać radę. Pojedynek był nieuchronny. Krzywda, jaką poniósł Eugeniusz, ukryć się nie mogła, bo sam Staś się nią pochwali, bo pan Konstanty, świadek tej sceny, jeżeli nie przez płochość lub zemstę za odebranie sobie kochanki, to przypadkiem przed kim bądź wymówi się, a świat Warszawski, łaknący takich awantur, potrzebujący pokarmu i materyi do zapełnienia codziennych wizyt, pochwy-

ci ją, rozmaże, i na wszystkie strony rozniesie. Wreszcie, choćby się i utaić mogło, co się stało, Eugeniusz, którego skrzydła były złamane, wszystkie nadzieje zwichnięte, którego serce tak głęboką odebrało ranę, a twarz napiętnowana została policzkiem, nie chciał i nie mógł obelgi téj przebaczyć hardemu młodzieńcowi, chociaż był bratem panny Jadwigi. Oba tedy i Ignaś, i Kański, nie śmieli mu perswadować, każdy bowiem na jego miejscu to samoby uczynił, i takie same powziąłby postanowienie. Do tego smutku i trwogi, jaką im dawała tak stanowcza chwila, przybył i ten frasunek, co Eugeniusz z sobą nadal pocznie, jeźli szczęśliwie wyjdzie z niebezpiecznéj walki, któréj uniknąć nie może. Z domu kasztelana wyniósł on tylko świetną garderobę, dosyć książek i papiérów, wyniósł wprawdzie umysł ubogacony wielu wiadomościami, wprawną rękę do pióra, zdolność znakomitą do wszelkiéj wyższéj pracy, jeśliby mu powierzoną była; ale wyniósł także pańskie nałogi, zamiłowanie i nawyknienie do życia bez mozołu i troski o jutro, brak zupełny wytrwałości w czémkolwiek bądź, co wymaga codziennego trudu i pańszczyznianéj

cierpliwości: nadewszystko zaś wyniósł zranione serce, którego niepokój i tęsknota za szczęściem, jakie utracił, za złudzeniami, któremi się tak długo karmił, obrzydzi mu wszelkie zajęcie i każdą robotę nieznośną uczyni. A tu dzień za dniem pójdzie z nieubłaganą koleją potrzeb, coraz odnawiających się, a żaden cud nie pomnoży tych kilkunastu rubli, jakie dziś ma; ich zaś fundusz, którym zapewne chętnie się podzielą, jest taki, że chociaż dla nich, zahartowanych w biédzie i mozole, wystarcza, ale dla Eugeniusza, wypieszczonego pańskiém wychowaniem, będzie tylko kroplą, która pragnienia jego nie ugasi.

Na takich rozmowach i rozmyślaniach przeszła im noc. Eugeniusz słyszał to wszystko, co między sobą mówili, podzielał ich obawy, ale się nie odzywał. Myślał on tylko o tém, co było bliższém, co pewniéj i widoczniéj nad głową jego wisiało. Żal mu wprawdzie było, nie życia, ale takiéj miłości, jaką mu Bóg pozwolił krótkie to życie ozdobić; jednak mocno był przekonany, a nawet pragnął, aby kula położyła kres wszystkiemu i lepsze mu otwarła światy.

Nazajutrz Eugeniusz, uprosiwszy brata i Kańskiego, aby żaden z nich nie mieszał się do téj sprawy, któraby ich na odpowiedzialność prawną narazić i dalszą ich karyerę zepsuć mogła, ubrał się wcześnie i poszedł do jednego ze swych światowych znajomych, który zdawał się mu sprzyjać, i którego prosił, aby chciał być jego świadkiem. Pan Wiktor Szrot, zwany zwykle kapitanem, chociaż nie wiadomo było dokładnie, gdzie i kiedy do téj rangi doszedł, nie dał sobie dwa razy mówić. Był to człowiek średniego wieku, przystojny, z wąsami według formy dawnych wojskowych naszych zgrabnie ułożonemi, staranny bardzo w swéj powierzchowności, bywający wszędzie, amator cudzych obiadów i cudzych pojedynków, zatém nieubłagany przestrzegacz wszystkich praw honoru, chociaż sam miał romans z cudzą żoną, o czém nikt nie wiedział, i utrzymywał się z kart, czego dobroduszny nasz bohatér nie dostrzegł i nie domyślał się. Kapitan, uwiadomiwszy Eugeniusza, że na wczorajszym wieczorze u pana B* i na drugim wieczorku u pana Z*, gdyż kapitan był na dwóch wieczorach, słyszał już coś o zajściu między nim i bratem

panny Jadwigi, a strzępieniem wąsów, heroicznėm pomrukiwaniem, słowem i giestem dawszy mu poznać, że ustąpić nie należy, przyjął jego propozycyę, i rzecz całą ułożyć przyrzekł. Ponieważ zaś wypadało, aby ani rodzice Stasia, ani policya o niczém nie wiedziała, więc dwóm tylko znajomym w całéj Warszawie panom, i trzem paniom, należącym do sławnéj wówczas junty, zbiérającéj się w pewne dni w cukierni Lessla, rzecz całą pod sekretem opowiedziawszy, wziął się do wypełnienia swojéj funkcyi sekundanta i pośrednika.

Gdy przyszedł do Stasia, u którego był już książe Janusz, zaczął od tego, że przychodzi w imieniu Eugeniusza, że naturalnie o żadném pojednaniu nie może być mowy, że zatém przynosząc wyzwanie, prosi o oznaczenie czasu, miejsca i broni. Staś wskazał na księcia, jako na swojego świadka i krewnego, z którym pan kapitan może się ułożyć. Sekundanci więc, zapaliwszy cygara i rozebrawszy wszystko *pro* i *contra*, zgodzili się na Bielany, na pistolety, na piérwszą metę o kroków trzydzieści, a na ostatnią kro-

ków ośm. Że zaś zwłoka mogłaby obudzić trwogę rodziców i czujność władzy, oznaczyli dzień jutrzejszy, godzinę dziewiątą z rana. Książe Janusz obowiązał się przywieźć z sobą lekarza. Na tém stanęło, i kapitan udał się z relacyą do Eugeniusza.

Tymczasem pan Konstanty, który nad przyszłym szwagrem swym czuwał, kochając siostrę swą, dla któréj śmierć Stasia byłaby ciosem zabójczym, szanując kasztelana i zachowawszy w sercu swém przyjaźń dla panny Jadwigi, chociaż mu ręki swéj odmówiła, wymógł na zaciętym młodzieńcu przyznanie, jak rzeczy stoją. Zaczął mu więc perswadować, przekładać wszystkie skutki dla niego, dla serca Teosi, dla reputacyi panny Jadwigi, którą wypadek ten zrobi gadką całego miasta, i zaklinał go, aby go upoważnił do kroków pojednania, które on na siebie bierze. Ale Staś słuchać nawet nie chciał. Gdy w czasie tych debatów nadszedł i ojciec, niespokojny i żałujący syna, chociaż był na niego zagniewanym, wtedy Staś odpierając wszelkie perswazye, a nawet prośby ojca, aby pierw-

szy uczynił krok do zgody i zatarcia téj krzywdy, jaką sam krewnemu zadał, w uniesieniu zawołał:

— Przyznaję, że to było głupstwo, że chłystkowi temu należało tylko drzwi ukazać i nic więcéj, że to przemądrą Jadwisię zaafiszuje przed światem i na romansową i śmieszną wykieruje heroinę; ale inaczéj być nie może. Kpa tego przepraszać nie będę, żeby mię tu na sztuki posiekano! Wyzwanie jego przyjąć muszę, bo wszyscy wiedzą, że szlachcic, że nie tchórz i dobrze strzela. Powiedzianoby, żem go się uląkł, a tego nikt na świecie, ani ty ojcze, nie możesz żądać po mnie, abym się spodlił. Honor przedewszystkiém. Niech on ustąpi, jako wyzywający. Jemu to przyzwoiciéj. Wolno mu zresztą policzek schować do kieszeni, albo go krwią obmyć. Pójdzie potém pod strzechę, z pod któréj go niepotrzebnie łaska papy wyciągnęła, albo siądzie gdzie za stołem, zaklapanym atramentem, i nikt go nie obaczy. Ja żyję na świecie i nie zniosę tego, aby mię palcami wytykano. Jeśli jutro nie stanie, szukać go pewnie drugi raz nie będę. Wszystko mi jedno, czy taki błazen jest, czy go nie ma, byle mi nie lazł w oczy i nie zacho-

dził drogi mojéj siostrze, bo wiele razy postrzegę najmniejszą z jego strony pretensyę, tyle razy kijem go wygrzmocę.

Postrzegł kasztelan, że z szalonym chłopcem nie ma co gadać, że tylko powagę swą kompromituje, że wreszcie Staś nie może odrzucać wyzwania, choć mógłby i powinien piérwszy krok do pojednania się zrobić. Postanowił więc innych użyć środków do odwrócenia téj klęski, jaka domowi jego zagrażała. W tym celu napisał do Eugeniusza list pełen czułości i ojcowskiego przywiązania. Przebaczał mu jego śmiałość, ale przekładał oraz i prosił, aby nie szukał zadość uczynienia za swoję krzywdę i wyzwanie swe cofnął, a przynajmniéj do nieograniczonego czasu odłożył; a on tymczasem spodziewa się wymódz to na swoim synu, że piérwszy krok do pojednania się zrobi i przy świadkach go przeprosi. Przytém dodał kasztelan, że znając jego delikatne uczucia, nie śmié mu teraz posyłać pieniędzy na jego utrzymanie; ale jeśliby Eugeniusz chciał zaraz wyjechać do Petersburga, opatrzy jego potrzeby na drogę i przyszle mu list

do ministra z tak usilną prośbą, że ten pewnie nie odmówi pomieszczenia go przy sobie.

Eugeniusz krótko, ale z sercem pełném wdzięczności, podziękował mu za wszystkie jego dawniejsze łaski i teraźniejsze dla niego chęci, z których korzystać nie może, i nadal z żadnéj korzystać nie będzie. Co się zaś tycze jego żądania, dodał, że rzecz między nim i synem jego zaszła tak daleko, że ani jéj cofnąć, ani zmienić nie podobna. Zresztą krzywda, jaką mu Staś wyrządził, jest tak wielka, boleść, jaką go napełnił, jest tak nieograniczona, że dla ulżenia sobie i zmycia téj plamy, jaka na niego padła, innéj drogi nie widzi, a choćby ją i widział, nieposzedłby nią, gdyż honor i wszystkie prawa, jakie społeczność uświęciła, chwycić się jéj nie pozwalają.

W takim stanie były rzeczy około godziny trzeciéj po południu. Eugeniusz w stancyjce Ignasia porządkował swoje papiery, na przypadek śmierci robił rozporządzenie tego co miał, i pisał listy do ks. Macieja, do ks. Augustyna, do P. Orlickiego, do ciotki Teressy, i do téj, z któréj drogiém wyobrażeniem oczy miał zamknąć; Ignaś, chcąc mieć jutrzejszy dzień wolnym i chcąc zostawić

Eugeniusza swobodnym, pracował z podwójną usilnością w warsztacie, i pracą, którą za jedyny środek na wszelką troskę uważał, odpędzał ciężkie myśli, jakie go trapiły; Kański przygotowywał żonę i Julkę do smutnego wypadku, który miał ich dotknąć, a kapitan zrobiwszy swoje, pochrząkując i po bohatersku strzępiąc wąsy, to temu, to owemu pod sekretem mówił, jak ważna jutro czeka go afera.

Gdy więc tak wszyscy byli zajęci, a wielki świat Warszawski dowiadywał się z tajemną radością, która się ubolewaniem objawiała, że będzie o czém gadać, co komentować, że rośnie materyał do komerażu i nadarza się powód do wizyt, w celu udzielenia sobie tak ważnéj nowiny, przed warsztatem Hebla stanął stary, poważny pan, w bogatéj szubie, i trzymał pod rękę młodą osobę, słuszną, piękną, ale niezmiernie bladą i drżącą, choć dzień był jasny i niezbyt mroźny, a futerko jéj było ciepłe i dostatecznie ją okrywało. Po chwili wyszedł do nich z warsztatu, wyzwany przez owego pana, czeladnik, w koszuli, z zatoczonemi rękawami, z fartuchem na piersiach, i chustką cieńką i czystą ocierał pot pracy z zasmu-

conego czoła. Skoro ujrzał stojących przed sobą, zsunął rękawy swéj koszuli i skłoniwszy się z uszanowaniem, zawołał:

— Pan kasztelan! Panna Jadwiga!

— Ignasiu! — rzekł wówczas starzec przyprowadzony tu własną trwogą i namową córki — podaj mi naprzód rękę i zapomnij, żem się z tobą nie tak obszedł, jakbym życzył. Musiał ci Eugeniusz mówić, jak myślę o twoim charakterze i twojém postanowieniu.

— JWny kasztelanie! — odpowiedział Ignaś, biorąc jego rękę i przyciskając do ust — nie zapomnę ci nigdy téj dobroci, z jakąś mię przyjął, i téj czułości, z jakąś o ojcu mym wspomniał. Żeś mi potém drzwi swoje zamknąć kazał, to wina twojego położenia, a nie twojego serca.

P. Jadwiga podała mu także rękę milcząc, a on patrząc z rozrzewnieniem na jéj twarz zbolałą, i trzymając jéj dłoń w swojéj dłoni, dodał:

— O pani! gdybym mógł czémkolwiek odpłacić ci w dzisiejszym bolu twym za tę pociechę, jaką mi słowa twoje dały wtedy, kiedym upadał na duchu!

— Możesz, P. Ignacy — rzekła P. Jadwiga

drżącym głosem—chcę i muszę widzieć Eugeniusza. Pójdziemy z ojcem do kuzynek twoich. Poznam je i uściskam tę Julcię, o któréj mi Eugeniusz tyle mówił, a któréj niestety! siostrą mą nazwać nie mogę. A ty P. Ignacy śpiesz i przychodź tam z twoim bratem. Powiedz mu, że wiem o wszystkiém co się robi, co mu zagraża, że śmiertelna przenika mię trwoga, że pragnę i muszę go widzieć.

— Wszak to dom z napisami, naprzeciw kościoła Pijarów? — rzekł kasztelan.

— Ten sam, JWny panie. Ale aż na trzeciém piętrze — mówił Ignaś.

— To nie, to nic — odpowiedziała P. Jadwiga— widzisz P. Ignacy, że wielka boleść i piérwszego piętra nie mija.

Ignaś spójrzał na nią z politowaniem i czcią, i pobiegł do warsztatu ubrać się, a kasztelan z córką poszli w górę ku Śto-Jańskiéj ulicy.

Łatwo sobie wyobrazić podziwienie, radość i smutek Paulinki i Julki, gdy weszli do ich pokoiku, znacznego tylko porządkiem, który jaśniał przy ubóstwie i pracy, gdy się nazwali, gdy Paulinka, jako gospodyni domu, sama nie wiedziała jak

przyjąć tak dostojne osoby, a Julka wpatrzyła się w twarz P. Jadwigi, czytała w jéj rysach wyraz godności, miłości i niedoli, i dziękowała w duszy Panu Bogu, że ją nie postawił tak wysoko, że tak bolesnego gwałtu sercu swemu zadawać nie potrzebuje.

Gdy zrzucili futra, i kasztelan znękany ostatniemi wypadkami, niedawną chorobą i siedemdziesięciu wschodami, na które ledwie wszedł, usiadł, obie zaś siostry stały obok siebie i z uszanowaniem na nich patrzyły, P. Jadwiga przystąpiła do nich, wzięła rękę jednéj i drugiéj i rzekła:

— Znam was dobrze obie, i z interesem słuchałam zawsze Eugeniusza, wiele razy mi o was mówił. Ale któraż z was Paulinka, a która Julka? Obieście równie ładne i równie zapewne dobre, tak słodko patrzycie, ale tak jesteście do siebie podobne, że was trudno rozróżnić.

— Ja jestem Paulina, zacna pani, a to siostra moja, Julija— odpowiedziała Kańska.

— W innym czasie poznam się z wami lepiéj— mówiła P. Jadwiga— a teraz darujcie mi, żem przyszła w takiéj chwili. Musicie wiedzieć, jak ona ciężka i czém nam grozi. O! nie gniewaj-

cież się na mnie! — dodała, ściskając ich ręce— że do waszego smutku i waszéj trwogi przydam jeszcze i widok mojego bolu. Ale nie mogłam postąpić inaczéj. U was i przy was chciałam się jeszcze widzieć z Eugeniuszem. Wyście kobiéty, wy kochacie także, wy mię zrozumiecie i przyczynicie się za mną, jeżli głos mój będzie za słaby.

P. Jadwiga usiadła, a Paulinka i Julka patrząc na nią płakały. W kilka minut potém drzwi się otwarły i wszedł Ignaś sam jeden. P. Jadwiga, postrzegłszy że Eugeniusza nie ma, porwała się z miejsca i przystępując do Ignasia i chwytając go za rękę, zapytała:

— A Eugeniusz?

—Eugeniusz został u siebie—odpowiedział Ignaś smutno, ale takim tonem, że się domyśliła, dla czego nie przybył.

— Więc nie chce mię widzieć, kiedy ja go sama szukam! — rzekła P. Jadwiga, i w głosie jéj przebijał się żal i obrażona duma kobiéty. — O! jeżeli nie dla mnie, to dla mojego ojca, który go wychował, który był jego dobroczyńcą i kocha go jak syna, powinien był zrobić tę ofiarę, jakiéj domagałam się.

— Eugieniusz szanuje i czci twojego ojca, pani, ciebie kocha więcéj pewnie niż życie, więcéj niż wszystko to, co na téj ziemi dobrém jest i miłém— odpowiedział Ignaś.—O tém pani nie wątpisz i wątpić nie powinnaś. Ale w téj chwili nie mógł stanąć przed tobą i pospieszyć na twój rozkaz. Odebrał on już dziś od P. kasztelana list z prośbą, któréj zadość uczynić nie może, i bał się, aby powtórzenia jéj z ust twoich nie usłyszał.

— Więc domyślił się — zawołała P. Jadwiga z mocą— o co go mam prosić, czego z mojego prawa kobiéty kochającéj domagać się przyszłam? I boi się uledz perswazyi tego bolu, który w twarzy mojéj wyczyta, aby świat nie powiedział, że się uląkł, że przez bojaźń nie stanął i krzywdy swéj krwią nie obmył? czy tak?

— O pani! możeszże mu to mieć za złe?—odpowiedział Ignaś.

— Bynajmniéj, bynajmniéj— rzekła P. Jadwiga trąc dłonią czoło.— Wiem ja, jak żelazną koniecznością jest dla was ten honor, który was tak nieubłaganie obowiązuje. Ale okoliczność okoliczności nie równa. Gdyby kto inny go skrzywdził, ukryłabym może śmiertelną trwogę o jego życie,

nie rzekłabym ani słowa, i dopuściłabym zapewne, aby pierś swą nastawił, jak na mężczyznę przystało. Tu co innego. Tu wymagam i mam prawo wymagać, aby wyzwanie swe cofnął, lub je przynajmniéj odłożył. Nagany świata niech się Eugeniusz nie boi. Od jutra zaraz każdemu, kto słuchać zechce, wszędzie gdzie bywał, wszędzie gdzie go znają i mnie znają, powiem głośno i jawnie, że to ja nie dopuściłam, aby stanął, żem mu zapowiedziała, że krew mego brata położy wieczny między nami przedział, że śmierć jego będzie i moją śmiercią razem, i że Eugeniusz zlitował się nademną, uląkł się mojéj rozpaczy, nie kuli swego przeciwnika, i mnie honor swój poświęcił. I świat uwierzy, bądź pan pewny, P. Ignacy. Idź tylko, idź i powiedz mu to odemnie.

I w głosie jéj brzmiała wyraźnie ta rozpacz, o któréj mówiła, jak dźwięczna struna, którą każdy słyszy i każdy rozumie. Wszyscy przeniknieni umilkli, a kasztelan powstawszy przyciągnął ją do siebie rzekł:

—Uspokój się moje dziecie! Ignaś pójdzie i słowa twoje powtórzy.

—I bądź pani pewną, że Eugeniusz usłucha—

dodała Julka z mocą.—Jeżeli Ignaś nie pójdzie, to ja pójdę i Paulinka pójdzie; o! my wierniéj niż on powtórzymy słowa pani, bo my kobiety, i lepiéj pojmujemy i głębiéj czujemy, dla czego twój głos tak przenika i słowa twe tak przerażają.

— Nie zapomnę ci tego — rzekła P. Jadwiga i gorące usta swe do czoła Julki przyłożyła.

Gdy kasztelan wyprowadził córkę, obie siostry odziały się co prędzéj i wespół z Ignasiem poszły do Eugeniusza. Nie będziemy powtarzać téj sceny, jaka tam miała miejsce. Czytelnicy łatwo się jéj domyślą. Powiemy tylko, że w godzinę potém wszedł kasztelan do pokoju córki, przy któréj łóżku siedziała matka i lekarz, i uprosiwszy ich, aby go zostawili z nią samego, oddał jéj bilecik, w którym były tylko te słowa: »Zrobię jak każesz. Eugeniusz.”

Na drugi dzień o godzinie óśméj kapitan wszedł do stancyjki Ignasia, i zaledwie mógł poznać Eugeniusza, tak był bladym i zmienionym. Usłużny sekundant zdziwił się, widząc pacyenta swego do téj pory w szlafroku, stojącego przy stole i patrzącego jakby obłąkanym wzrokiem ku drzwiom, przez które wchodził. Zawołał więc:

— Bój się Boga, Eugeniuszu! ósma godzina, a tyś nieubrany! Czas już jechać, to diabli kawał, żeby nas nie uprzedzili, będzie nieładnie!

— Jestem chory. Nie pojadę wcale—odpowiedział Eugeniusz.

— Co? co?— zapytał kapitan cofając się.

— Mówię ci, żem chory i nie pojadę—powtórzył nasz bohater zaciskając zęby.

— A! nie pojedziesz? jesteś chory?—rzekł kapitan z pewną miną, która tak Eugeniusza rozgniewała, że pochwycił pistolet, odwiódł kurek i zawołał:

— Jeżeli jeszcze raz z taką miną te słowa powtórzysz, to ci w łeb palnę.

— Zwaryowałeś—rzekł blednąc kapitan, który, jak wszyscy gorliwie animujący do rozprawy sekundanci, był tchórz i krew swoję wysoko cenił.

— Cóż im u diabła powiem — dodał po chwili.

— Powiesz im, żem chory, i że dziś nie stanę— rzekł Eugeniusz kładąc pistolet.

— I nic więcéj? – zapytał kapitan.

— Stanisławowi Zabużskiemu—dodał zniecierpliwiony młodzieniec— pod sekretem powiedz to, że nie wyzwę go póty, póki P. Jadwiga za mąż

nie pójdzie. Ale skoro się o tém dowiem, wtedy może być pewnym, że go pod ziemią znajdę, że stanę, i że go niezawodnie nie chybię. A teraz ruszaj z Bogiem.

Kapitan pojechał na Bielany, gdzie już zastał Stasia i księcia Janusza. Staś chodził po placu, niespokojny i milczący. Chociaż był odważny i dobrze strzelał, gdyż oba z Eugeniuszem w Paryżu nie mało poświęcili czasu na nabycie téj wprawy, jednakże, jako każdy krzywdziciel, nie mógł się odbronić pewnemu złemu przeczuciu, i doznawał téj mimowolnéj trwogi, która była zasadą średniowiecznych sądów bożych, a któréj i dziś doznaje najśmielszy junak, jeżeli czuje, że sprawa jego zła i niesłuszna. Gdy więc obaczył, że kapitan przybywa sam, i gdy usłyszał jego relacyę, ucieszył się widocznie, i z zuchwałością, która mu w mgnieniu oka wróciła, skoro niebezpieczeństwo minęło, uśmiechnąwszy się wzgardliwie, zawołał:

— Le drôle! to zawsze tak z hołyszami!

Potém wystrzelił w powietrze, zaprosił do powozu swego obu sekundantów, i wszyscy trzéj śmiejąc się i rozmawiając po francuzku, wrócili do Warszawy.

Tak się skończył ten pojedynek, którego rezultat rozbiegł się tegoż samego dnia po salonach Warszawskich i rozmaite obudził sądy i domysły. Ten i ów dziwił się, dla czego Eugeniusz nie stanął. Ponieważ zaś nikt szczegółów nie wiedział, padła na niego ta plama, że stchórzył i że policzek schował do kieszeni. Ugruntowała się ona tym mocniéj, że P. Jadwiga nawet nie miała czasu bronić jego honoru, jak postanowiła, i co byłaby pewnie, ile znamy jéj charakter, dotrzymała. We dwa dni bowiem potém, skoro mogła wstać z łóżka, kasztelanowa wywiozła ją do Zabuża, kasztelan pojechał za nią, Staś i P. Konstanty udali się na Ukrainę, i wkrótce ten dom na Lesznie, w którym tak bolesny odbył się dramat, w którym najdaléj za dwa miesiące miała grzmieć muzyka podwojonego wesela, i który miał zajaśnieć całym blaskiem zgromadzonéj na te uroczystości świetnéj rodziny, został pustym i głuchym.

Łatwo jest wyobrazić sobie, w jaki stan wprowadziły te wypadki młodego człowieka z sercem i pełnego siły, który przywykł do szacunku tych wszystkich, co go znali, który odbierał tyle dowodów życzliwości i admiracyi od osób wyższego

stanu, do których ciągnęło go wychowanie i sympatye nabyte z wiekiem, którego żywiołem był ten świat, tak drażliwy w kwestyach honoru, tak ceniący odwagę i śmiałość, gdy go potrzeba bronić, tak gardzący każdym, kto sobie pozwala deptać po nogach, i obelgę choćby najlżejszą, chowa i przyjmuje. Jakkolwiek pojedynek jest zabytkiem średniowiecznym, jakkolwiek nie trudno jest dowieść, że więcéj chybia honorowi ten, co krzywdzi, niż ten, którego skrzywdzono; ale łatwiéj jest dowieść, że cóś jest przesądem, niż wyłamać się z pod jego przemocy, i mało jest ludzi, z małém nawet sercem, którzyby nie czuli palącéj plamy na czole i dojmującéj zgryzoty w sercu, jeśliby który niechciał obmyć krwią swéj hańby, choćby tylko była mniemaną, jeśliby cierpliwie zniósł afront, chociażby on dowodził tylko głupstwa i grubijaństwa w tym, który się na afront odważył. A chociaż Eugeniusz nie mógł dopełnić tego obowiązku, jaki na niego honor i prawa społeczności wkładały, chociaż nie można mu wziąść za złe, że nie zabił brata téj, którą kochał, że się nie dał zabić, szanując jéj pokój i życie, gdy jednak nikt nie wiedział, jakiemu uległ przymu-

sowi, wyszło to dla niego na jedno. On w oczach świata był tchórzem, i wiedział to, że ten świat inaczéj sądzić nie może, i czuł głęboko, że sądząc tak, ma zupełną racyę. Ten więc wstyd, to poniżenie w oczach własnych, to pasowanie się z sobą dodane do tych wielkich wzruszeń, jakich w ostatnich dniach doznał, do tego niezmiernego bolu, jaki uczuł, gdy się dowiedział, że wyjechała, że nawet w jéj słowie, w jéj szlachetném i energiczném przyznaniu się nie znajdzie obrony, tak przewróciły jego naturę, tak zmogły i złamały jego siły, że ciężkiéj dostał gorączki, przez kilkanaście dni był w niebezpieczeństwie życia, a przez półtora miesiąca złożony niemocą, z pokoiku, w którym mieścił się jak mógł z bratem, nie wychodził. Przez cały ten czas przywiązanie Ignasia, Kańskiego i kuzynek było jedyną jego pociechą. Zacni ci i uczciwi ludzie odejmowali sobie, aby mu nie zbywało na pomocy lekarskiéj, aby wszystkie jego potrzeby były zaspokojone. Kiedy Ignaś był w warsztacie a Kański w biórze, Paulinka lub Julka pilnowała chorego. Gdy odzyskał przytomność, zaczął do siebie przychodzić i mógł już rozmawiać, usuwali wszelkie wspomnienie prze-

szłości, wszelką wzmiankę, któraby go mogła rozdrażnić lub wzruszyć, a poczciwemu Ignasiowi nie wymknęło się nigdy żadne słowo wymówki, że przewidział ten stan, do którego brat przyszedł, żaden wyraz przedwczesnéj perswazyi, aby o swéj miłości i o tym bolu, jaki mu ona koniecznie dać musiała, nie myślał już wcale. Swiat zapomniał o nim zupełnie, z Zabuża także żaden go głos nie dochodził; dopiéro wtedy, gdy już wstawał i był mocniejszym, odebrał list od księdza Augustyna, który pod pewnym względem pocieszył go cokolwiek, ale pod innym zasmucił i pełnemi troski nabawił myślami. Zacny ten kapłan doniósł Eugeniuszowi, że od kasztelana dowiedział się o wszystkiém; że te okoliczności, które tak ważną w stosunkach wszystkich osób, dom jego składających, wprowadziły odmianę, które tak mocno wstrząsnęły wszystkie serca i zamąciły ich pokój, zwyczajnym sposobem załatwić się nie dadzą; że chociaż P. Jadwiga los swój znosi z rezygnacyą i pokojem kobiéty, która raz w życiu tylko pokochać może, innéj drogi przed sobą nie widzi i do żadnéj innéj nadziei serca swego nie skłoni, chociaż mu powiedziała, że prędzéj zosta-

nie siostrą miłosierdzia, niż czyją bądź żoną, niepodobna jednak pomyśleć, aby widok jéj cierpienia i stałości mógł złamać postanowienie rodziców, a szczególniéj matki, i aby ztąd jakakolwiek dla niego urość mogła nadzieja. Radził więc Eugeniuszowi, aby dziś, gdy własnym zostawiony jest siłom, na ranę serca swego położył balsam religii, i najprzód w niéj szukał uspokojenia i téj mocy, która jedynie z tak świętego źródła wypłynąć może; aby potém wyrzucił z głowy swéj tę jedyną i tkwiącą myśl, która siły jego ducha paraliżuje; aby wreszcie starał się pracą umysłową pomnożyć zapas już nabyty, i jakie użyteczne zajęcie obrawszy, użył go na korzyść serca, które się ostatecznie tym sposobem wyleczy, i dla zdobycia téj niezależności, która odwiązuje duszę od ziemi i od stosunków mogących ją poniżyć, a zrobi go pożytecznym ziomkom, którzy mają prawo domagać się od każdego, posiadającego wyższe środki umysłowe lub materyalne, aby marnie nie ginęły, ale obracane były tak, iżby ogół miał z nich także lub cześć, lub pożytek.

Wszystko to, cośmy tu w treści wypisali, rozwinął ks. Augustyn obszernie, z właściwą mu ła-

twością i wymową, dodawszy na końcu niektóre wiadomości o Zabużu, a mianowicie, że Staś wziął już ślub na Ukrainie, i na całą wiosnę wraz z żoną i jéj matką do Zabuża przyjedzie.

Gdy Eugeniusz zupełnie wyzdrowiał i mógł już wychodzić, odczytał jeszcze raz z uwagą list przyjaciela, którego tak mocno szanował, i szczerze się nad nim zastanowił. Wszystkie rady, jakie się tam znajdowały, trafiały do jego przekonania, oprócz téj jednéj, aby wyrzucił z głowy swéj tę jednę myśl, która była treścią wszystkich innych, która była duszą, co go ożywiała i podnosiła od ziemi. Wyrzec się miłości podzielanéj, karmionéj cierpieniem i łzami, wydało mu się rzeczą nie tylko niepodobną, ale nawet występną i grzészną, jako sprzeciwiającą się woli Bożéj. W całém bowiem swojém życiu, w zbliżeniu i urobieniu takiém dwóch serc, które się pojęły, dwóch exystencyj, które inaczéj tak różnemi poszłyby były drogami, widział wyraźnie zrządzenie téj ręki wszechmocnéj, która w ziarnku skały przedpotopowéj miliony istot żywych i organizowanych zamknęła. Kochać więc i czcić tę, dla któréj się poświęcił i któréj serca był pewnym, uważał za

swój obowiązek; ale za nie mniéj święty i konieczny obowiązek uważał także stać się jéj godnym według świata, do którego należy, i siłą ducha i woli wyrobić sobie na nim pozycyę, któraby zwaliła tę ścianę, jaka ich dzieli. Takiém postanowieniem umocniony, a do tego jeszcze przyciśniony niedostatkiem wszelkich wygód, do których nawykł, i dręczony tém, że bratu, Kańskiemu i jego rodzinie odbiéra część tak znaczną ich dochodu i dzieli się krwawym zarobkiem ich ciężkiéj pracy, zaczął rozmyślać, jakąby przedsięwziąć drogę, któraby go doprowadziła do celu, do którego serce jego rwało się tak potężnie, i wywiodła go co prędzéj z nieczynności i tego położenia, co go tak mocno upokarzało i bolało.

Widząc, że wszyscy na świecie kłaniają się mamonie i ulegają temu oczarowaniu, jakie wywiera urodzenie, imie, ton wysoki i powab urody, że zatém protekcya możnych, którzy mu byli życzliwi, i dam, które na niego tak były łaskawe, najwięcéj mu dopomoże i najprędzéj drogę tę utoruje, postanowił obaczyć się z kilku osobami, które znał, i oddać wizyty damom, o których wpływie nie wątpił. Ubrał się więc po dawnemu, z pie-

nię dzy Ignasia wziął na nowe rękawiczki, i opatrzywszy się biletami wizytowemi, których miał jeszcze znaczny zapas, wyprawił się o przyzwoitéj do wizyt godzinie na miasto. Bladym był jeszcze Eugeniusz, mizernym, odwykł od powietrza i od ruchu, a jednak uderzającym był foremnością rysów i elegancyą postawy, tak, że przechodnie zastanowiali się i kiwali głowami, patrząc na jego chód powolny i twarz schorowaną, a jednak tak piękną. Te znaki ich wpółczucia Eugeniusz wziął zupełnie za co innego. Jemu się zdało, że każdy, co mu się przypatruje, szuka na twarzy jego téj plamy, któréj nie zmył. To podejrzenie odebrało wejrzeniu jego tę śmiałość, z jaką dawniéj na świat i ludzi poglądał. Uczucie upokorzenia, jakiego w téj chwili doznał, powiększyło się jeszcze, gdy postrzegł, że jeden z panów, dawniéj mu bardzo życzliwych, który na przeciwko niego szedł, nagle się zatrzymał, uśmiechnął się, i obróciwszy się poszedł spiesznie nazad. Czy to był przypadek, czy ów pan przypomniał sobie cóś takiego, co spowodowało jego powrót, czy w rzeczy saméj postrzegł Eugeniusza i nie chciał się z nim spotkać, to nie wiadomo;

ale biédnemu bohatérowi naszemu krew wystąpiła na twarz, wstyd go oblał, i oburzenie szarpnęło męzkiem jego, a tak zapoznaném sercem. Na rogu Miodowéj ulicy i Senatorskiéj spotkał się znowu z drugim panem, którego właśnie chciał odwiedzić, na którego protekcyi i wpływie polegał, i który w rzeczy saméj, gdyby chciał, mógł wiele. Ale magnat ten, zwykle tak grzeczny i uprzedzający, udał że go nie widzi, minął go spiesznie, i zapewnie dla tego, aby nie był przez niego zaczepionym, wsiadł do dorożki która nadchodziła i w przeciwną stronę pojechał. Utwierdził się więc Eugeniusz w téj myśli, że wszyscy jego znajomi odwrócą się od niego i pogardzać nim będą, jako takim, który honoru swego bronić nie chciał. Przejęty goryczą, chciał już wrócić do domu; ale przyszło mu na myśl, że kobiéty będą miłosierniejsze, że przed którą bądź będzie się mógł wytłómaczyć, że jeżeli zdoła choćby jednę wprowadzić na prawdziwą drogę i wtajemniczyć ją w te wszystkie powody, dla których dobrowolnie tę klątwę społeczeństwa przyjął, że go serce jéj kobiéce zrozumie i że ona w obronie jego stanie. Wszedł więc do domu hrabiny K.... tym śmieléj, że wi-

dział przed nim powozy, a w przedpokoju zastał obcych lokai, trzymających futra, i kazał się zaanonsować. Służący zabawił kilka minut; widać naradzano się co zrobić. Gdy wyszedł, wyszedł z taką miną, jaką zwykle lokaje u nas przybierają względem tych, których panowie ich chcą się pozbyć, i rzekł: — pani przeprasza, ale zaraz wyjeżdża.— U pani H... powiedziano mu to samo; u pani B... przyniósł mu lokaj odpowiedź, że pani nie ma w domu, chociaż Eugeniusz głos jéj słyszał. Wrócił więc z rumieńcem wstydu na czole, i bolem w sercu do swojéj stancyjki i kilka dni nie wychodził. Jakkolwiek świat ten, w którym wyrósł i wychował się, pociągał go powabami obejścia, rozumu i elegancyi, zrażony jednak jego surowością w sprawie, któréj zgłębić nie chciał, przekonawszy się nadto, że piérwsza ta próba, która go tak mocno zabolała, nie była przypadkową, ale że to samo powtórzyło się jeszcze parę razy, gdy niektórzy panowie, przechodząc koło niego, wymijali go spiesznie i udawali, że go nie znają, uczuł w sercu swém ciężką obrazę, i z dumą właściwą szlachetnemu sercu, które znosi niesprawiedliwość, wyrzekłszy się wszelkiego zbliżenia

z tymi, co go zrozumieć nie chcieli, wyrzekł się oraz wszelkiéj nadziei pomocy, jakiéj się od nich spodziewał. Trzeba więc było radzić sobie inaczéj, gdyż potrzebował koniecznie wykierować się, a na łasce biednych, choć tak szczérze kochających go krewnych pozostać nie mógł. Udał się więc do wysokich urzędników, których znał, a w téj liczbie i do referendarza, wiedząc, że w ich ręku było rozdawnictwo miejsc, lub potężna rekomendacya. Ci wszyscy, jeżeli go który przyjąć raczył, zbyli go wyliczeniem trudności, jakie rzeczywiście są, w wynalezieniu odpowiedniego zajęcia dla młodego człowieka, którego usposobienie i wychowanie stawi wyżéj nad innych aplikantów, który kancelistą być nie zechce, i dla którego aplikacya, przez jaką inni przechodzą, żadnéj nie przyniesie korzyści i kierowanie się innym sposobem zatrzyma. To samo, tylko mniéj grzecznie, jako krewny, i zwykłą swą siekaninką, któréj sens trzeba było łapać, powiedział mu i referendarz.

Gdy wszystkie te nadzieje go zawiodły, gdy obietnice ministra, zrobione kasztelanowi, i do którego sam odezwać się nie śmiał, poszły natural-

nie w zapomnienie, a tu dzień za dniem z nieubłaganemi potrzebami stancyi, garderoby i życia następował, poradzono mu, aby korzystał ze swéj biegłości w językach, i zdał examin na guwernera. Zdecydował się więc biédny Eugeniusz na ten chleb, który spożywają ci, *quos dii oderunt*, zdał examin, i przeszedłszy przez upakarzające regestra kantorów stręczeń, czekał téj nowéj lokacyi.

Tymczasem chcąc cóśkolwiek bądź zarobić i ulżyć tym, których każdy grosz, przez niego spożyty, choć chętnie i z sercem braterskiém dany, ranił go i bolał, uporządkował jak mógł notatki swe o Włoszech i Francyi, przyłączył do tego znane już nam dwa listy z Rzymu i z Paryża, i zaniósł to wszystko do księgarza. Dziś idą te rzeczy łatwiéj. Każde pismo peryodyczne otwiéra chętnie kolumny swe młodym talentom, z nowemi występującym siłami; redaktorowie, światli i chętni, sami przez się zdolni są ocenić, jaką ma wartość to, co im nieznany jeszcze pisarz do ogłoszenia drukiem daje, i jaka taka nagroda materyalna czeka poczynających, niby jako zadatek przyszłych honoraryów i zachęcenie na téj drodze

tylu usłanéj cierniami. W owym czasie, o którym mówimy, było wcale inaczéj. Ci, którzy dziś żyją z literatury, a przynajmniéj znaczniejszą z niéj przy innych dochodach mają pomoc, pamiętają dobrze, przez jakie miny, kiwania głową i rezonowania księgarzy, przez jak upakarzające z niemi targi, lub gorsze od zupełnéj odmowy jałmużny przechodzili, nim przyszło do tego, co dziś jest, nim sobie wyrobili to stanowisko, na którém dziś stoją. Tak było i z Eugeniuszem. I ten i ów księgarz zmierzył go od stóp do głów, kazał sobie powtórnie przesylabizować nazwisko, o którém nigdy nie słyszał, i które naturalnie nie mogło być popłatném, i ruszywszy ramionami na propozycyę kupienia rękopismu, wręczył mu go na powrót z ukłonem, radząc, aby się wprzód wsławił. Jeden tylko najmłódszy ze wszystkich i najodważniejszy wziął, ale że sobie nie ufał, i bał się, aby nie stracił, a szczególniéj aby się nie nabawił wstydu, że się dał złapać, powierzył rękopism do przejrzenia jednemu z literatów, na którego zdaniu zwykł był polegać, i który bardzo był surowym... dla drugich. Po niejakim czasie zwrócił mu ów znakomity mąż rękopism z napisem:

»Talentu żadnego, kompilacya dość licha, rozwałkowane komunały, ale gładkie pióro.” Gdy więc Eugeniusz zjawił się, pokazał mu księgarz wyrok arystarcha, a że wiedział, iż młody autor nie bez talentu umie dobrze po francuzku i ma gładkie pióro, zaproponował mu przetłómaczenie jednego z najświeższych, a sławnych romansów francuzkich, w sześciu tomach, i za każdy tom ofiarował mu po 130 zł. Krew uderzyła na twarz młodzieńca, czującego swe siły, zepsutego pochwałami i admiracyą tego świata, który go z grona swego wyrzucił, gdy czytał takie o sobie i pracy swéj zdanie, gdy usłyszał propozycyę roboty tak mizernéj i za zapłatę, wynoszącą zaledwie tyle, ile pobiérał lokaj, który mu niegdyś usługiwał. Ale zważywszy wszystkie powody, jakie miał do wzięcia się do jakiejbądź pracy, i sądząc, że każdy tom nie będzie go więcéj kosztował, jak parę tygodni czasu, zgodził się na układ, potłumił w sobie żal i wstyd, który go szarpał, i wziąwszy za piérwszy tom z góry, tego samego dnia zasiadł do roboty.

Z początku tłómaczenie to szło szybko i raźnie. Trudności nie było żadnéj. Z książki francuz-

kiéj Eugeniusz przepisywał tylko po polsku. A chociaż go sama mechaniczna praca tak nagłego pisania nużyła, ta myśl jednak, że i on coś zarabia, że biorąc do ust strawę, jaką mu podają, będzie mógł sobie powiedziéć, że to nie tylko owoc hybla, nad którym poci się Ignaś, pióra, do którego przykuty Kański, i igły, z którą siedzą tak wytrzymale śliczne jego kuzynki, utrzymywała jego ochotę i spędzała sen z powiek. Tym sposobem w przeciągu sześciu dni większa półowa piérwszego tomu była gotowa. Ale w miarę postępu roboty, widząc, jak wiele jeszcze do zrobienia pozostaje, jakiéj usilności wymaga rzecz, którą zaledwo warto przebiedz, jak marnuje się czas i wyczerpują się siły nad pracą tak pospolitą, żadnéj umysłowéj korzyści nie przynoszącą, a przynoszącą korzyść materyalną tak lichą, że już jéj nie było wprzód, nim ją odrobił, upadał na siłach, pracował coraz wolniéj, i częściéj przesiadywał przy stoliku z głową wspartą na ręku i marząc, niż pisząc, marząc to o pannie Jadwidze, do któréj dusza jego leciała, to o tém życiu dawniejszém, tak swobodném i łatwém, którego mu tak było żal, za którém

tęsknił, a do którego powrócić nie mógł. Tak spychając ten obstalunek coraz niedbaléj, z coraz większém umęczeniem, przyszedł do takiego unużenia, do takiego stanu upadku i niemal rozpaczy, że czwartego ledwo tygodnia skończywszy ten piérwszy tom, odniósł całą robotę księgarzowi i daléj jéj kontynować nie chciał.

Widział Ignaś ten stan brata, bolał serdecznie nad tym brakiem wytrwałości, ale najmniejszéj nie czyniąc mu wymówki, nie dając niczém poznać, że mu jest ciężarem, udał się sam do kantoru, gdzie Eugeniusz jako kandydat na guwernera był zapisany, obszedł inne, gdzie świadectwo jego pokazał, a gdy w jednym z nich było żądanie nauczyciela, któryby mówił biegle po francuzku, miał dobrą pronucyacyą, i któremuby nie obce były także i nauki klasyczne, prosił utrzymującą ten kantor, aby brata jego na miejsce to zarekomendowała. Zrobiło się jak Ignaś życzył. Eugeniusz podobał się rodzicom z doskonałego wymawiania najtrudniejszych wyrazów, jak *vieillard*, *murail défaillance* i t. p., gdzie wchodzi *l mouillé*, i do dwóch chłopczyków za

półtrzecia tysiąca rocznie, ze stołem, mieszkaniem i wygodami umówionym został. Pożegnał więc stancyjkę Ignasia, ze łzą w oku uściskał brata, Kańskiego, i ślicznym gosposiom swym podziękowawszy, przeniósł się na ulicę Żabią, gdzie rodzice przyszłych uczniów jego mieszkali.

Ale zaraz z początku postrzegł, że mu tam będzie bardzo ciężko. Trafił on wprawdzie na ludzi trochę śmiesznych, małpujących niezgrabnie panów, kaleczących uszy jego niegodziwą francuzczyzną, którą expeditissime mówili, ale dobrych i uczciwych; w obowiązku swym z ich strony nie miał żadnéj zawady, bo mu pozwalali robić z dziećmi coby mu się podobało, byle tylko takiéj, jaką sam miał, nauczył ich pronuncyacyi. Cóż, kiedy dzieci były tępe, i nawet do wymówienia *l mouillé*, o co matce najwięcéj szło, niezdatne. Z początku, prawda, pracował on z ochotą i usilnością. Widząc, że jego metoda i pilność przemaga lenistwo i brak zdolności w dzieciach, że zaczynają pojmować, że się garną do książki, że rodzice postrzegają to, dziękują i na każde zawołanie dają mu pieniądze, utrzymywał się czas niejaki w tym sztu-

cznym zapale. Ale wkrótce zaczął ostygać, słabnąć i zaniedbywać się. Ranne wstawanie do dzieci stawało mu się coraz nieznośniejszém, ich swywola po skończeniu lekcyi, po któréj chciałby mieć głowę spokojną, męczyła go, ich ciągła obecność w tym samym pokoju czyniła mu życie okropném, a regularność i jednostajność pracy, od czego zupełnie odwykł, wydała mu się jarzmem tak przykrém, pańszczyzną tak ciężką, że ją odrabiał byle zbyć, zwłaszcza wtedy, gdy chciał swobodnie pomarzyć, lub miał jaką dobrą książkę, do któréj śpieszył. Tak więc codzień więcéj przykrząc sobie to zatrudnienie, rzeczywiście mozolne, do którego człowiek z wyższemi zdolnościami nigdy się nie zda i podejmować się go nie powinien, widząc sam, że źle wykonywa swe obowiązki, i dręcząc się, że ich sumiennie wykonać nie może, dociągnął jako tako do kwartału, i miejsce to, które zresztą nie dawało mu żadnego nadal widoku, porzucił.

Ale wstyd mu już było wrócić do brata. Znalazłszy więc tanią stancyjkę w hotelu Polskim na ulicy Długiéj, tam się przeniósł. Był Eugeniusz znowu swobodnym, miał cały czas dla siebie, a

choć nie zbliżał się wcale do celu, do którego dążył, mógł przynajmniéj czytać, i marzyć o téj, co mu się tém droższą zdawała, im bardziéj się od niéj oddalał. Ale na nieszczęście fundusz jego ledwie paręset złotych wynosił. Wtedy zaczął rozmyślać, jak ciężkie są drogi życia, jak na niewiele przydadzą się zdolności i usposobienie, kiedy nie można ich zastosować, kiedy ten, co je posiada, wcześnie nie zaczął iść jakąś drogą, która do czegoś prowadzi, i nabywszy wiele rzeczy pięknych i ozdobnych, dobrych dla panów, nie nabył najważniejszéj dla biédaka umiejętności, to jest, cierpliwego postępowania krok za krokiem tą samą ścieżką, która go zwolna posuwa, i mężnego wytrwania w pracy jednostajnéj, codzień z tém samém jarzmem wracającéj, tak jak głód codzień z tém samém wołaniem powraca.

W takich rozmyślaniach pogrążony i rozważający co daléj pocznie, spotkał się raz Eugeniusz z kapitanem. Pan Wiktor Szrot przywitał go grzecznie, wdał się z nim w rozmowę, a dowiedziawszy się, że jest swobodny i ma czas, ciągnął go do siebie. Chociaż Eugeniusz nie bar-

dzo go wysoko cenił, przez pamięć jednak, że okazał gotowość w przyjacielskiéj usłudze, do jakiéj był wezwanym, i przez ten wzgląd, że chociaż exystencya jego była zagadkowa, należał zawsze do tego świata, za którym tęsknił i do którego radby był powrócić, dał się skłonić. Oba więc wziąwszy się pod ręce, poszli na Podwale, gdzie kapitan miał lokalik nie wielki, ale pełen elegancyi i gustu. Patrząc na to wszystko, co mu dawniejszy byt jego przypominało, westchnął Eugeniusz, że pozbawiony jest tych wygód, tych sprzętów, tak miłych, tak do życia koniecznych, i że nie widzi żadnéj drogi, żadnego środka, jakby postawić się w pozycyi, bez któréj ani praca żadna mu nie pójdzie, ani zużytkują się zdolności, jakie posiada. Kapitan odgadł jego myśl i po zręcznéj rozmowie, z któréj przekonał się o zupełném obnażeniu z zapasu młodzieńca, który niegdyś tak wysokie miał nadzieje, zaczął go pocieszać, dając mu do zrozumienia, że chcąc, nie trudno jest żyć bez dóbr, bez urzędu i prawie bez pracy, tak jak on żyje. Wśród takiéj rozmowy, która napełniła jakąś tajemną trwogą i smutkiem uczciwe serce bohatéra

naszego, przyszło kilku panów nieznajomych Eugeniuszowi, którzy po krótkiéj rozmowie i wzajemném zarekomendowaniu się, siedli do stolika i grać zaczęli. Po niejakim czasie gospodarz wstał i rzekł do młodego człowieka, który z dziwném pomieszaniem wstrętu i pociągu grze się przypatrywał:

— Coś mi nie idzie. Siądź i graj na mojém miejscu. Przekonałem się nie sto razy, że w takim razie zastępca zawsze wygrywa.

— Nie grałem nigdy w pieniądze — odpowiedział Eugeniusz z wewnętrzném drżeniem, które starał się potłumić.

— Śmiéj się z tego — rzekł kapitan — wygrasz pewnie i rozerwiesz się, bo cóś widzę jesteś smutny. Mówią, że trunek dobry na frasunek, a ja powiadam, że gra jeszcze lepsza. *Cela vous fouete le sang.* Zresztą, napiwszy się człowiek zawsze traci i rozum i pieniądze, a tu jest szansa, że może zyskać! Siadaj, ja stawię pięć przeciw jednemu, że wygrasz. Wszak i to praca, taka dobra jak i inne.

Eugeniusz usiadł niby dla żartu i rzeczywiście wygrał. A zaproszony nazajutrz, o téj saméj

godzinie, przyszedł znowu, żeby tym panom nie dać do zrozumienia, że im nie chce dać sposobności odzyskania swéj straty. Drugiego dnia znowu wygrał, i tak przez kilka dni następnych. Pięćdziesiąt kilka dukatów było już w kieszeni Eugeniusza. A choć czasem, w lepszych chwilach, pieniądze te paliły go, choć niekiedy przed zaśnięciem, gdy sobie wyobraził brata, z jakim pokojem używa tak ciężko zarobionego dochodu, zatrwożył się i zmartwił, choć nie raz, gdy mu przyszła na myśl panna Jadwiga, któréj wstręt do gry znał, gdy obaczył przed sobą jéj twarz piękną i zasmuconą, jéj wejrzenie pełne wyrzutu, że o niéj zapomina, kiedy się dobrowolnie poniża, zrywał się z łóżka i pugilares napełniony tym nikczemnym zarobkiem chciał wyrzucić za okno; ale jakto zwykle w takich razach bywa, wszystko kończyło się na dobréj woli i na krótkiéj zgryzocie. Zawsze mu przyszło na myśl, co będzie daléj robił, z czego będzie żył, że ciężarem bratu być nie może, a w dziurawych bótach chodzić, na twardém łóżku spać, barszczem i kawałkiem lichego mięsa żyć także nie umié! Więc znowu nazajutrz szedł do kapitana, i gra-

jąc już z różném szczęściem, ale zawsze tak, że więcéj zyskiwał niż tracił, przyszedł do tego przekonania, że można tak żyć, i zaczął sobie pozwalać tych wygód i elegancyj, których mu już brakło, a do których nawykł. Trwało to ze trzy miesiące. W ciągu tego czasu coraz rzadziéj widywał się z Ignasiem, coraz rzadziéj zachodził na Święto-Jańską ulicę. A gdy go brat zapytywał ze smutkiem, czemu ich zaniedbuje i co robi, odpowiedział, odwracając się dla ukrycia rumieńca, że ma dużo zajęcia od księgarza, z którym na lepszych porozumiał się warunkach. Biédny Eugeniusz, przyszedł już do tego, że kłamał!

Jednego rana, ów nowy przyjaciel, który bohatéra naszego na tak gładkiéj postawił drodze, zaprosił go do siebie na śniadanie, dodając:

— Uprowiduj się dobrze, bo mam przeczucie, że dziś postawisz się na nogi. Diabelskie jakieś masz szczęście.

Eugeniusz nie zrozumiał téj chytréj przestrogi, zabrał z sobą wszystko, co miał, i naturalnie wszystko przegrał. Postrzegłszy się zapóźno w jakie wpadł ręce, ze zgryzotą w sercu, z gniewem i oburzeniem na samego siebie, cały zmieniony i

jak trup blady, szedł ze schyloną głową i zaciśniętemi pięściami Podwałem ku kolumnie Zygmunta. Wtedy spotkał się oko w oko z ciotką Herminiją, która w eleganckiéj mantyli, w ślicznym kapeluszyku, stawiąc z wdziękiem drobną nóżkę po kamykach, wracała do siebie.

— Eugeniuszu! tyżeś to? taki zmieniony! O mój Boże, co ci jest?— zawołała Herminija głosem wdzięcznym i miłym, w którym serdeczne brzmiało współczucie.

Eugeniusz wstrząsł się, sam nie wiedział co zrobić, jak postąpić, ale nie cofając ręki, którą ciotka trzymała, odpowiedział:

— Chory jestem, nie dobrze mi.

— To chodź-że do mnie, odpoczniesz, orzeźwisz się, każę ci co zrobić, a wreszcie tu zaraz apteka, jeśliby ci było gorzéj— rzekła ładna zawsze Herminija, i nie dając mu czasu do odpowiedzi i namysłu, pociągnęła go za sobą.

Poszedł więc Eugeniusz, chociaż niegdyś ostrzegał Ignasia, aby tam nie bywał, i sam o upadłéj kobiécie zupełnie zapomniał. Dziś w takiém już był położeniu, że zamknął oczy na rzemiosło ciotki, przyjmował chętnie oznaki jéj

troskliwości i przywiązania, i przypomniawszy, z jaką pobłażliwością świat wyższy patrzy na podobnego rodzaju grzeszki, jeżeli zręcznie pokryte, a choć i jawniejsze, lecz jeżeli ta, o któréj upadku wszyscy wiedzą, jest oraz dobrą, piękną, ma rozum i dostatek, zaczął tłumaczyć w duchu ciotkę swoją i nie żałował tego zdarzenia, które go do niéj zbliżyło. Tak więc po dwugodzinnéj rozmowie, rozbrojony jéj spowiedzią, w któréj umiała życie swe ukoloryzować tą nadzieją, że zakochanego w niéj żyda przywiedzie do ochrzczenia się i do związków legalnych, oczarowany jéj wdziękiem, jéj dobrocią i tym głosem miłym, który mu głos ciotki Teresy przypominał, nie tylko przyznał się jéj do wszystkiego ze szczerością dziecka, nie tylko odmalował jéj smutne swoje położenie, ale gdy wzruszona kobiéta oddała mu całą gotowiznę, jaką miała w swojéj szkatułce, Eugeniusz zasiłek ten przyjął, i nie odrzucił obietnicy wyrobienia mu tymczasowo miejsca u zakochanego w niéj bogacza i zapewnienia nadal przemożnéj jego protekcyi.

Tym sposobem Eugeniusz nazajutrz zaraz otrzymał w kantorze Gieldsona miejsce sekretarza

do korrespondencyi zagranicznéj, mianowicie francuzkiéj i włoskiéj, miał sobie naznaczoną pensyę pięć tysięcy złotych polskich rocznie, a w parę tygodni potém, miał już własny lokalik, który sobie z pomocą ciotki Herminii, i w znacznéj części jéj funduszem, z elegancyą i wygodą urządził. A nie przestając na tém, przyjął sobie służącego, odział go w liberyę, i wkrótce, gdy u pryncypała swego, który i dla osobistych jego zdolności i przez wzgląd na swoje bóstwo, wysoko go cenił, poznał się z celniejszemi osobami téj klassy przemyślnéj i bogatéj, wszedł do najpiérwszych domów nowéj téj arystokracyi, przyjmowany był wszędzie uprzejmie, i jak dawniéj pieszczony i admirowany. W nowém tém życiu swém znalazł Eugeniusz wszystko co utracił, oprócz szacunku dla samego siebie i tego przekonania, że podniósł się w godności wewnętrznéj, że się uzacnił wytrwałością w pracy, w znoszeniu biédy z tą dumą, z jakąby ją ojciec jego znosił, a zatém, że choć nieszczęśliwy i odepchnięty przez rodziców i świat, do którego należą, tém godniejszym stał się téj, co go kochała, a którą on, mimo poniżenia swego,

jednakowo czcił i kochał. Takie wyrzuty czynił sobie biédny Eugeniusz codzień, takie same czytał w twarzy Ignasia i Kańskiego, którzy na obecne życie jego i na źródło tego dostatku patrzali ze smutném milczeniem, ale nie miał sił wyrwać się z miękkiego objęcia tych wygód, których potrzebował, i z więzów tych stosunków społecznych, które przesadą zbytku, brakiem gustu i prostoty śmieszyły go czasem, ale które mimo to przypominały mu to życie, do jakiego przywykł.

VI.

Gdy tym sposobem jeden z bohatérów naszych, co z tak széroko rozpostartemi skrzydłami lot swój rozpoczął, zsunął się moralnie, a drugi idąc krok za krokiem, z wytrwałością w uczciwéj pracy, podnosił się coraz w szacunku wszystkich, w dostatku i biegłości, która mu zapewniała niezależność, zdarzył się wypadek, który na los obu stanowczo wpłynął.

Do kantoru Hebla, gdy po obiedzie siedział sobie w kamizelce, palił fajeczkę, często ją odlewał, i popijał kawę, którą mu jego kochana Rózia sama przyniosła, wszedł jednego razu nieznajomy, który obecnością swą Niemca trochę zażenował. Był to mężczyzna już nie młody,

słusznego wzrostu, z gładkiém czołem, na którém podnosiły się nizko ostrzyżone siwe już włosy, z twarzą czerstwą, ogorzałą, znaczących rysów, uprzedzającą jednak i miłą. Szczególniéj wejrzenie jego i uśmiech ośmielały, tak wiele widać w nich było figlarnego i wesołego humoru. Był on w surducie mundurowym oficera wyższéj rangi, choć bez szlif, na szyi miał parę krzyżów, a na piersiach kilka mniejszych znaków honorowych i medalów.

Skoro go Hebel postrzegł, porwał się z miejsca, i zaczął szukać surduta, żeby się przyodziać. Nieznajomy zatrzymał go i rzekł czystą polszczyzną:

—Nie rób sobie subjekcyi panie Hebel. Ja wiém, że każdemu Niemcowi tak najlepiéj. Usiądź więc jak jesteś i ja usiądę, bo mam do ciebie interes.

—Ja uniżenie przeprosiłem JWny jenerał— rzekł Hebel na domysł— że tak zaprezentowałem się. Ale kiedy JWny jenerał tyle łaskawy, że usiadał, to ja już będę tak zostawałem.

—Otóż tak to lubię. Tylko nie nazywaj mię jenerałem, bo jestem tylko dymisyonowanym

półkownikiem— mówił z uśmiechem nieznajomy. Gdy Hebel ukłonił się, usiadł i przysunął się z uwagą słuchając, co mu gość jego powie, ten dodał:— Masz tu u siebie panie Hebel czeladnika, niejakiego Ignacego Zabużskiego, z którego podobno nie bardzo jesteś kontent.

Niemiec porwał się z miejsca i zawołał:

— Ja bardzo przeprosiłem pan półkownik, ale to ktoś fałszywie donosił. Pan Ignacy Zabużski jest młody człowiek, który ja kochałem jak własny syn, i szanowałem, jak najpiérwszego filaru w moim warsztacie!— I tu Hebel zaczął się rozwodzić z pochwałami Ignasia, wyliczał wszystkie jego przymioty, jego rozum, jego odwagę w przedsięwzięciu zawodu, którego się nie zawstydził, jego wytrwałość w znoszeniu piérwszych prób terminowania i t. d. Wszystkiego tego, co Hebel mówił z ogniem, nieznajomy słuchał z uśmiechem i w końcu rzekł filuternie:

— Wiedziałem ja o tém dobrze, panie Hebel; chciałem się tylko przekonać, czy tak jest istotnie, i czy ty, jako Niemiec, oddajesz sprawiedliwość szlachcicowi polskiemu. Ale ponieważ widzę, że tak gorąco go bronisz, tém więcéj się

cieszę, i tém więcéj szacuję was obu—i to mówiąc podał rękę Niemcowi, którą ten potrząsł śmiejąc się z ukontentowania i wołając: ja! ja!— Po kilku jeszcze innych zapytaniach tyczących się Ignasia, dodał nieznajomy:

—Chciałbym u ciebie co kupić, panie Hebel, ale koniecznie coś takiego, co wykończył ten twój ulubiony czeladnik, abym miał przed oczami dowód jego biegłości.

—Jeżeli pan półkownik był łaskawy pofatygować się na górę do mój magazyn—rzekł Hebel powstając i biorąc klucze—to ja będę pokazać parę roboty, które on wykonywał, a co są prawdziwy majsterwerk, jakiego żaden tu w Warszawie czeladnik nie był w stanie zrobić lepszy, a nawet taki.

—Służę ci panie Hebel— rzekł nieznajomy, i poszli oba do magazynu. Tam, na najcelniejszém miejscu stały obok siebie dwie roboty Ignasia, owa kanapka, którąśmy wyżej opisali, i biórko damskie, palisandrowe, bez zbytku ozdób wyrzynanych, gładkie, proste formą, ale tak kształtne, piękne i tak wykończone, że niezna-

jomy nie mógł się od niego oderwać, i winszował majstrowi, który takiego ucznia ukształcił.

— Jego własna głowa i ochota dopomagał mu więcéj, jak ja— odpowiedział Hebel na komplimenta, które jednak z radością przyjął. Nieznajomy zapytał o cenę obu tych sztuk. Hebel pokazał mu na jednéj i na drugiéj przyczepione karteczki, na których była cena, na biórku dość umiarkowana, na kanapie bardzo wysoka, która właśnie dla tego, chociaż licznych miała amatorów, dotąd sprzedaną nie była, i jako ozdoba magazynu dotąd tam stała. Nieznajomy nie zrobił żadnéj uwagi, wydobył gruby pugilares i za obie sztuki zapłacił.

— Obaczymy się panie Hebel i to nie raz— dodał, oglądając się po pięknym i bogatym zbiorze ładnych mebli.— Późniéj obejrzę lepiéj twój magazyn i zapewne co kupię. A teraz każ te dwie blaszki przybić delikatnie na meblach, które nabyłem, tę na kanapce, a tę na biórku, i rzeczy te każ zanieść za mną.

Blaszki, które oddał Heblowi były srebrne, z przygotowanemi z tyłu sztyfcikami, a z wierzchu złocone. Na jednéj przeznaczonéj do ka-

napki, był napis: Julii Jelewskiéj, podarunek od Pawła J.; na drugiéj zaś, co miała być przy biórku, było: Paulinie z Jelewskich Kańskiéj, dar od Pawła J.

Hebel zaraz zawołał zręcznego chłopaka z młoteczkiem, a gdy napisy w miejscach przez nieznajomego wskazanych i tak aby mebłów nie zepsuły, przybite zostały, podał rękę Niemcowi i rzekł:

— Dziękuję ci panie Hebel. Dobry z ciebie majster i dobry przyjaciel.

Hebel ucieszony, potrząsał śmiejąc się podaną sobie rękę i zapytał:

— Czy pan półkownik pozwalałeś, żeby ja powiedziałem panie Ignacy, co się tu zrobiło?

— Nie trzeba— odpowiedział półkownik— przyszlij go tylko za pół godziny, pod jakim bądź pretekstem, niby po jaki obstalunek, do hotelu Saskiego pod numer piérwszy.

— Aha!— rzekł Hebel domyślnie— teraz ja już zrozumiałem, ale nie bardzo.

— Wierzę— odpowiedział nieznajomy. I gdy meble zniesione, ustawione na tragi i starannie były okryte, poszedł za niosącymi je chłopakami.

W pół godziny potém, Hebel zawołał do siebie Ignasia, i rzekł mu z jakąś tajemniczą miną, która młodego człowieka zastanowiła.

— Mój panie Ignacy! proszę pofatygowałeś się zaraz do hotelu Saskiego. Tam stoi pod numer piérwszy jeden półkownik, który potrzebował zrobić jakiś obstalunek. Rzucaj więc robota pan Ignacy, i idź prenko. Ale jeszcze poczekaj. Wprzód będziemy się porachować. Sprzedawałem dzisiaj biórko, co pan Ignacy zrobiłeś, i twój geselsztik. No, mnie troche żal, że ta piękna sztuka wyszedł z mój magazyn, ale ten pan, co kanapka kupował, napiérał się bardzo i zapłacił, co chciałem. Mój koszt na materyału był taki, i to się mnie należy, a reszta to twój pieniądz, pan Ignacy, który sprawiedliwie zarabiałeś.

I pokazawszy mu rachuneczek, oddał kilkadziesiąt rubli przewyżki, które mu przeznaczył. Ignaś nie chciał z początku przyjąć, ale gdy Hebel nalegał, a nawet okazał, że mu to przykro, wdzięczny młodzieniec ścisnął rękę uczciwego Niemca, wziął pieniądze i pobiegł na Krakowskie Przedmieście.

Tymczasem pod numerem 1szym przechadzał się nieznajomy, i niecierpliwie widać bohatéra naszego wyglądał. Pokój ten był nie zwykle przybrany. Na biórku leżały papiéry i listy i stały jakieś nie tutejsze kufereczki i szkatułki; na okrągłym stole, który stał na środku, były bogate pistolety, jakiś turecki sztuciec, zwyczajny pałasz, a przy nim szaszka kirgizka i kindżał; na kanapie, oprócz wojskowego płaszcza, była burka, połyskująca delikatnym włosem i czapka takimże włosem spadającym okolona; daléj stały cybuchy wysokie z wielkiemi bursztynami, daléj walizy od powozu. Łóżko zasłane było kołdrą materyalną, w jaskrawe pasy i widocznie wschodniego wyrobu, a przed łóżkiem leżał mały perski dywanik, dziwnie piękny. Obok łóżka stał stolik, aksamitném, perskiém nakryciem osłonięty; a na nim zwierciadło i rozmaite srébrne przybory do golenia się i toalety, wszystkie obce nam formą, gustem i wyrobieniem.

Gdy Ignaś wszedł i rzucił okiem na to wszystko, co tam rozłożone było, pewnym był, że to człowiek zamożny, i że przebywa ze Wschodu, a najpewniéj z Kaukazu. Już więc gotował się

odezwać się do niego po rossyjsku, gdy nieznajomy, który na niego patrzył przez chwilę, rzekł z uśmiechem:

— Chodź-no tu bliżéj, kochany chłopcze, chodź! A nie wytrzészczaj tak na mnie oczów. Poznamy się zaraz lepiéj.

W rzeczy saméj, Ignasia zadziwiło i to odezwanie się, a więcéj jeszcze ta okoliczność, że przypatrzywszy się lepiéj, przypomniał sobie, iż wczoraj przed wieczorem tego samego oficera widział pod murem kościoła Pijarskiego, gdzie stał oparty o ścianę, i patrzył z dziwném zajęciem na trzecie piętro tego domu, gdzie Paulinka i Julka mieszkały. Nieznajomy dodał zbliżając się:

— Ale chodźże panie stolarzu! widziałem już twoją robotę i drogo ją zapłaciłem. Ucieszysz się, jak się dowiész dla kogo nabyta. A teraz uściskaj mię, bo patrzę na ciebie z serdeczną radością, i powiadam ci, żem nikogo w życiu więcéj nie pokochał, jak ciebie, gdym poznał twoje serce, i dowiedział się, czém byłeś dla sierot, o które niegodziwy ojciec nic dbał, a które nieszczęśliwa matka opuścić musiała.

Ignaś, odurzony i nie wiedzący co myśléć, przybliżył się, a półkownik wziął go w swoje objęcie, silnie przycisnął do piersi i z uczuciem ojcowskiém całował. Potém trzymając go za ręce i przypatrując się pięknemu młodzieńcowi, którego twarzy, wzruszenie i zadziwienie dodawało wyrazu, rzekł z uśmiechem i ze łzą w oku.

— Ale diable z ciebie ładny chłopiec! musi cię Julka bardzo kochać? Przyznaj no się.

— Lecz na miłość Boską! któż pan jesteś?— zawołał Ignaś patrząc mu w oczy.

— Tobie mogę to od razu powiedzieć— rzekł półkownik— Tyś mężczyzna i nie zlękniesz tego, który przychodzi z tamtego świata, żeby ci pobłogosławić. Jestem ojciec twojéj Julki, Ignasiu!

— Pan Paweł Jelewski!— krzyknął Ignaś, padając do nóg jego.

— Ja sam, mój chłopcze— rzekł pan Paweł— teraz niby to twój wujaszek, a wkrótce twój ojciec, wdzięczny i kochający.— I podniósł go, jeszcze raz uściskał, i posadziwszy koło siebie, wziął jego rękę i dodał— no, z tobą było mi nie trudno. Ale jak zrobimy z kobietami, żeby się

mnie nie przelękły jak upiora. Wyobraź sobie, przyjechałem tu jeszcze wczoraj z Sawina, gdziem się od księdza Macieja o wszystkiém dowiedział i listy twoje odczytał. Całe poobiedzie wczoraj i dziś rano chodzę jak potępieniec, i sam nie wiém, co począć i jak przed niemi stanąć, jak nazwać się, żeby ich nie przestraszyć. Wczoraj ze dwie godziny chodziłem po Święto-Jańskiéj ulicy, to stałem pod murem kościoła Pijarskiego, jak żebrak zaglądając do ich okien, i czekając czy nie wyjdą, a byłbym je poznał po piękności i podobieństwie do siebie. Ale gdzie tam, siedziały jak zamurowane. Dziś wykoncypowałem co innego. Oto niedawno posłałem im podarunki i właśnie twoją robotę, mój chłopcze, z napisem dla każdéj. Dodałem tylko, że to od Pawła J. żeby je trochę przygotować, uprzedzić, i oswoić z tém imieniem, które pewnie kochają, choć na to nie zasłużyłem. Muszą się zapewne teraz domyślać, w głowę zachodzić, co to za pan Paweł, i może serce im powie, że to nie kto inny, tylko ojciec, który nie wiedział o ich exystencyi, i dopuścił, że w biédzie i w pracy wyrastały, kiedy on opływał w dostatki. Pomyśl

no chłopcze jakby to zrobić, bo już nie wytrzymam dłużéj i chciałbym obaczyć te śliczne twarzyczki, które tylko wyobrażam sobie i od tygodnia w myśli méj noszę.

Ignaś poradził, żeby iść zaraz; że on wejdzie piérwszy, że w téj chwili, kiedy one domyślają się i dochodzą, co to za pan Paweł, który je obdarza, nie trudno będzie dać im do zrozumienia, że nie zawsze umierają ci, których ludzie umorzą, że takie fałszywe wieści rozchodzą się często, zwłaszcza o żołnierzach w dalekich stronach wojujących; że on już dawno słyszał, że ojciec żyje, tylko nic im nie mówił, żeby ich nie drażnić nadzieją szczęścia, które mogło się nie ziścić. Że gdy będą dostatecznie przygotowane, wtedy ojciec wejdzie, i rzecz się skończy zapewne nie bez łez, ale bez niebezpieczeństwa.

— Jesteś chłopak roztropny, i nie tylko z ciebie dobry stolarz, ale i do rady niezły. Tak więc zróbmy— rzekł pan Paweł i wziąwszy z biórka list dodał— a masz tu jeszcze list księdza Macieja, który cię uwiadomi, jakieśmy się sobie przypomnieli, i zkąd dowiedziałem się o wszystkich tych szczegółach, co cię tak zadziwiły.

Przeczytasz go sobie późniéj, a teraz pójdźmy w imię Boże.

I pan Paweł przeżegnał się, pocałował jeszcze raz Ignasia w głowę i poszli.

Paulinka i Julka zadziwiły się niezmiernie, gdy obaczyły przed sobą tak piękne podarunki i napis od osoby, któréj nie znały. Podziwienie to było tém większe, gdy chłopcy, nauczeni przez pana Pawła, który stał na ulicy i na nich czekał z tryngieltem, na żadne zapytania zkąd i od kogo to odpowiadać nie chcieli, tylko ustawiwszy meble, gdzie im kazano, śmiejąc się uciekli. Łamały więc sobie głowę, coby to mogło znaczyć, co to za pan Paweł J., a tymczasem każda z ukontentowaniem przypatrywała się swemu sprzętowi i złoconéj tabliczce, która wyraźnie mówiła, że to jéj własność. Julka siadała na swojéj kanapce i myślała, jak to tak dobrze i wygodnie; Paulinka probowała zamków, odsuwała szufladki, i dziwiąc się, jak wszystko idzie jak po maśle, myślała co ona tam schowa, i do kogo na tak piękném biórku pisywać będzie, kiedy na świecie jest tylko jeden mąż i Ignaś, do którychby pisy-

wać mogła, a ci oba są dzięki Bogu na miejscu. Nagle Paulinka zastanowiła się i rzekła:

— Julciu! już wiém. To Ignaś nam przysłał, i to on tego pana Pawła wykomponował. Toż go wyłaję! jak można takie drogie robić prezenta! Musiał mu prawda Hebel taniéj ustąpić, niż komu innemu, bo to pewnie on sam robił, ale zawsze to nie ma sensu. Toż taka kanapka musi najmniéj kosztować ze dwadzieścia dukatów, a biórko z piętnaście, albo i więcéj, bo prześliczne.

— Roi ci się — odpowiedziała Julka; — właśnie Ignaś, który ma teraz tyle zmartwienia, że Eugeniusz wlazł między żydów, myślałby o prezentach.

— Ale przypatrzno się dobrze swojéj kanapce — mówiła Paulinka — czy przypominasz sobie tę sztukę czeladniczą, którą Ignaś zrobił, i któréj rysunek nam pokazywał.

— A prawda — rzekła Julka przypatrując się — przypominam sobie, że to to samo. A jak wyrobione! — i zaczęła oglądać z ukontentowaniem wszystkie szczegóły; a rzuciwszy znowu okiem na tabliczkę, dodała: — jednak, co znaczy ten pan Paweł, a do tego jeszcze Paweł J. Gdybym nie

wiedziała, że ojciec nasz już dawno w grobie, tobym pomyślała że to Paweł Jelewski.

— Ach! to być nie może, nie, nie,— rzekła Paulinka smutno— już i mnie to przychodziło do głowy, alem się nie śmiała odezwać z rzeczą, która żadnego niema podobieństwa.

I obie usiadły na kanapce i zadumały się. Wtedy wszedł Ignaś i Kański. Obadwa byli wzruszeni i weseli; na twarzy jednego i drugiego widać było, że mają jakąś szczęśliwą wiadomość. Kański bowiem wiedział już o wszystkiém. Wracając z bióra, spotkał on Ignasia i pułkownika przy samych drzwiach kamienicy. Tam Ignaś zarekomendował przyjaciela. Pan Paweł zięcia swego serdecznie uściskał, kazał mu milczeć, tę radość zbyteczną, jaką Kański uczuł, utaić, i iść naprzód z Ignasiem. Skoro ich kobiety postrzegły, poskoczyły do nich obie, i obie opowiadać zaczęły razem, co się stało. Paulinka dodała:

— Wszak to twoja robota, Ignasiu, prawda?

— Prawda siostrzyczko!— mówił Ignaś uśmiechając się.

— Wszak to ty przysłałeś nam te podarunki— mówiła znowu Paulinka— i to ciebie trzeba za to

wyłajać, że nam takie drogie rzeczy przysyłasz, czy nieprawda?

— Nieprawda, siostrzyczko — rzekł Ignaś śmiejąc się — na złotéj tabliczce napisano, od kogo to macie.

— Tak — rzekła Julka — wykomponowałeś sobie jakiegoś pana Pawła J. który nie exystuje.

— Nie myślałem o tém, moja droga Julciu — rzekł Ignaś biorąc jéj rączkę i do ust przyciskając.

— Ale z oczu ci patrzy, że wiesz od kogo to. Powiedz — mówiła tonem rozkazu kochanka.

— Oni wiedzą — zawołała Paulinka. — I Olesiowi to samo z oczu patrzy. Powiedz, mój Olesiu! — dodała tonem prośby żona.

— Czyż wam nic na myśl nie przychodzi? — odpowiedzieli oba jednocześnie.

— Ach! Boże mój! — mówiła Julka — nam takie rzeczy na myśl przychodzą, które niepodobne. Bóg nie dałby nam tyle szczęścia.

— Czemu? — rzekł Ignaś seryo — Bóg miłosierny, a wy cierpiałyście po chrześcijańsku.

— Ignasiu! jak ty to mówisz — rzekły obie, a Julka dodała — Paweł J!... Tak, to może być Pa-

weł Jelewski, to imie i nazwisko naszego ojca; ależ nasz ojciec umarł.

Tu Ignaś zaczął zwolna i stopniami perswadować, że może żyje; dowodził im, według ułożonego programmatu, że to bardzo być może, że się takie rzeczy zdarzają, że on już o tém słyszał, i coraz silniéj, coraz wyraźniéj dawał im do zrozumienia, że tak jest istotnie. Paulinka i Julka, trzymając się siebie tak, jak się zapewne w żywocie matki trzymały, słuchały go drżąc, i coraz mocniéj wierząc jego słowom. Gdy skończył, Paulinka zawołała:

— O! Boże! gdyby to była prawda! Ale ty nas zwodzisz.

— Nie Paulinko! — rzekła Julka — musi to coś być, kiedy Ignaś tak mówi. Onby nas nie zwodził i nie rozdrażniałby naprózno naszego serca. Powiedz więc braciszku! tak, lub nie? — dodała z determinacyą.

— A gdybym powiedział tak, będzieciež miały rozum — rzekł Ignaś.

— O pewnie, pewnie — zawołały obie. — Upadniemy mu do nóg spokojnie, i to wielkie szczę-

ście zniesiemy tak, jakeśmy znosiły wielką niedolę. Ale nie męczcie nas! — dodała Julka.

— Pamiętajcież— rzekli oba, i Kański przystąpił do drzwi, otworzył je i wszedł pułkownik. Z początku przestraszone, stanęły jak wryte, patrzały długo, własnym niedowierzając oczom; ale gdy pan Paweł przystąpił, wyciągnął do nich ręce, gdy postrzegły w łagodnéj twarzy jego wyraz miłości i łzy spływające po jego policzkach żywych i zdrowych, krzyknęły obie i padły w jego objęcia.

I w półgodziny potém siedział pan Paweł na kanapce, na jego kolanach stał dwuletni chłopczyk, rumiany jak wisznia, i szarpał za krzyże wiszące na szyi dziadka; przy nim klęczały obie córki, patrząc mu w oczy i odpowiadając razem na jego zapytania, z boku zaś kanapki stali oba przyjaciele, przyszli szwagrowie, i na ten obrazek, godny Greuza, z rozrzewnieniem poglądali.

Historya pana Pawła taka. Po napisaniu w Chełmie listu do żony, który znamy, po oddaniu na rzecz kredytorów, takichże szulerów jak on, reszty majątku który posiadał koło Sawina, po zło-

żeniu administracyi tegoż majątku w ręku stryjecznych braci, o których uczciwości nie wątpił, i wzięciu od nich kilkunastu tysięcy na drogę, ruszył ów hulaka, z szaloną głową, bez obyczajów, ale z najlepszém sercem, w świat za oczy, żeby jak najdaléj uciec od żony, która go przywiązaniem swém męczyła, a któréj cierpieć nie mógł. Tak pędząc gdzie go oczy niosły, nie oparł się aż w Stawropolu, stolicy Przedkaukazkiego kraju, gdzie zastał pułk huzarów, który do Tyflisu dążył. Pułk ten podobał mu się; wstąpił więc do niego jako junkier, i z nowymi kolegami swymi ruszył za Kaukaz. Wkrótce jako szlachcic, mający trochę grosza, jako człowiek wesoły nie głupi i otarty z formami wyższego świata, dał się poznać młodym oficerom, i u niektórych z nich zyskał życzliwość i protekcyę. Szczególniéj był tam jeden, książę Sergiusz S..., syn nadzwyczajnie bogatego ojca, mającego w Saratowskiéj gubernii niezmierne dobra, który podobał sobie bardzo młodego Polaka, i miał go ustawicznie przy sobie. Służyli oni w tym samym szwadronie; książe ów był także młody, niedawno został oficerem, podobnego był usposobienia, podobnéj skłonności

do utracyuszostwa i karteczek, i tak przylgnął do pana Pawła, że po kilku miesiącach stał się jego nieodłącznym i serdecznym przyjacielem. Doskonale więc było panu Pawłowi w pułku, tém bardziéj że wszędzie stał z księciem Sergiuszem i żył jego kosztem, i że książe ten, jako przyszły dziedzic ogromnych dóbr, miał wielkie względy u jenerała, komenderującego tym oddziałem, który miał dorastającą i ładną córkę. Głaskał więc jenerał panicza, którego radby był wkrótce widzieć swym zięciem, a przez niego łaskaw był i na junkra polaka, który zresztą zasługiwał na względy akuratnością w służbie, i przytomnością umysłu w każdém zdarzeniu. Po kilku utarczkach z Góralami, pan Paweł odznaczył się rzeczywiście i w półtora roku już był oficerem. Książe Sergiusz uprosił jenerała, że został w tym samym szwadronie, a tak Kastor i Polux, jak ich w pułku nazywano, byli i nadal nieodłączni i ciągle ich widziano razem. Przyjaźń ta ich utrwaliła się jeszcze i przez to, że pan Paweł widząc skłonność księcia do kart, a wiedząc z doświadczenia jak jest zgubną, mając przy tém wielką praktykę, jakim sposobem ludzie tego rzemiosła korzy-

stają z gorączki zapalających się młodzieńców, nie tylko że sam grać przestał, ale czuwając nad przyjacielem, powstrzymywał go, z narażeniem się na jego gniew odciągał, a raz nawet pojedynek odbył z jednym z oficerów, którego przekonał, że nie grał uczciwie i z zapału namiętnego panicza korzystał. Oddał mu więc książe Sergiusz szafunek swoich pieniędzy, któremi pan Paweł jak najsumienniéj administrował, i obowiązał się słowem honoru, że ani kopiejki więcéj nie postawi, tylko tyle, ile mu taki opiekuńczy przyjaciel przegrać pozwoli. Takie postępowanie, hulace naszemu, który w téj twardéj szkole i wśród niebezpieczeństw opamiętawszy się, przez przyjaźń wyszedł na porządnego człowieka, zjednało nieograniczoną ufność młodego magnata: a gdy jeszcze w jednym niespodziewanym napadzie górali, pan Paweł, nieszczędząc krwi i życia, wyrwał go już związanego z rąk najezdników, książe przysiągł mu, że póki żyć będzie, nikt wyżéj w jego sercu i ufności nie stanie. Za ten czyn bohaterski, który jenerałowi komenderującemu ocalił przyszłego zięcia, pan Paweł został porucznikiem, otrzymał krzyż, i odtąd co roku pra-

wie odbierał awanse i znakami honorowemi był ozdabiany.

W tym czasie zdarzyło się, że w jednéj znaczniejszéj potyczce, pan Paweł, ugodzony kulą upadł z konia, że oddział, w którym walczył, musiał na czas ustąpić z placu przed przemagającą siłą, i rannych swoich zabrać nie mógł. Widzieli więc i oficerowie i żołnierze pana Pawła upadającego i ztąd nastąpiła ta pewność, że zginął. Książe Sergiusz był w rozpaczy, i cały korpus oficerów płakał nad zgonem tak walecznego, tak kochanego od wszystkich dobrego kolegi. W téj liczbie był jeden Polak, który znał stosunki rodzinne pana Pawła, sam miał rodziców w Hrubieszowskiém, napisał do nich o tém fatalném zdarzeniu, i prosił, aby o zgonie jego krewnym, gdzieś koło miasteczka Sawina mieszkającym, donieśli. Tym sposobem doszła wiadomość o śmierci pana Pawła do Królestwa. Pan Piotr, który miał w tém interes, roztrąbił ją urzędowie, uwiadomił o tém żonę, i tak ugruntowała się ta wieść, któréj nikt nie sprawdzał, nikt nie odwołał, bo wspomniony oficer sam wkrótce zginął; niedoświadczona zaś, zbolała, zajęta dziećmi i utrzymaniem kobiéta, nie

przedsięwzięła żadnych środków, aby stan swój wdowi ulegalizować, gdyż korzystać z niego wcale nie myślała.

W pół roku potém więzień jeden, wydostawszy się od Górali, przyniósł księciu Sergiuszowi karteczkę od pana Pawła, że był tylko ranny i oszołomiony, że go nieprzyjaciele z placu unieśli dla okupu, że się wyleczył, zdrów, i czeka ratunku i wyzwolenia. Książe Sergiusz posłał natychmiast okup i pan Paweł z wielką radością przyjaciela i kolegów znowu do pułku powrócił. Gdy po ustawicznych walkach oba już byli majorami, i każdy z nich, ozdobiony nie jednym krzyżem, komenderował dywizyonem, ojciec księcia Sergiusza umarł, i oba przyjaciele do Saratowskiéj gubernii pojechali. Nowy dziedzic, już wówczas żonaty, rozpatrzywszy się, jak złą była administracya jego majątku, ufając bez granic panu Pawłowi, uprosił go, że porzuci służbę i zajmie się jego ogromnych dóbr zarządem. Przyrzekł mu przy tém, że wyrobi to za pośrednictwem teścia, że mu służba i awanse liczyć się będą. Pan Paweł dał się skłonić, wrócił jeszcze do pułku; potém wziąwszy urlop nieograniczony, umocniony najzupeł-

niejszą plenipotencyą i serdecznem przyjaciela zaufaniem, udał się do Saratowskiej gubernii. Tam miał sobie naznaczoną wielką pensyę, i przez lat dziesięć tego nowego zajęcia, podwoiwszy prawie dochody przyjaciela sumiennem gospodarowaniem w tych ziemiach obfitych, przerzniętych Wołgą i niewyczerpane mających resursa, żył jak pan w wygodach i dostatku, co roku znaczne od księcia odbierał podarunki, a mając jeszcze przytem najuczciwsze dochody, które w niczem pryncypałowi jego ujmy nie czyniły, przyszedł do znacznej fortuny. Powiększyła się ona jeszcze przed rokiem. Gdy książe Sergiusz, który już był jenerałem, w powrócie swym z Petersburga dobra swe odwiedził, pan Paweł, już wówczas podpułkownik, oprócz zwykłej intraty, jaką mu na każde zażądanie posyłał, oddał mu jeszcze w biletach bankowych dwakroć sto tysięcy rubli, oszczędzonych przez lat kilka. Wtedy książe, otrzymawszy tak niespodziewany, a tak wielki kapitał, uściskał serdecznie sumiennego rządcę, i darował mu jeden z biletów, sześćdziesiąt tysięcy rubli wynoszący. Takim sposobem pan Paweł stał się jednym z owych zaginionych krewnych,

o których nikt z familii nie dopytuje się, gdy są ubodzy, nikt nie dba, czy żyją czy umarli, a których wszyscy dopiéro wtedy niezmiernie kochać zaczynają, gdy z nabitą szkatułą jawią się niespodziewanie, i z dalekich stron powróciwszy z pełnemi wymionami, dają nadzieję obfitego i żadnéj pracy niekosztującego udoju.

W pół roku po tém ostatniém widzeniu się przyjaciół, książe Sergiusz umarł. Długo opłakiwał pan Paweł zacnego kolegę, z którym przebył tyle chwil złych i dobrych, którego przyjaźni przypisywał swoje podniesienie się z upadku, i tak świetne wykierowanie się na świecie. Ale wkrótce postrzegłszy, że w żonie jego nie obudza takiej saméj ufności, jaką miał w nim zmarły, zatęskniwszy przytem do kraju, i pragnąc zakończyć dni swoje na téj ziemi, którą z pobudek tak lekkomyślnych, a nawet grzesznych opuścił, zdał zarząd dóbr osobie na żądanie jego przez księżnę przysłanéj i do dymissyi się podał. Skoro ją otrzymał z rangą pułkownika i z mundurem, zabrał się z całém swém mieniem, które miał w gotowiźnie i w biletach bankowych, i do kraju powrócił.

Chociaż pan Paweł, wyjeżdżając na zawsze,

przyznał mające się narodzić dziécię, i o uczciwości żony swéj był przekonany, nie wierząc jednak w jéj brzemienność, i mając to za fortel, aby go przy sobie trzymała, miał z tego względu spokojne sumienie i żadnych trosk i tęsknot rodzicielskich nie doznawał. Nie odzywał się więc do nikogo przez cały czas swego pobytu za Kaukazem i nad Wołgą, nie dawał znaku życia, mianowicie z tego powodu, aby żona, przed którą uciekł, trafiwszy na ślad gdzie się znajduje, nie wynalazła go i znowu nie rzuciła mu się na szyję. Chociaż więc nie wiedział o tém, że go mają za umarłego, kontent, że żadna z kraju o niego nie przychodzi kwestya, sądził, że o nim wszyscy zapomnieli. Wszystko więc to, co się tu działo, było mu zupełnie niewiadomém. W Chełmie dopiéro dowiedział się, że bracia jego żyją. Przybył więc do Sawina w téj nadziei, że wioskę swą odbierze, że spłaci to, coby jeszcze na niéj ciężyło, i w tém miejscu, gdzie się urodził, przeprosiwszy żonę, jeśli żyje, i sprowadziwszy ją do siebie, w dostatku i pokoju dalszy żywot prowadzić będzie wśród swoich.

Ale w Sawinie zajechawszy na nocleg do téj

20**

karczmy, o któréj wspomnieliśmy na początku naszego opowiadania, i która równie teraz jak i dawniéj wabiła zawsze do siebie pana Błażeja, wyszedł przed sień jeszcze za dnia, i z zajęciem, które każdy pojmie, przypatrywał się miasteczku, które znał tak dobrze, tym dworkom, które się zasunęły w ziemię, tym lipom cmentarza, pod któremi biegał nieraz i trzaskał z biczyka, i temu kościołowi, gdzie rodzice jego brali ślub, i gdzie on niegdyś klęczał pobożnie i modlił się, póki go świat nie zepsuł. To zajęcie podróżnego, który zdawał się z dalekich stron przybywać, postrzegł propinator i organista, dobrzy przyjaciele, którzy tamże na ławeczce siedzieli. Zbliżyli się tedy do pana Pawła, który chcąc bliższych o krewnych swych zasięgnąć wiadomości, wdał się z nimi w rozmowę, nie wydając się kto jest i dla czego się rozpytuje. Wtedy to dowiedział się najprzód o sobie, że już dawno nie żyje; potém że wioska jego zaraz po jego śmierci przez subhastacyą sprzedana, że ją nabył niby jakiś podstawiony przez pana Piotra Jelewskiego adwokat, od którego ten ją odkupił, i dziś posiada; że pan Piotr w długach, choć udaje pana, i czyha

tylko na spadek po panu Marcinie, który skąpy tak, że się zagładza, choć jak mówią ma krocie; że obu tych panów nie bardzo ludzie szanują, a jacy oni są, to pokazuje się ztąd, że pan Sebastyan umierając, nie rodzonych wujów, ale obcego człowieka naznaczył opiekunem swego mająteczku i swoich dzieci, o które ci panowie nie dbają wcale.

Słysząc to wszystko pan Paweł jakoś zasępił się, i wszystkie te stosunki rodzinne, których tak pragnął dojeżdżając, które sobie wyobrażał w tak ujmujących kolorach, wcale mu się inaczéj wydały. Chcąc zaś gruntowniejszéj w tém wszystkiém zasięgnąć wiadomości, i dowiedziawszy się, że proboszczem jest ten sam ksiądz Maciéj Zielenkowski, z którym się przed wyjazdem swym poznał, udał się zaraz do zacnego staruszka, i zastawszy go pod lipami, nazwał się bez ceremonii i dawnéj się znajomości przypomniał.

Ksiądz Maciéj struchlał na razie, widząc przed sobą gościa z tamtego świata i własnym oczom wierzyć nie chciał; ale gdy się przekonał, że to ten sam, za którego duszę solenne odprawił nabożeństwo, a który tymczasem zdrów i żywy, ucieszył się tém bardziéj, że był w wielkim kło-

pocie, jak rozpocząć działanie z takimi ludźmi, jak panowie Jelewscy, o tę pozostałość z majątku pana Pawła, którą wyjeżdżając, mającemu się narodzić dziecku swemu przekazał. Właśnie bowiem przed dwóma dniami ksiądz Maciéj odebrał od Ignasia list, przy którym były metryki Paulinki i Julki, akt ich ojca, przesłany żonie przed wyjazdem, i list pana Pawła do niéj. W liście swym Ignaś prosił zacnego opiekuna, aby wyrozumiał jego wujów, czyby dobrowolnie i zgodnie sprawy téj załatwić nie można, aby mu poradził, czy lepiéj dać pokój i wyrzec się tego, co trudno będzie wydobyć, czy rozpocząć z nimi proces w interesie córek pana Pawła, dziś już pełnoletnich, i które właśnie jako bliźnięta, są owém dzieckiem, które pan Paweł przyznał, i któremu pozostałość z majątku swego, po dojściu do pełnoletności, przekazał.

Łatwo sobie wyobrazić, jakich uczuć doznał pan Paweł, gdy się dowiedział, że jest nie tylko ojcem dwóch ślicznych córek, ale że jedna z nich już go obdarzyła wnukiem; że żona jego nie żyje; że ona i dzieci te, z jego winy żyły w niedostatku i z pracy rąk; że bracia, którym zaufał,

a szczególniéj pan Piotr, postąpili z nim i z nią jak szachraje i oszusty; że jedyną nadzieją dzieci jego jest miłość dwóch młodych ludzi, którzy także w pocie czoła na chleb powszedni zarabiają. Ksiądz Maciéj, widząc jego żal i radość, wdzięczność dla Ignasia i oburzenie przeciw braciom, pokazał mu jeszcze dawniejsze listy swego faworyta, i objaśnił go, jak w tém wiélkiém nieszczęściu, kiedy matka ich straciła ostatek fortuny i nareszcie umarła, on tylko był opiekunem tych sierot, i wszystko co miał im oddawszy, sam został rzemieślnikiem, aby one tylko miały więcéj, i aby mógł tém pewniéj przyszłość ich zabezpieczyć.

Pan Paweł całą noc oka nie zmrużył, tak dalece te wszystkie nowiny przewróciły jego myśli i serce. Ale ponieważ strata majątku była dla człowieka tak bogatego rzeczą drobną, a radość że ma piękne i cnotliwe córki, że zbierał nie dla dalekich krewnych, ale dla własnych dzieci, wśród których żyć będzie i których życie osłodzi, była niezmierną; wpadł więc w najlepszy humor, i choć serce jego rwało się do Warszawy, postanowił jednak wprzód odwiedzić swych braci i przypa-

trzéć się, jakie też zrobią miny, gdy go nagle przed sobą obaczą. A że był z natury wesoły i trochę figlarz, zaraz więc nazajutrz ubrał się w wytarty kamlotowy surdut, z czarnym kołnierzem i czerwoną wypustką, odział się starym płaszczem wojskowym, najął sobie u mieszczanina w Sawinie bryczeczkę i parę koników, i jako odstawny praporszczyk, bez pensyi i kawałka chleba, zajechał przed dwór pana Piotra.

Nie będziemy opisywać sceny poznania, podziwienia, krzywienia się pana Piotra i jego rodziny, rozmaitych wymówek i przymówek, jakie sobie nawzajem robiono. Dosyć będzie powiedzieć, że pan Piotr nagadał się nie mało, ile z własnego stracił na téj administracyi, ile włożył na ulepszenia budynków i poprawę gospodarstwa, ile go to jeszcze kosztowało gotowizny, nim przyszło do jakiego takiego ocenienia téj wioszczyzny, aby kredytorowie, których płochość jego namnożyła, nie pospadali całkowicie i przynajmniéj choć trzecią część swych kapitałów, nie mówiąc już o procentach, poodbierali. Pan Paweł słuchał tego wszystkiego z pokorną miną, stojąc, bo go nawet nie poproszono żeby usiadł, i żądał, gdy już rze-

czy zmienić się nie mogą, żeby mu choć dali przytułek u siebie i kawałek chleba; że przestanie na jakiéj takiéj stancyjce, choćby na folwarku, chodzić będzie w sukniach, które pan Piotr już znosił; a jeżeli już nie będzie ich łaska, aby go przypuścili do swego stołu, to żeby mu nieżałowali łyżki strawy, choć w tym kąciku jaki mu naznaczą, bo on nie ma z czego żyć, nie wié gdzie się podziać, i ostatnie kopiejki, jakie miał, wydał na drogę.

W tedy pan Piotr, chodząc po pokoju wielkiemi krokami, zaczął go moralizować, i przypominać, do czego to doprowadza hultajstwo i brak sumienia, z jakim strwonił majątek i żonę porzucił. Pani Piotrowa zaczęła się rozwodzić z przycinkami, że ich dom nie jest przytułkiem dla tych, co nie umieli się szanować, że teraz za ciężkie są czasy na rezydentów, że oni ciasno mieszkają, i nie mogą brać na siebie takiego ciężaru. Panna Ludgiera Jelewska, blondynka w lokach, trochę piegowata, rozwalona w fotelu, z francuzką książką w ręku, dodała, że oni przywykli do dobréj kompanii, żeby to ich wstydziło w oczach ludzi wyższego towarzystwa, którzy u nich by-

wają, a pan Rupert, syn najstarszy pana Piotra, który miał napiętą już szóstą partyą bogatą i z urodzeniem, nie żenując się wcale, jak to przyzwoita dla młodego obywatela, mającego tak świetne widoki, po prostu powiedział obdartemu stryjaszkowi, że jak sobie kto ściele, tak śpi, że oni nie mogą psuć sobie losu bytnością u nich krewnego żebraka, któregoby się wstydzili. Pani Piotrowa potwierdziła odezwanie się *Ludzi* i *Rupcia*, jak dzieci swe przez spieszczenie ich imion nazywała, a pan Piotr, nie dawszy bratu, którego okpił, ani szklanki wody w swym domu, pożegnał go z pańska i przytułku mu u siebie odmówił.

Poszedł więc pan Paweł, i śmiejąc się w duchu, siadł na swoją bryczuszkę i pojechał do pana Marcina. Zastał on go na dziedzińcu w starym i podartym szlafroku, w pomiętej czapeczce na głowie, zbierającego trzaski i patyki, które gromadził w kupkę, aby je zanieść do kuchni i zgotować przy nich kartofle, które miał mieć na obiad. Był to człowiek stary, chudy i z wygłodzoną twarzą, wysoki i przygarbiony, patrzący podejrzliwie, jak na złodzieja, na każdego, co się do niego zbliżył. Pan Marcin przeląkł się zmar-

twychwstałego brata swego, jak upiora, zaczął się wymawiać, że się do téj administracyi nie wtrącał, że to pan Piotr wszystko robił, że on mu wszystkich praw swych i zobowiązań ustąpił, i że od wszystkiego umywa ręce. A gdy znowu pan Paweł prosił go, aby mu przynajmniéj dał u siebie przytułek i jakie takie wyżywienie, pan Marcin zatrząsł się na tę propozycyą, utrzymując, że on sam tak ciasno mieszka i tak biednie żyje, żeby z nim żaden żebrak nie chciał razem mieszkać, i jeść to, co on jada; a tuląc do siebie wiązkę łomaczków, które zebrał z dziedzińca i obłamując własny swój płot, dodał drżąc, usuwając się ku domowi i mówiąc prędko, jakby w gorączce:

— Mówią, że ja mam wielkie pieniądze i duszę je; to nie prawda, nie mam wiele. Co to ja jaki żyd, czy co, żebym miał wiele? Wiele, to jest tyle, ile jest gwiazd na niebie, a ja i setnéj części tego nie mam. Trocha, co jest, to ledwie wystarcza. Albo to ja podatków nie opłacam, ludzi nie opłacam, albo sam nie potrzebuję? Ja potrzebuję także żyć, i pan Bóg nie na to mnie stworzył, abym z głodu umarł. Pan Piotr chciałby, żebym jemu da-

wał na fumy pańskie, żeby jego córeczka miała się w co stroić, a synek żeby miał na karty i dziéwki, i na latanie za bogatemi pannami. Zjedzą diabła, czy im co dam; nic nie dam, nic a nic, ani jemu, ani nikomu, bo ja sam potrzebuję. Pan Bóg by mię skarał, żebym tak rozrzucał jego dary. I dla tego, że się oglądam na jutrzejszy dzień, żebym nie poszedł z torbami, to mię nazywają skąpcem i sknerą, dusigroszem i diabli wiedzą czém. Mówią, że śpię na baranich skórkach litera A, że dukaty i ruble czyszczę, myję i chowam i pielęgnuję jak rodzone dzieci. Durnie! durnie! a choćby i tak było, czy to mi nie wolno kochać i pielęgnować tego, co mi się podoba, i czegom nie ukradł, ani pożyczył. Mogą inni lubić pałace, karety i kocze, anglizowane konie, obrazy i posągi, ogrody i metressy, i nikt im nie mówi ani słowa, i żaden łajdak z końca świata nie przyjdzie do nich i nie powié im: pomieść mię w swoim pałacu, daj mi swoje konie, podziel się ze mną swoją kochanką. A na mnie wygadują, plują na mnie, że ja lubię to, com zarobił krwawą pracą, co mam dla siebie, i każdy lizie do mnie, a daj, a pożycz, a podziel się ze

mną. Jutro rano, jak rak świśnie, figa wszystkim żebrakom i utracyuszom. Otóż mam, mam! ale nie dam; otóż śpię na baranach ale na swoich, otóż myję i chowam dukaty, bo dla mnie dukat piękniejszy, niż czarne oczy najładniejszéj kobiéty. Upadam do nóg!

I wypowiedziawszy to z żywemi i odpowiedniemi giestami, wszedł do sieni i drzwi za sobą zatrzasnął i zaryglował. Pan Paweł z politowaniem słuchał tych słów człowieka uderzonego pewnym rodzajem monomanii, i który dla dogodzenia swemu amatorstwu skazał się na takie męczarnie. Więcéj daleko uczuwszy wstrętu i pogardy dla rozrzutnika, któremu próżność i małpiarstwo odebrało sumienie, niż dla skąpca, który najwięcéj sobie szkodził, z pewnym planem wrócił z wyprawy swéj do Sawina. Tam zaraz nazajutrz kazał odprawić żałobne nabożeństwo za umarłych, którzy mu byli drodzy, to jest za swych rodziców, za rodziców Ignasia, którego serdecznie pokochał, i za duszę żony, którą gorącą modlitwą chciał przebłagać. Dla kościoła zostawił fundusz na coroczny taki sam obchód, hojnie obdarzył wszystkich ubogich, których na nabożeństwo to zwoła-

no; w oberży za te parę dni zapłacił suto, i to pół-imperyałami; w obecności oberżysty i P. Błażeja, którego także za jego trud sowicie wynagrodził, umyślnie mówił o swém bogactwie i niecenieniu pieniędzy; a gdy zdarzyło się jeszcze, że któś, mający w Sawinie rozstawne konie, cztérma końmi pocztowemi z Chełma przyjechał, P. Paweł wziął te same konie, zapłacił pocztylionowi ile chciał, dodawszy mu jeszcze rubla na piwo, i ozdobiwszy się z ostentacyą wszystkiemi swemi orderami, pożegnał się czule z proboszczem, i wśród zbiegu ludzi, przy odgłosie trąbki, wśród kłaniania się burmistrza i obecnych, wsiadł do otwartego kocza, i pojechał napowrót do Chełma. Ztamtąd już bez takiego hałasu, skromniéj, ale dniem i nocą pospieszył do Warszawy.

Celu swojego P. Paweł dopiął. Rumor ogromny rozszedł się po okolicy o jego zmartwychwstaniu, o jego przybyciu do kraju, o jego wielkiém znaczeniu i niezmiernych bogactwach, jakie z sobą przywiózł. Burmistrz, oberżysta i P. Błażéj duby smalone prawili każdemu, kto chciał słuchać, o jego randze, co najmniéj jenerała lejtnanta, o jego orderach, których i przerachować nie można,

o jego półimperyałach, które rozrzucał jak groszaki. Wieść ta doszła prędko do P. Piotra i do P. Marcina, a jakie tam zrobiła wrażenie, to łatwo sobie wyobrazić. P. Marcin mniéj się nią zalterował, bo rzeczywiście w krzywdzie brata mniejszy miał udział. To go tylko bolało, że nie szanuje tego co ma, że rozrzuca tak płocho i to jeszcze same półimperyały. »Głupi! głupi!” wołał on chodząc po swym obdartym i brudnym pokoju. »Aj! jaki głupi! żebym to ja miał tyle.” P. Piotr przestraszył się ogromnie i zmieszał tak fatalnym wypadkiem. Niedowierzając wieści, poleciał co prędzéj do Sawina. A gdy się przekonał, że tak jest istotnie, rozważając, że może mieć do czynienia z tak potężnym człowiekiem, i przypomniawszy, jak go przyjął i jak z propozycyi jego nie umiał korzystać, rwał sobie włosy na głowie i wołał: »O ja osioł! osioł dardański!” Gdy wrócił do domu i wszystkie szczegóły opowiedział, wtedy znowu żona zmyła mu głowę, przypisując naturalnie wszystko złe jemu, jego nieprzenikliwości, jego brakowi przywiązania do brata; panna Ludgiera zakrzywiła noska i przycięła ojcu, że bodaj, czy jéj nie zepsuł partyę, bo P. Paweł wcale jeszcze

21**

nie stary i czerstwo wygląda, a P. Rupert ruszywszy ramionami, dodał, ze gdyby nie ojciec, byłby go wcale inaczéj przyjął i miałby teraz o czém los swój ustalić. Wśród takich kłopotów zewnętrznych i domowych, P. Piotr poszedł do głowy po rozum, siadł i napisał do P. Pawła list następujący: »Najdroższy braciszku! serdeczny mój i ukochany P. Pawle! Wielki z ciebie figlarz, to prawda; ale przyznaj, że trafiła kosa na kamień. Przyczaiłeś się i chciałeś mnie podejść; stara to sztuka kochanku! ja wiedziałem już o wszystkiém doskonale, i jak ty udawałeś biedaka, tak ja udawałem zakamieniałość, choć serce w piersiach rwało się do ciebie, i łzy cisnęły się do oczu, które po tylu latach wyglądania nareszcie cię obaczyły. Ale dosyć téj komedyi. Przyjeżdżaj najmilszy bracie na łono krewnych, którzy ci otwierają swój dom, swoje ramiona i swoje serce. Po co masz gdzie indziéj szukać wypoczynku po tylu trudach, kiedy tu znajdziesz wszystko. O! gdybyś wiedział z jakim zapałem moja żona krząta się już, żeby ci przygotować najlepsze pokoje, jak Ludzia dobiéra firanki, żeby słońce nie raziło twoich oczów, i kaprysi w wybraniu mebli, żeby two-

je ciało, skołatane tylu bitwami i marszami, mogło wygodnie odpocząć; jak Rupcio sztyftuje ci kabryolet do spaceru i wierzchowego ujeżdża konia. Poczciwe dzieci! jak one cię wyglądają, a szczególniéj Ludzia, która dziś spłakana przyszła do śniadania, boś jéj się śnił takim, jakim dla wypróbowania serc naszych stanąłeś w naszym domu. Nie dręcz więc długo kochających cię z całéj duszy, wyglądających całém sercem i mających cię przycisnąć do piersi, które nigdy nie przestawały za tobą tęsknić i wzdychać. Do widzenia więc, najmilszy figlarzu! bracie nasz najukochańszy." Z tym listem P. Piotr pobiegł do P. Marcina, zakomunikował mu go, a dodając, że w wspólnym ich interesie potrzeba jeszcze, aby pojechał do Warszawy, i osobiście rozbroił brata, gdyby ten list nie zrobił skutku, prosił go o pożyczenie pieniędzy. P. Marcin naturalnie pieniędzy nie dał, P. Piotrowi dał poznać, żeby sobie robił co chce, że jego to nie obchodzi, a gdy P. Piotr odjechał z kwitkiem, napisał do P. Pawła list następujący: »Panie Pawle! nie przepraszam cię, żem cię tak przyjął, bo ja wszystkich tak przyjmuję, kiedy kto chce mi co wydrzéć. Już to

tak P. Bóg dał, że jak sam nikogo o nic nie proszę, tak nienawidzę wszelkiéj żebraniny. Każdy człowiek powinien mieć i chować na jutro, które zakryte. Na to są ręce do pracy, i zamki, żeby jéj owoc ocalał. Cieszę się więc, że masz, i kochałbym cię, gdybyś nie rozrzucał tego, co ci P. Bóg dał zebrać. A tak oskoczą cię zewsząd żebraki i filuty. Jakoż zapewne razem z tém pismem, odbierzesz list od P. Piotra, który mi go komunikował. Nie wierz mu, P. Pawle! bo to łgarz i chciałby u ciebie wydrwić twoje półimperyały, jak ciągle dybie na moje dukaty. Ale zje diabła! nic nie dostanie odemnie; zamknijże i ty P. Pawle swoją szkatułkę, żeby się do niéj nic dostał, ani on, ani jego córeczka, ani jego synek. Bywaj zdrów P. Pawle i spraw sobie dobry zamek." Oba te listy, za pośrednictwem ks. Macieja, bo panowie Jelewscy nie znali adresu P. Pawła, poszły do Warszawy.

Gdy się to działo w okolicy Sawina, tymczasem P. Paweł wśród dzieci swych używając tych wszystkich rozkoszy, jakie mu szczęśliwe jego położenie, ich piękność, ich przymioty i miłość dać mogły, nie myślał wcale o braciach, co go skrzyw-

dzili i tak się z nim nieludzko obeszli. Uśmiał się więc serdecznie, odebrawszy w parę tygodni po przybyciu swém do Warszawy ich listy, które mu jednego i drugiego lepiéj jeszcze poznać dały. P. Piotrowi odpisał tylko tyle: »Przepraszam cię P. Pietrze, że nie mogę kupić tych lisów, które mi przysłałeś, bo fatalnie zafarbowane. Twój uniżony sługa.” Dla amatora zaś dukatów, który je wolał niż czarne oczy, choćby nawet takie, jak oczy Paulinki, zebrał kilkanaście dawnych imperyałów i półimperyałów, jakie tylko mógł znaleźć w Warszawie, i przesyłając mu je w podarunku, napisał: »Kochany P. Marcinie! nie gniewam się wcale i pojąłem cię dobrze. Dziękując zaś za radę, jaką mi dajesz, posyłam ci mały podarunek, który racz przyjąć i do kollekcyi swojéj przyłączyć.”

Tak ułatwiwszy się z braćmi, chciał zaraz córki swe otoczyć zamożnością, insze nająć im mieszkanie, zabronić zarobku, i dać im skosztować tych wszystkich wygód, których dotąd nie znały, a których posiadanie sobie wyrzucał. Ale widząc, że na samę myśl porzucenia téj siedziby, gdzie się wychowały, gdzie umarła ich matka, gdzie poko-

chały młodzieńców zacnych i miłych, gdzie im teraz było tak dobrze, oglądały się ze łzą w oku i szczérym żalem na skromne swe kąciki, zostawił je jeszcze do czasu, jak były, nie żądał żadnéj zmiany w trybie ich życia, owszem, ceniąc tém wyżéj to ich usposobienie, ten brak próżności, tę chęć do pracy, jakiéj nie porzucały, w dwójnasób je pokochał. Wszakże dogadzając sercu swemu, robił im coraz nowe siurpryzy, dostarczał coraz nowych rozrywek, woził je na spacery, brał dla nich loże, pieścił je, karesował, rzadko opuszczał, słowem, nie było oznaki miłości, którejby im nie okazywał. Dla Ignasia i Kańskiego był z równém wylaniem, chociaż ani jednego, ani drugiego z ich drogi zbijać nie myślał, owszem, zachęcał obu, aby nie oglądając się na to, co od niego, jako jego zięciowie mieć będą, starali się stanąć na nogach o własnych siłach, i odpowiednio godności mężczyzn mieć z siebie tyle, aby się bez posagu żon swych obejść mogli. O malcu nie ma już co i mówić. Tego niemal zepsuł P. Paweł, tak go pieścił, i chłopiec nie schodził prawie z kolan dziadunia. — Eugeniusz podobał mu się bardzo. Pomimo bowiem tego moralnego nachy-

lenia się, o którém wiedział, dostrzegł to zaraz doświadczony człowiek, że to nie była wina jego serca, ale wina tych niewłaściwych biédakowi nałogów, jakie przez wychowanie nabył. Głowę zaś jego, obejście się i cały układ ujmujący i miły cenił i lubił. Wszakże tając w sobie ten pociąg, jaki do niego czuł, obchodził się z nim prawie obojętnie, szczególniéj przez wzgląd na ten smutek, jaki upadek brata dawał Ignasiowi. Następujące zdarzenie dało takiemu ich życiu zupełnie inny obrót.

VII.

Pan Olkuski, jako przyszły magnat, mający w mieście wyzłocone salony, piękne ekwipaże i liberyę w galonach, zapragnął jeszcze mieć willę pod Warszawą, w której mógłby i sam odetchnąć i przyjmować ludzi bogatych, nie tylko takiego jak on pochodzenia, ale ściągnąć do siebie i dawniejszych panów, co było najgorętszém życzeniem tego uczciwego, ale próżnego człowieka. Kupił więc sobie za Wisłą, o półtory mili od miasta, ładną majętność, z pięknym ale opuszczonym domem, po jednéj starożytnéj lecz podupadłéj rodzinie, która rada była zbyć dobra i pałac, nie wielki czyniące dochód, a wymagające wielkich kosztów utrzymania. Dom ten wyrestaurował on, ozdobił, umeblował,

na swoje imieniny sprosił tam dużo gości, których przyjmował sutą ucztą, muzyką, illuminacyą i różnemi siurpryzami. Chociaż kawaler, miał u siebie i damy. Wprawdzie żadna z pań znakomitego rodu nie przybyła, bo te jeszcze się wówczas takich stosunków żenowały; ale za to było dosyć bogatych, ładnych i edukowanych wychrzcianek, dosyć żydówek, które wdziękiem kosztownéj toalety i elegancyą powozów i wielkie panie zakasować pragnęły. Wszystko więc było wspaniale, i wielka była radość w Izraelu, gdy się wszyscy ujrzeli pod tym dachem starożytnym, pod lipami, które ocieniały hetmanów i wojewodów, gdy rzucili okiem na siebie i przekonali się, że wyglądają tak pięknie i po pańsku.

Pomiędzy wielu mężczyznami, których tam było dosyć chrzczonych i niechrzczonych, starych i młodych, znajdował się i Eugeniusz. P. Olkuski znał go i nie zapomniał o nim, wiedząc, że jest faworytem dam, że umie je zająć rozmową, że te córki Syonu, mające jakiś pociąg do krwi szlacheckiéj, wabiły go do siebie uśmiechem, przypominającym uśmiech Racheli, i ognistém okiem, nie brzydszém pewnie od tych ócz piwnych i głębokich, które

niegdyś nad brzegami Jordanu płakały. Ze wszystkich młodych osób,— które się chętnie garnęły do bohatéra naszego, i jak niegdyś wielkie panie witały go z daleka, skoro się pokazał, i dawały mu znaki wachlarzem lub paluszkiem, żeby się przybliżył, usiadł przy nich i mówił im o tych wszystkich rzeczach, które widział — najwięcéj względów okazywała mu panna Leontyna Bergstand, córka bardzo reputowanego doktora, przed dziesięciu dopiéro laty wraz z ojcem wychrzczona i domem ojcowskim zawiadująca. Celowała ona przed wszystkiemi pannami i młodemi mężatkami urodą, rozumem, a nawet posagiem, bo była jedynaczka, a doktor Bergstand, mający ciągle wielką praktykę, jako rzeczywiście dobry lekarz i żyd, był już przeszło milionowym panem. P. Leontyna była trochę emancypantka, wybrédna, wypieszczona przez ojca, miała już świetny salon, swój własny ekwipaż, nie spiesząc się więc za mąż, doszła do dwudziestego drugiego roku życia. Miała więc prawie wiek P. Jadwigi, jéj wzrost, równie czarne włosy, a choć różnych rysów twarzy, z bladości jednak i ułożenia przypominała ją Eugeniuszowi. Że przytém była rze-

czywiście kobiéta rozumna i oczytana, często więc Eugeniusz bywał w jéj salonie, i w każdéj kompanii, gdzie się znaleźli razem, lubił z nią rozmawiać. Niekiedy nawet z daleka przypatrywał się jéj ruchom i kibici, co mu skłodkie robiło złudzenie i przypominało kochankę, za którą zawsze serce jego płakało. P. Leontyna naturalnie musiała postrzedz to, że ją przed innemi odróżnia, a nie znając jego powodów, przypisała sobie i swoim powabom to zajęcie, które obudzała dla tego tylko, że była niby dalekiém odbiciem innéj. Coraz więc widoczniéj garnęła się do niego, i poglądała czasem na pięknego i interesującego młodzieńca takiém okiem, że się Izrael zatrwożył, aby łup tak bogaty w prawdziwie chrześcijańskie ręce nie przeszedł. Ale szczególniéj przeląkł się P. Zacharyasz Silber, młody jeden spekulant, który już był na trakcie do miliona, któremu panna oddawna była tak dobrze jak przyrzeczona, i który w widokach pozyskania jéj ręki, a bardziéj jeszcze tego miliona gotówki, jaki ojciec dać obiecał, przed siedmiu laty także się ochrzcił. P. Leontyna nie bardzo się do niego rwała, ale znosiła go i nie mówiła *nie*, gdy ją za niego wydawano. Od-

powiadała tylko: będzie czas i na to, on mi nie ucieknie. Ale od téj chwili, jak Eugeniusza bliżéj poznała, widocznie zaczęła od P. Zacharyasza stronić i traktować go coraz obojętniéj.

To jéj zajęcie się bohaterem naszym, nigdy bardziéj nie ukłuło w serce biédnego Silbera, tak gorąco pragnącego pozłocić się milionem ładnéj kobiéty, która mu się i z piękności swéj podobała, jak na téj uczcie, na którą nie wiemy jakiém okiem patrzały duchy tych, co tam niegdyś hucznie biesiadując, z pozłocistych pucharów wychylali węgrzyna i o sprawach Rzeczypospolitéj rozmawiali.

Po rozmaitych przedwstępnych traktamentach, nim miano zastawić sutą wieczerzę i zapalić illuminacyę, po różnych aryach i duetach, w których się panie i kantorowi panicze popisywali, damy siedziały na estradzie usłanéj kwiatami i rzadkiemi ocienionéj krzewy, i bawiąc się każda swym bukietem, który wysiadając z powozu od grzecznego gospodarza dostała, rozmawiały z sobą lub z mężczyznami, którzy się koło nich kręcili. Na boku, pod kwitnącym oleandrem siedziała z gracyą P. Leontyna, a przy niéj Eugeniusz. Od początku zabawy, skoro się zjechali, nie odstępo-

wał on jéj wcale. Rozmowa ich widać stawała się coraz bardziéj interesującą, bo P. Zacharyasz, którego serce burzyło się od zazdrości, kilka razy chciał ją przerwać, ale P. Leontyna nie patrząc na niego wcale, na interpelacye jego nawet odpowiedzieć nie raczyła.

Wśród jednéj takiéj konfuzyi wzgardzonego pretendenta, przystąpił do rozmawiającéj pary Geldson, z dwuzłotowym sygarem w gębie i rzekł:

— Ten Sztaś to on już prawdziwy szlachcic. Chodźcie państwo zobaczyć jaką strzelnicę urządził. Już tam niektóre strzelali do różnych przedmiotów, ale oni chybiają. Chodźno ty Eugeniusz sprobuj. Słyszałem, że ty umiesz doskonale strzelać. A może i P. Leontyna sprobuje z wiatrówke; to dla taka lwica jest wcale przystojna zabawa.

P. Leontyna uśmiéchnęła się i spójrzawszy na Eugeniusza, zapytała go z niezwykłą jakąś intonacyą głosu:

— Czy doprawdy pan tak dobrze strzelasz?

— A cóżby to było dziwnego? — odpowiedział Eugeniusz, rumieniąc się od przykrego wspomnienia, jakie mu dała ta myśl, że w jéj zapytaniu i głosie było jakby zadziwienie, że umiejąc strze-

lać, do pojedynku nie stanął. Powstał więc i okazał gotowość w złożeniu dowodu, że inna była przyczyna, dla której honoru swego nie bronił.

— To pójdźmyż— rzekła wówczas P. Leontyna, —wzięła ramie Geldsona i poszli ku strzelnicy. Eugeniusz, P. Zacharyasz i inni mężczyzni udali się także za niemi.

Strzelnica była elegancka, urządzona na wzór niemieckich, jakie przy wodach widzieć można. Były tam pistolety i wiatrówki, a u celu do którego strzelano, była tarcza z kilku kołami współśrodkowemi i z centrem ruchomém i tak urządzoném, że gdy kto w nie trafił, wyskakiwał na wierzch tarczy jakiś figiel, to pajacz, to małpeczka, to druciacz, według tego, jak tam je z tyłu przyrządził chłopak w liberyi, który przy celu usługiwał i zbite przedmioty nastawiał. Oprócz tarczy, był także pręt z poprzecznemi ramionami, na których stały na trzpieniach maleńkie niedźwiadki, zające, ptaszki, panny i tym podobne figurki, można było zbić kulką z wiatrówki lub z pistoletu.

Było tam kilkunastu młodych elegantów z wąsami i z pretensyą do téj szlacheckiéj zabawy,

którzy gorliwie strzelali; żaden wszakże nie mógł trafić, bo mu zawsze ręka drgnęła, a ta myśl, żeby Pan Bóg nie dopuścił jakiego nieszczęścia któreby nie pozwoliło dopełnić dalszą spekulacyą owéj cyfry, co się już zaokrąglała, strzały ich psuła.

— Puśćcie no Eugeniusza, niech on wystrzeli — rzekł Geldson.

— Może pani piérwéj sprobuje — mówił Eugeniusz do P. Leontyny, podając jéj zgrabną wiatrówkę.

— Niechże mi pan pokaże, jak się przyłożyć — odpowiedziała P. Leontyna, poglądając mile na młodego człowieka, tak różnego od tych wszystkich co go otaczali.

Eugeniusz dał jéj w ręce broń, położył przykład na jéj obnażoném i pięknem ramieniu, a P. Zacharyaszowi zdawało się, że umyślnie tak długo ją uczył, aby dłużéj dotykać ręką jéj białego ciała, aby patrzyć jéj w oczy, które zamiast na cel, na niego się zwracały. Wzburzony spekulant sapał tylko i czuł, że zginie, jeśli się ratować nie będzie.

Wreszcie P. Leontyna strzeliła i chybiła, a oddając z wdziękiem strzelbę Eugeniuszowi, rzekła:

— Nie umiem. Widzi pan, żem uczennica niepojętna; będę potrzebowała dłuższéj i częstszéj nauki.

Słowa te jakby nożem przeszyły piersi P. Zacharyasza. Usunął się więc i stanął z boku, żeby się namyślić co zrobić i jak grożące mu nieszczęście odwrócić. Tymczasem Eugeniusz strzelił trzy razy z wiatrówki, i za każdą razą zbił to zajączka, to szczygiełka, to panienkę. Potém wziął pistolet, i ostrzegłszy P. Leontynę, żeby się nie przelękła, strzelił do tarczy, i w mgnieniu oka wyskoczył pajac, który się niby całéj kompanii ukłonił. Zadziwił się Izrael, a P. Leontyna ucieszona tém zwycięztwem, jakie odniósł ten, który serce jéj zwyciężać zaczął, zarumieniła się z radości, i patrząc na niego owém przeciągłém wejrzeniem na które kto inny byłby z takiém uszczęśliwieniem odpowiedział, przybliżyła się i rzekła miękko:

— *Votre bras, Mr. Eugène.*

Eugeniusz podał jéj rękę, ona zwiesiła się na jego ramieniu i poszli oboje aleą. Wtedy P. Zacharyasz wziął się za głowę, westchnął głęboko, i rzucając się na ławeczkę, rzekł:

— Tego, to ja już nie wytrzymam!

— At! jaby ciebie miał niewiedzieć za co, żeby ty tego wytrzymywał— mówił jeden z przyjaciół P. Zacharyasza—jak to można wypuszczać z ręki taki interes?

— Wiesz ty co, Zacharyaszu — rzekł inny, najśmielszy, z junacką postawą—tu trzeba się znaleść jak się należy, po honorowemu. Co taki hołysz ma tobie brać milion z przed nosa.

— Cóż zrobić? wyzwać go?— mówił P. Zacharyasz porywając się z gniewem.

— Naturalnie, że wyzwać — odpowiedział junak— i to zaraz.

— Ty dobrze powiedziałeś Józiu! — zawołał z determinacyą obrażony amant — trzeba jego nauczyć. I ty pójdź zaraz jego wyzwij, i przy niéj jego wyzywaj, i powiedz jemu, że to ja jego wyzywam — ale nagle spójrzawszy na tarczę wystrzeloną, na pajaca, który zdawał się z niego naśmiewać, na ptaszka i zajączka zbitego kulką, ochłonął jakoś w zapale i dodał z refleksyą: — A jak on mnie skaleczy, albo mnie w same serce strzeli, tak jak w te tarcze strzelił, to co z tego będzie?

— I to prawda, na co tobie to! — rzekł ów odważny podniecacz, a wszyscy obecni okazywali minami, że uwaga P. Zacharyasza bardzo słuszna. Wtedy niejaki P. Walery Blau, który z faktora wyszedł na komisanta, z Nowiniarskiéj ulicy przeszedł do kantorów bankierskich i ich salonów, który chociaż występował zawszo bardzo elegancko, lecz porastając w pierze nie stracił faktorskiego zmysłu, zastanowiszy się głębiéj, rzekł:

— Słuchaj no Zacharyaszu! ja tobie co innego naraję, to ty się jego pozbędziesz.

— Naraj, proszę ciebie, mój Walerku! bo mnie serce bardzo boli— odpowiedział Silber, i wziął pod rękę swego konsulenta, odprowadził go na bok, a ten gadając prędko, zapewne już po niemiecku, giestykulując i licząc na palcach, podawał mu widać środek daleko prostszy i łatwiejszy, niż szabla lub kula.

Gdy się skończyła uczta, któréj szczegółów nie opisujemy, bo te do rzeczy nie należą, Eugeniusz, wracając do miasta o spóźnionéj już porze, siedział w kącie karety Geldsona i rozmyślał o swojém położeniu. Dziwny jakiś ogarnął go smutek. Był on prawie sam jeden w téj kompanii, tak

różnéj od tego wszystkiego co dawniéj widział, co lubił, do czego przywykł. Pomimo dostatku i wszelkiego pozoru wychowania, znalazł się on tam zupełnie obcym, i nigdy głębiéj nie uczuł, jak wtedy, że z tych stref gdzie królowała piękność, gdzie go otaczała nieskończoność, spadł do jakiejś ciasnéj izby, pełnéj weksłów i złota, zakratowanéj i z żelaznemi drzwiami, że go okrążyły istoty z maleńkiém sercem a wielką kieszenią, dla których na ziemi nie było innego celu jak zysk, innéj litery jak cyfra, innego Boga jak mamona. A chociaż i pomiędzy nimi widział uczciwych, dobrych, chętnych do przysługi, gładkich w obejściu, ale ogół ten raził go przesadą zbytku, niezmierną próżnością we wszystkiém, pretensyą pełną śmieszności i niewłaściwego nadstawiania się, nadewszystko zaś brakiem zupełnym podniesienia się do jakichściś wyższych celów życia, do myśli odlatujących od ziemi, do których potrzebne są skrzydła, jakich z bankocetli zlepić nie można. Te uwagi dały mu uczucie jakiegoś głębokiego poniżenia, do którego doszedł i którego nigdy nie doznał mocniéj jak dziś, opuszczając tę wystawę, gdzie próżność i zbytek doszły do szczytu, gdzie

i on kłaniał się temu złotemu cielcowi, którego ci bałwochwalcy, wyprawiwszy gdzieś w niewiadome strony swego Mojżesza, na ołtarzu ziemi postawili. Często Eugeniusz, siedząc w kantorze Geldsona, słysząc tylko brzęk srébra, i ten szwargot niemiecko-izraelski, którego jedynym celem, treścią i duszą był pieniądz, wstrząsał się w swojéj szlachetnéj i wyższéj naturze, i przychodził do podobnych nad sobą i nad drogą swą refleksyj. A chociaż miał zajęcie nie trudne, dobrze opłacone i zapewniające mu utrzymanie, chociaż w salonach téj nowéj arystokracyi znajdował żywioł, który do życia jego był potrzebny, sprzykrzył sobie jednak swój zawód i pragnął się z niego wydobyć. Ale mając przed sobą wszelką inną drogę zamkniętą, przypomniawszy, że z nędzy i potrzeby rzucił się nawet do kart, którémi się zawsze brzydził, że może tą drogą przyjdzie do dostatku i postawi się w możności upomnienia się o te prawa, jakie mu nadała miłość, wstrzymywał się, znosił tę pracę lekką, która przez swój cel coraz cięższą mu się stawała, i bratał się z tymi ludźmi, którzy, chociaż wybrylantowani i wyzłoceni, przez oddanie się duszą i ciałem mamonie, mimo przy-

miotów, jakie w nich widział, stali w oczach jego niżéj od każdego biednego rolnika, który wtedy przynajmniéj, gdy idzie za pługiem i słucha skowronka, myśl swą wyrywa z więzów trosk i biédy i podnosi ją do prawdziwego i żywego Boga. Wszystko to, cokolwiek dotąd czuł z przykrością i przemyślał zastanawiając się nad sobą, stanęło mu dziś w jaskrawszych daleko kolorach, zwłaszcza po krótkiéj i charakterystycznéj rozmowie, jaką miał z Geldsonem. Gdy siedli do karéty we dwóch i odjechali z kilkaset kroków, rzekł mu bankier:

— Ten Sztaś to on prawdziwy wielki pan, i pięknego ma gustu we wszystkiém. Szkoda tylko, że on się wychrzcił. Co on na tém zarobił? Ja nie wychrzciłem się, a u mnie wszystko tak jest, jak i u niego, i jakby ja chciał, toby w moje pokoje było jeszcze więcéj złocenia i wszystko wyglądałoby jeszcze więcéj po pańsku, jak u niego, bo choć on bogaty, ale ja dzięki Bogu, bogatszy. Twoja ciotka mnie zawsze kłopocze głowa, żeby ja się wychrzcił. Na co mi to, kiedy ja i tak pan, taki sam albo i lepszy jak te dawne panowie, co są wszyscy moi przyjaciele i szu-

kają moje protekcye. Jaby się chciał z nią ożenić, bo ona mi się bardzo spodobała, i ona miła i dobra kobiéta. Ale jakby ja się wychrzcił, to moje interesa mogliby się zepsuć. Co na to wygrał Bergstand, że on się wychrzcił? On prawda ma już więcéj jak milion, ale on miałby już dwa do te pore, żeby był został żydem. Od tego czasu jego praktyka daleko mniejsze, bo wszyscy Izraelici od niego odeszli.

Gdy Eugeniusz milczał i marszczył się, czego naturalnie Geldson, w otaczającéj ich ciemności nie widział, bankier dodał:

— Słuchaj no Eugeniusz! à propos Bergstanda ja tobie coś powiem. P. Leontyna to śliczna i bardzo rozumna panna. Takie żadne nie ma u hrabiów i u książętów, co ja ich znam, i co są moi przyjaciele. Ty jéj spodobałeś się Eugeniusz, cc! cc! cc! Ona tak na ciebie spogląda, że my to wszyscy widzieli, a dla P. Zacharyasza to wielki strach, że on chodzi jak nie swój. Choć ty nie masz nic, ale jaby ci dopomógł do zrobienia tego interesu. A to interes dobry. Ojciec powiedziałyby, że on ją dla P. Zacharyasza obiecał; ale co to ma do tego? Zacharyasz bogaty, to on sobie

inne bogate znajdzie; a ciebie to postawi na nogi. Choćby ojciec nie bardzo chciał, jak córka zechce, to i on zechce, bo ona jego za nos prowadzi. Ale i on nie będzie się sprzeciwiał, jak ja ciebie do spółke przypuszczę w moje interesa. A ja to zrobię, i dla ciebie, bo ty mnie bardzo spodobałeś się, i dla miłości twoje ciotke, i żeby ona mnie więcéj nie turbowała głowe o te wychrzczenie, czego ja nie chcę. Cóż ty na to mówisz, Eugeniusz?

— Dziękuję panu za dobrą chęć — odpowiedział Eugeniusz zimno — ale to jest rzecz, o któréj teraz myśleć nie mogę, i proszę się tém nie zajmować.

I wtedy zasunąwszy się w głąb powozu, już się więcéj nie odzywał, ale wszystkie te uwagi, które wyżéj skreśliliśmy, stanęły przed jego duszą i postawiły przed nim tę myśl, że przyszedł do tak poniżającego stanu, iż za pośrednictwem upadłéj kobiéty, któréj rzemiosłem gardził, ma utrzymanie, że przyjmował jéj pieniądze i protekcyę, że dalekiém podobieństwem powodowany, płocho i niebacznie okazywał grzeczności pannie, jakby chciał serce jéj skłonić ku sobie, i że tym spo-

sobem mimowolnie obraził majestat téj miłości świętéj i jedynéj, która go tak długo uzacniała, podnosiła i jak talizman jaki od wszelkiéj pokusy i poniżenia broniła. Wszystko to napełniło go takim bolem, że uczuciem upadku swego przejęty, zgryzotą sumienia dręczony, uczuł gorzkie łzy w oczach, i nim dojechał do domu, postanowił bądź co bądź wyrwać się z tego położenia, co go we własnych oczach tak nizko postawiło, i panny Leontyny nie widywać już wcale. Takie myśli, takie wyrzuty prześladowały go jak furye przez całą noc, tak, że się parę razy zrywał z pościeli, chodził po pokoju, doznawał chwil zupełnego zwątpienia i rozpaczy, i dopiéro nad ranem, uczuwszy zupełny upadek sił, położył się i zasnął.

Nazajutrz po dziewiątéj przyszedł do niego Ignaś, i przeląkł się widząc go tak zmienionym. Gdy Eugeniusz na piérwsze zapytanie, co mu jest, zbył go tylko tém, że zfatygowany wczorajszą ucztą za miastem, że się musiał przeziębić i chory jest, Ignaś patrząc ze smutkiem na brata, i widząc to dobrze, że inna być musi przyczyna téj bladości, tego zmęczenia więcéj moralnego niż fizycznego,

które w twarzy jego widział, nie zapytując już daléj, rzekł tylko:

— Chciałem ci powiedzieć Eugeniuszu, że odtąd cały dochód z naszego folwarczku należy do ciebie. Ja, dzięki zamożności pana Pawła i mojéj pracy, będę miał więcéj nawet niż mi potrzeba. Masz tu więc tysiąc czterysta złotych, które ksiądz Maciéj, jako opłatę za dzierżawę na rok następny przysłał.

— Dziękuję ci — rzekł Eugeniusz, odgarnąwszy na bok pieniądze, i zaczął chodzić po pokoju. A rzuciwszy okiem na brata i dostrzegłszy jakiś wyraz bolu, który to zimne obejście się na nim sprawiło, przystąpił do niego, wziął jego rękę i dodał: — Szczęśliwszyś odemnie Ignasiu! twoja droga widna, jasna, gładka. Wkrótce śliczna twoja Julka zaściele ją różami, a zamożność jéj ojca umiecie z niéj to wszystko, coby cię zranić i skaleczyć mogło. Mówię to nie dla tego, abym ci zazdrościł. O! ty zasługujesz na to szczęście, któregoś się dobił pracą, wytrwaniem, użyciem statecznem i rozumnem tych sił, jakiemi cię niebo obdarzyło. Ja to mówię przez wzgląd na siebie. Mój los zdawał się zrazu górniejszym od twego,

moje skrzydła niosły mię wysoko i tam świeciła mi gwiazda, świetna jak brylant, łagodna jak iskra świętojańskiego robaczka. Ona pozwoliła mi do siebie dążyć i szła ku mnie sama po błękicie niebios, aby mi skrócić tę drogę nieskończoną, która nas rozdzielała. I cóż się stało? Oto to, cóś mi przepowiedział. Skrzydła moje zwichnęły się, upadłem i leżę dziś w błocie.

Ignaś uradowany, że go Eugeniusz na tę materyą wprowadzał, ścisnął serdecznie jego rękę i zabierał się do słów pociechy, a razem upomnienia, żeby inaczéj użył tych sił, któremi jego i wielu przewyższa. Ale w téjże chwili otwarły się drzwi i wszedł pan Walery Blau, z poufałością i uśmiechem, który pokazywał, że gospodarz koniecznie powinien być kontent z takiego gościa. Przybliżył się on do Eugeniusza i wyciągając do niego rękę, rzekł:

— Nu, jak się masz Eugeniusz! Jakże się spało po te świetne uczte, które nas pan Sztanisław ufetował. A było wspaniałe, nieprawdaż? Powiédz sam Eugeniusz, czy które z tych wielkich panów, co ty ich znasz, a co oni trochę podupadli, potrafiłby tak przyjmować swoje zacne goście.

W inném zdarzeniu ta zarozumiałość i przechwałki czysto żydowskie rozśmieszyłyby były Eugeniusza. Dziś rozgniewały go, a ta poufałość, z jaką ex-faktor chciał z nim postępować przy bracie, zawstydziła go do tego stopnia, że cofając rękę rzekł:

— Nie jesteśmy i nie możemy być z sobą w takiéj zażyłości, żebyśmy tak do siebie mówili. Ja nikomu nie mówię *ty*, tylko bratu i przyjacielowi. Ani jednym, ani drugim dla pana nie jestem. Chciéj więc pan to uważać za przestrogę, siadaj i mów, co pana do mnie sprowadza.

I podawszy mu krzesło, usiadł, a patrząc seryo na zmieszanego cokolwiek żydka, czekał, co mu powie. Pan Walery usiadł także, pobawił się pięknym łańcuszkiem od zegarka, zdjął rękawiczkę z prawéj ręki, i palcami połyskującemi od kilku pierścieni, poprawiwszy dla efektu kosztowną brylantową szpilkę, która tkwiła w cienkiéj koszuli, rzekł:

— No, kiedy pan Eugeniusz tego sobie życzył, choć nie wiém zkąd się takie hardości wzięło, ja się z moje przyjaźni nikomu nie narzucę. A powiem panu Eugeniuszowi, że ja tu przychodzę

w bardzo ważny i delikatny interes, od pana Zacharyasza Silbera; ale chciałby z panem Eugeniuszem pomówić w sekrecie.

Ignaś powstał i chciał wyjść do drugiego pokoju. Eugeniusz wstrzymał go i rzekł:

— Siedź Ignasiu— a obracając się do pana Walerego, dodał— To mój brat, przed którym żadnych sekretów nie mam, i nie wiem, coby takiego pan Silber miał mieć do mnie, czegoby mój brat wiedzieć nie powinien. Jeżeli pan chcesz przy nim powiedzieć mi jasno i krótko, o co idzie, to słucham; jeżeli nie, to żegnam pana, bo jestem zajęty.

Ten ton jeszcze bardziej zmieszał pana Walerego. Poprawiwszy się więc na krzesełku, rzekł:

— Lepszyby było, żeby to był sekret; ale kiedy pan Eugeniusz tego nie chce, to ja powiem głośno. Co to ma do tego, byle ja swoje zrobił, co mnie mój przyjaciel pan Zacharyasz prosił.

— Więc—rzekł Eugeniusz, patrząc nań surowo.

— Panu Eugeniuszowi tego wiadomo — mówił ex-faktor— że pan Zacharyasz stara się o pannę Leontynę Bergstand; że to dla niego piękne partye i dobry interes, który już był tak dobrze jak

załatwione, bo to byli dawne układy między rodziców, aby ich dzieci pożenili się.

—Cóż mnie do tego!—rzekł Eugeniusz z ironicznym uśmiechem.

—Jakto, co panu Eugeniuszowi do tego?—odpowiedział pan Walery z miną perswadującą—kiedy my to wszyscy widzieli, że pan Eugeniusz chodzi koło ta panna bardzo z blizka, i że ona, choć ona milionowa, tak na pana Eugeniusza patrzy i tak się do niego uśmiéchnie, że wszystkie projekty pana Zacharyasza mogą się wywrócić, i taki dobry dla niego interes może się ze wszystkiém zepsuć.

—Więc pan Silber chce, żebym ja mu faktorował?—rzekł Eugeniusz szyderskim tonem.

—At, na co tu faktorować, kiedy to jest życzenie ojca te panny, które będzie lepsze, jak faktorowanie od kogo bądź—mówił pan Walery.—Pan Zacharyasz chce tylko, żeby nie miał od pana Eugeniusza przeszkody, żeby pan Eugeniusz nie powiedział jéj słodkie słówko, i żeby się jéj nie zabałamuciła głowa; bo ona bardzo uparta, a ojciec je bardzo kocha, i co ona zechce, to on zrobi. Dla tego pan Zacharyasz żąda, żeby pan

Eugeniusz u niéj nie bywał, i żeby w każde kompanije ją unikał, i nie gadał z nią na osobnościach i po cichu, a najbardziéj, żeby nie chodził z nią tak, pod ręka, jak tego dotąd bywało a osobliwie wczoraj.

Eugeniusz postrzegł, że Ignaś słysząc te słowa zaczerwienił się mocno, spójrzał na brata z pewnym rodzajem wyrzutu, i wziąwszy za kapelusz, chciał wyjść z pokoju. Znowu więc Eugeniusz zatrzymał go, a obracając się do pana Walerego z zagniewaną twarzą rzekł:

— Czy pan jesteś sekundantem pana Silbera?

— Jakto sekundantem?— odpowiedział żyd bledනąc i usuwając się z krzesłem.

— A tak, mój panie! — mówił Eugeniusz — bo jużci przychodząc do mnie z propozycyą zmuszenia mnie, abym nie robił tego co robię, nie bywał tam, gdzie mi się podoba bywać, abym nie rozmawiał z tym lub z tą, z którą mi się chce rozmawiać, nie możesz pan przychodzić do mnie inaczéj, jak w charakterze sekundanta, a ten co pana przysłał musi o tém dobrze wiedzieć, że ja czém inném zmusić się nie dam, tylko tém.

I to mówiąc wziął ze stolika pistolet. Żydek

tak się przestraszył, że się porwał z miejsca i odstąpił parę kroków w tył. Eugeniusz, a nawet Ignaś uśmiechnęli się, a pan Walery, przystępując znowu i kiwając ręką, mówił:

— Mój pan Eugeniusz! połóż pan tego, połóż. Na co to takich żartów? Czy to zaraz trzeba się zarznąć, żeby taki interes zrobić. Panu Zacharyaszowi nie przychodziło nawet do głowy wyzywać pana Eugeniusza, broń Boże! albo to on nie widział wczoraj, jak pan Eugeniusz strzelił w sam środek tarcze, że aż pajaco wyskakiwał. Na co jemu to? Między takie ludzie, jak my, to są inne na to środki. Oto tu w te papiery to zamyka się taki środek, że i panu Eugeniuszowi będzie dobrze i panu Zacharyaszowi będzie dobrze a mnie będzie dobrze. Niech no pan Eugeniusz tego obaczy i mnie jutro powie, jak ja przyjdę o te same godzine.

I położywszy na stole paczkę obwiniętą starannie, opieczętowaną i pod adresem Eugeniusza, ukłonił się i prędko wyszedł. Oba bracia stali przez chwilę w milczeniu. Uśmiech Ignasia, który tchórzostwo żyda wywołało, prędko zniknął, twarz jego wyrażała smutek, a oczy patrzały na pakiet leżący na stole. Postrzegł to Eugeniusz i z pe-

wnym rodzajem niecierpliwości rozerwał kopertę. Było tam dwa listy zastawne Lit. B. z kuponami i bilecik następujący: »Zacharyasz Silber żąda od pana Eugeniusza Zabużskiego, aby mu nie przeszkadzał w ożenienie, które jest z wolą ojca panny Leontyny zgodne. Jeżeli pan Eugeniusz unikać będzie te panne i bałamucić jéj głowe przestanie, Zacharyasz Silber obowiązuje się na drugi dzień po swoim szlubie wypłacić panu Eugeniuszowi Zabużskiemu czterdzieści tysięcy złotych polskich w listach zastawnych z kuponami, lub monetą brzęczącą, w kraju kurs mające. To co posyła, niech służy za zadatek. Zacharyasz Silber.«

Eugeniusz przeczytawszy zaśmiał się i podał bilecik Ignasiowi. Ignaś przeczytał, położył go na stole i patrząc surowo w oczy brata, zapytał:

— Cóż ty z tém myślisz zrobić?

— Zdaje mi się, że nie popełnię podłości— odpowiedział Eugeniusz pół żartem, pół seryo— jeżeli ustąpię na żądanie z placu, z którego i tak ustąpić miałem. I byłbym to już dawno zrobił, ale wczoraj dopiéro postrzegłem, że moja grzeczność dla téj panny, najrozumniejszéj i najprzyzwoitszéj z całéj synagogi, w rzeczy saméj za-

wróciła jéj głowę. Nie chcę więc podwójnie być winnym, raz, durząc kobiétę, któréj nie kocham, a drugi raz pozorem nawet przychylności dla innéj obrażając tę, któréj obraz w sercu mém noszę.

— I za ten czyn szlachetny, jeżeli rzeczywiście takie są jego pobudki, weźmiesz czterdzieści tysięcy— zapytał Ignaś zaciskając usta.

— Cóż chcesz!—odpowiedział Eugeniusz żartobliwie.— Wlazłszy między żydów, trzeba być trochę żydem.

— Nie żartuj, Eugeniuszu! bo ja mówię bardzo seryo—rzekł Ignaś rumieniąc się od wstydu.

— Czterdzieści tysięcy!— mówił Eugeniusz takim samym głosem— to piękna summa, to kapitał, który może być początkiem i fundamentem tych czterechkroć, które mi tak potrzebne, aby ich widok złamał dumę, co mnie od panny Jadwigi dzieli.

— A wartżeś ty jéj!—zawołał Ignaś z mocą.— O! nie, nie, czujesz to sam, jeżeli jeszcze choć jedna iskra szlachetna w sercu twém pozostała. Patrzałem z niemym bolem na twoje niedołęztwo, na ten brak wytrwania, przez które byłbyś zwyciężył złą godzinę jaka na ciebie przyszła. Nie

mówiłem ci nic, choć wiedziałem o tém żeś zaczął grać, szukając podłego zysku bez pracy, bom był pewny, że niegodziwość téj kompanii, w którą wszedłeś, prędko cię opamięta. Ale dziś pomyśl-no Eugeniuszu! coby rzekł na to wszystko ten zacny przyjaciel naszego ojca, który cię postawił na téj drodze, co cię zgubiła? jakiemi łzami zapłakałby nasz ojciec, gdyby wstał z grobu, widząc, że syn jego zląkł się ubóstwa, uciekł przed pracą, że za pieniądze nabyte wstydem krwi własnéj rozciąga się na aksamitach i odziewa się w jedwabie, że na domiar hańby i poniżenia, przyjmuje z uśmiechem tysiące od żyda, za to, żeby mu ustąpił kobiétę, do któréj nie powinien się był zbliżać. O Eugeniuszu! niech ci Bóg przebaczy tę boleść, jaką czuję, że ci wszystko wypowiedzieć muszę. Szedłem do ciebie z inną myślą, z inną nadzieją. Ale widzę, że to prawda cóś sam o sobie powiedział; tyś upadł za nadto głęboko, i nikt już nie jest w stanie podnieść cię z tego błota, jeżeli się sam nie podźwigniesz. Bądź-że zdrów, biedny bracie! ale bądź zdrów na zawsze! Przyszła na nas ciężka chwila, w któréj widzieliśmy się po raz ostatni.

To powiedziawszy zacny Ignaś z żalem, który rozrywał jego serce, odwrócił się i szedł ku drzwiom pokoju. Eugeniusz, który przez cały ten czas siedział ponuro i patrzył w ziemię, podniósł głowę, i widząc brata wychodzącego, porwał się z miejsca, postąpił za nim szybko i wziąwszy go za rękę i przyciągnąwszy na powrót, rzekł:

— Czekaj, nie możemy się tak rozstać! Za prędko o mnie zwątpiłeś, za surowo mię sądzisz. Wszystko to, cóś powiedział, mówiłem już sobie nieraz, i widzę to dobrze, że jeżeli sam się niepodźwignę, nikt mię nie podniesie. Sprobuję więc; Bóg mi dopomoże, i duch ojca naszego, pod którego dach chcę się schronić, umocni mię i utrzyma. Weź to Ignasiu, odnieś do tego żyda i powiedz mu, że panny Leontyny nie kochałem nigdy, żem o niéj nie myślał, że jéj już więcéj widzieć nie będę, ale pieniędzy jego nie potrzebuję. Do księdza Macieja napisz, aby zaproponował dzierżawcy ustąpienie z dzierżawy i naznacz mu pięćset złotych ustępnego. Jeszcze jest pora, znajdzie sobie inny kącik dla siebie. Jeżeli się zgodzi, niech doniesie, a pieniądze mu natychmiast odeślę. Mam nadzieję, że ojciec two-

jéj drogiéj Julki dopomoże mi w tym względzie i pożyczy cokolwiek na zagospodarowanie. Nie perswaduj mi, nie zbijaj mię z tego postanowienia tém, że to rzecz nie dla mnie. Wszystko uczciwe jest dla mnie, co przedsięwezmę z mocą i postanowieniem ratowania się. Dotąd nie chciałem w sobie szukać sił i nie znalazłem ich. Jak zechcę, przybędą i staną przy mnie, i zasłonią mię potężnemi skrzydły od tego poniżenia, którém się brzydzę, i które mię uczyniło niegodnym téj, coby się pewnie odwróciła odemnie, gdyby je widziała. Jak mię obaczy pod strzechą ojcowską, za pługiem, którego jego uczciwa ręka dotykała, w takiéj saméj kapocie, która okrywała to zacne i dumne serce, przyjdzie sama, wyciągnie do mnie ręce, nie dziś to jutro, nie za rok, to za lat dziesięć, bom nie próżno postawił ją w myśli méj tak wysoko, bo ona godna téj wiary, jaką w nią mam, i tego miejsca, jakie jéj w duszy méj dałem. Idźże Ignasiu, załatw to wszystko, o co cię proszę, i nic już nie mów! Ja idę do kościoła, potrzebuję wypłakać się przed Bogiem i podziękować mu, że mi ciebie w tak ciężkiéj chwili przysłał.

Oba bracia uściskali się milcząc, i płacząc, ale łzami, które ulgę sercu przynoszą. Ignaś pobiegł do pana Zacharyasza, a Eugeniusz ubrawszy się prędko poszedł do Sgo-Krzyża i tam w ustronnéj i samotnéj kaplicy długo klęczał i modlił się. Ztamtąd wróciwszy usiadł do stolika, i w listach do panny Jadwigi i do księdza Augustyna złożył im swoją serdeczną spowiedź, opisał swój upadek, swoje podniesienie się, i w barwach, które miał na swoje zawołanie, wystawił rozkosz zbliżenia się do nich i nadzieję pokoju w skromnym i cichym zakątku, w zatrudnieniu prostém, ale tak pełném poezyi. Jak Chrystus wypędził przekupniów z kościoła, tak on z duszy swéj wygnał wszystkie myśli, których treścią było złoto. Odżył więc w nim poeta, a z poezyą, wracającą do jego piersi, weszła niepokalana zacność do jego serca, i duch jego uniósł się z dawną siłą na tych skrzydłach, które miał za zwichnięte i złamane.

Ignaś opowiedział kuzynkom i ich ojcu całą swą rozmowę z Eugeniuszem i odmalował tę radość, jaką mu postanowienie brata dało. Pan Paweł kiwał głową i uśmiechał się na to sielan-

kowe przedsięwzięcie, które przyszło do głowy młodemu poecie; dodał wszakże, że mu chętnie dopomoże do zrealizowania téj myśli, w któréj Eugeniusz nie wytrwa, ale z któréj dziś zbijać go nie należy, jako natchnionéj przez chwilę podniesienia się z moralnego upadku, która zawsze jest świętą i pochodzi od Boga. Gdy więc Eugeniusz przed wieczorem przyszedł na Sto-Jańską ulicę, i wszyscy byli zebrani, pan Paweł uściskał go serdecznie, powinszował mu postanowienia, które aprobuje, i oświadczył, że szkatułka jego jest dla niego otwartą. Był to więc wieczór wielkiéj radości dla całéj tej rodziny, któréj szczęście zaćmiewało się tylko tą skrzywioną drogą, jaką szedł Eugeniusz. Szczęście to powiększyło się jeszcze, gdy pan Paweł oznajmił im, że już ma indult w kieszeni, i że wprzód, nim Eugeniusz wyjedzie, a zatém najdaléj za miesiąc, pragnie dzieci swe połączyć. Rozstali się więc wszyscy w tych cudnych nadziejach, jakie daje miłość, z tém uszczęśliwieniem, jakiego doznają serca poczciwe, kiedy najwyższa nagroda, jaką ziemia dać może, blizką jest i czeka ich za wypitą mężnie gorycz życia, za cierpliwe pokonywanie jego

przeciwności pracą i ufnością, za podniesienie się z upadku, który chwilowo poniżył, i ścierać zaczął z czoła święty chrzest, jaki na niém położyła ręka ojca, błogosławiąca dalszéj dziecka swego kolei. W uniesieniu swém i wzajemnych uściskach zapomnieli oni wszyscy o tém prawie ziemi, że moment najwyższego szczęścia, chwila najwyższego powodzenia w czémkolwiek bądź, jest zawsze wigilią wielkiéj niedoli, która twardą i nieubłaganą ręką budzi ze snu tych, co w radości i pokoju z niezmiernemi zasnęli nadziejami.

Jakoż Ignaś, który w stancyjce swéj w słodkich zdrzémał się marzeniach, ranek następny obaczył przez zakratowane okno Cytadeli. Od dawna stawał on do superrewizyi, o czém nikomu nie mówił, żeby nie straszyć kochanki, a zapisany w księgach delegacyi jako zdatny, dziś, gdy przyszła na niego koléj wziętym był do wojska. Już o godzinie piątéj rano wiedział Hebel o tym wypadku, który dotknął boleśnie jego warsztat. Nie tylko mu bowiem Ignasia, jego filar i ozdobę, ale dwóch jeszcze zdatnych czeladników zabrano. Łatwo sobie wyobrazić, co się działo na Sto-Jańskiéj ulicy, gdy poczciwy Adwentowicz,

znający wszystkie stosunki młodego przyjaciela swego, wpadł tam do pokoju blady i drżący, i ze snu rozkoszy wieścią takiéj klęski nieszczęśliwą Julkę obudził. Upadła ona prawie bez życia przy łóżku, z którego się porwała. Gdy ją otrzeźwili, utulili cokolwiek jéj płacz i boleść nadzieją, że może się wynajdzie jaki środek ratunku, Kański ubrał się co prędzéj i pobiegł do pułkownika, a Adwentowicza posłali do Eugeniusza. W pół godziny potém Julka zanosząc się od płaczu, leżała w objęciu ojca, który ją pocieszał, że użyje wszelkich środków na wyzwolenie Ignasia. Nadszedł także i Eugeniusz. Widok, jaki zastał przeraził go. Jego imaginacya wyobraziła mu stan téj kobiéty przychodzącéj tak nagle z najsłodszych ułud miłości, z obrazów pokoju i szczęścia bez granic, do okropnéj samotności, jaka ją otoczy, do rozdziału, który rozedrze jéj kochające serce, do téj ciężkiéj tęsknoty, która wieczną ją osłoni żałobą. I wtedy wspomniawszy czém był dla niego Ignaś, jakiém kochał go przywiązaniem, jak bolał nad jego poniżeniem, jak silném słowem, które mu miłość braterska natchnęła, podniósł go i umocnił, postanowił wrócić brata kochance, i w téj

chwili być dla Ignasia tém, czém on był dla niego wtedy, kiedy upadał. Przystąpił więc do Julki, wziął jéj rękę, i spokojnie i wesoło rzekł:

—Uspokój się droga Julciu! ja ci dziś jeszcze oddam Ignasia.

—Ty braciszku!—odpowiedziała podnosząc na niego prześliczne oczy, które błysnęły życiem, jak kwiat pod rosą—A to jakim sposobem?

—Najprostszym w świecie siostrzyczko!—rzekł Eugeniusz.—Zastąpię go w téj powinności. Jestem wolny od wojska, silny, zdrów i za niego pójdę.

—O! Eugeniuszu!—rzekła Julka ściskając jego rękę i patrząc w oczy ojcu, co on na to powie. Pan Paweł spójrzał na młodego człowieka z przywiązaniem i starał się przeniknąć do głębi jego serca, czy to mówi seryo. A widząc, że twarz jego spokojna, że szlachetne postanowienie jaśnieje na jego czole, ucieszony tą ofiarą, którą zacnemu młodzieńcowi miłość braterska natchnęła, powstał, uściskał Eugeniusza i rzekł ze wzruszeniem:

—Idź drogi chłopcze! idź śmiało i odważnie. Mógłbym może biedzie téj zaradzić inaczéj, ale

przyjmuję twoją ofiarę dla ciebie samego. Tam prędzéj wyzdrowiejesz sercem, niż gdybyś się zakopał w zakącie, na kawałku ziemi, i oddał samotności, nieodpowiedniéj ani twemu wiekowi, ani usposobieniu. W życiu wojskowém są trzy rzeczy, które ci przedewszystkiém potrzebne. Tam jest ruch i praca, która da zdrowie twemu ciału, jest mus i posłuszeństwo, które zahartują twoją wolę, jest ciągła myśl śmierci i niebezpieczeństwa, która podniesie i uzdrowi twoją duszę. Patrz na mnie; ja byłem niżéj od ciebie; byłem łajdakiem i szulerem, zrujnowałem siebie i żonę, rzuciłem kraj z piętnem niedarowanéj lekkomyślności na czole i ze zgryzotą w sercu, która mi życie me przeszłe wyrzucała; a jednak w téj twardéj szkole wyleczyłem się z tych wrzodów, które mię całego splugawiły. Źle ci tam nie będzie, za to ci ręczę. Trochę i ja ci dopomogę, a resztę zrobi twoja akuratność i wychowanie, które tam postrzegą.

—Nie wątpię o tém—odpowiedział Eugeniusz wesoło i z dziwną ochotą, która wszystkich uspokoiła. Na tém więc stanęło; i po serdecznych uściskach i podziękowaniach ze strony Julki i Pau-

linki, pan Paweł z Eugeniuszem i Kańskim poszli, aby zamianę tę uskutecznić. Trudności w téj mierze ze strony władzy nie było żadnéj. Wolny od popisu szedł za popisowego, przyjmował wszystkie jego obowiązki, był zdrów i zdatny. Największa trudność była ze strony Ignasia, który z razu ofiary téj przyjąć nie chciał. Ale perswazye pana Pawła, jak użyteczną to będzie rzeczą dla jego brata, i prośby Eugeniusza, który z życiem i mocą odmalował mu stan swój obecny, przykre położenie, w jakiém by się znalazł w Sawinie, będąc tak blizko kochanki, a wiedząc, że go od niéj nieprzezwyciężone dzielą przegrody, jak zniedołężniałby może do reszty w téj ciszy, w tym zakącie, gdzieby go nic do działalności nie pobudzało, skłoniły wreszcie Ignasia, że ofiarę brata przyjął i drogę jego przeżegnał. Tym więc sposobem Ignaś został, a Eugeniusz poszedł. Pan Paweł wyrobił to w sztabie, że go przęznaczono do pułku kawaleryi w kolonii wojskowéj małorossyjskiéj, gdzie miał znajomego pułkownika, opatrzył go na drogę po ojcowsku, i w imię Boże puścił na ten świat, tak dla Eugeniusza nowy, który dziwnym powabem tych wszystkich

piękności, nie cywilizacyi, nie sztuki, ale trochę dzikiéj, a niezmiernéj w swych obszarach natury poetyczną duszę jego nęcił i pociągał.

We dwa miesiące potém odebrali od Eugeniusza list datowany z Andrejewki, kolonii wojskowéj o pięćdziesiąt kilka wiorst za Charkowem leżącéj. Opisywał on wesoło swoją podróż, malował w ponętnych barwach piękne te krainy, przez które przechodził, i te niezmierzone stepy, które go teraz otaczają; dziękował panu Pawłowi, że za jego pośrednictwem dostał się do pułku, w którym mu zapewne będzie dobrze; że ma wachmistrza polaka, z którym sobie gawędzą o kraju, że pułkownik, człowiek surowy, ale jakoś dziwnie na niego zwraca uwagę; nie folguje mu wprawdzie w służbie, ale kazał mu dać dzielnego konia i oddał go pod osobną naukę ułana który najlepiéj obeznany z manewrami i doskonale włada piką. Z całego tego listu widać było że Eugeniusz opisywał takim tonem miejsce, gdzie się znajduje, ludzi z którymi żyje, służbę którą pełni, nie tylko dla tego, aby ich uspokoić, ale że mu się to wszystko doprawdy podoba. »Czekam waszego listu, dodał na końcu. Wyobraziłem sobie, że

gdy się dowiecie, żem już na miejscu, żem zdrów i wesoły, że mi nie cięży już wstawanie o czwartéj rano, że mię kaszkiet mój nie gniecie, mundur ułański wcale nie ciśnie; że brzęcząc ostrogami i pałaszem, wcale co innego myślę, niżem myślał wtedy, gdym słyszał brzęk srébra i złota w kantorze Geldsona; że świszcząc czyszczę i poję mojego dzielnego gniadosza, a gdy go wyprowadzę przed stajnię, gdy się zepnie i parska, przypominam sobie owe wspinające się konie Dyoskurów na Kwirynalu, ręką Fidyasza wyrobione; że spokójny jak dawniéj, marzę i kocham po dawnemu; wyobraziłem sobie, powiadam, że i wy uspokoicie się o mnie zupełnie, zaraz po odebraniu tego listu Ignaś i Julcia staną przed ołtarzem i rozpoczną to życie miłości, szczęścia i pokoju, na które pracą i wytrwaniem zasłużyli. Donieściež mi, co się stanie, a ten mój list niech Ignaś odeśle do księdza Macieja, niech go prosi, aby go odwiózł sam do księdza Augustyna i jemu pokazał. Tym sposobem i ona się dowie, że żyję, że na krańcach niezmierzonego horyzontu, który mię otacza, widzę ją, że ta nieskończoność, którą mi tu uprzytomnia i ziemia i niebo, jest dla mnie

symbolem téj miłości, która nas wiąże i téj wiary bez granic, jaką mam, że gdy wrócę, zastanę to com zostawił. Wyrazy te dawno zapisane noszę w tym talizmanie, który zamyka święty jéj upominek i który z piersi mych zejdzie wraz z życiem.«

Stało się jak Eugeniusz życzył. List jego z obszerném opisaniem całego zdarzenia poszedł do księdza Macieja, a w tydzień po jego odebraniu Julka była już żoną Ignasia. Na uczcie weselnej, w nowém mieszkaniu małżonków wyprawionéj, i na któréj oni oboje jaśnieli młodością, pięknością i szczęściem, przy Ignasiu siedział stary Drylius, daléj Hebel, Adwentowicz i Kański, a przy Julce kochana Rózia, na którą Niemiec z miłością poglądał, potém rozpłakana od szczęścia ciotka Teresa, która już miała zostać przy Ignasiu, potém Paulinka i jéj ojciec. Rozmaite wnoszono zdrowia, które wszyscy wychylali z sercem i okrzykiem. Za pomyślność nowożeńców wniósł toast stary Drylius, *zu Ehren* nasz zacny kunszt stolarski podniósł kielich Hebel; pan Paweł i wszyscy wypili za zdrowie i powodzenie Eugeniusza, a Ignaś podniósł się i zaproponował kielich za zdrowie

hrabiego Adama, którego radom i współczuciu szczęście swe winien. A gdy nazajutrz w kościele Śgo Jana odprawiła się solenna wotywa na podziękowanie Bogu za wszystkie dary jakie odebrali, towarzysze kunsztu stolarskiego otoczyli ołtarz wystrojeni i ze świecami w ręku, najcelniejsi majstrowie byli obecni, a na kościele powiewała chorągiew Towarzystwa, którą tylko w wielkich wydobywają uroczystościach. Tak dopełniła się karyera Ignasia, który w rok potém został majstrem, otworzył zasobny, wzorowo urządzony i wkrótce reputowany warsztat, do którego najlepsza garnęła się czeladź, w którym było kilku uczniów, którzy pokończyli szkoły powiatowe, a między tymi Frycunio, faworyt Hebla, którego ojciec z ufnością i ze łzą w oku w ręce nowego kolegi swego oddał.

VIII.

A cóż się stało z Eugeniuszem? W ciągu czterech lat następnych, które upłynęły, nim się rozwiązała zagadka jego życia, przebywał on zawsze na tém samém miejscu, służył w tym samym pułku, gdzie się wkrótce na nim poznano. Znalazł on tam łaskawych na siebie zwierzchników i uprzejmych towarzyszów w kilku światlejszych oficerach, którzy go polubili, ocenili jego zdolności, a gdy został podoficerem, przypuścili do swojéj kompanii. Do służby wojskowéj, któréj mus nieubłagany hartował jego wolę, uczył go smakować w czarnym chlebie, pogardzać wykwintnemi wygodami życia, wytrzymywać wytrwale w jednostajnéj pracy i opierać się na własnéj sile, cze-

go mu właśnie brakowało, przywykł Eugeniusz prędko i bez przykrości. Tém łatwiéj mu to przyszło, że wykonywając ściśle swą powinność, niedoznawał żadnych przygryzek od drobnych oficerków, lubiących dokuczać żołnierzom, żadnego grubijaństwa od gburowatych wachmistrzów i instruktorów, gdyż życzliwość starszych, a nawet względy surowego niezmiernie pułkownika, którego wszyscy bali się jak ognia, zasłaniały go od wszelkich przyczepek i nie potrzebnego marnowania sił i czasu. Mógł więc Eugeniusz zajmować się i czytaniem, mając od względnych na siebie oficerów dostarczane książki, i odbierając jeszcze od Ignasia takie, jakie mieć życzył.

Ze wszystkich obowiązków swojéj służby najwięcéj Eugeniusz lubił, gdy go posyłano z raportami do jenerała Brygady, który mieszkał w drugiéj kolonii ułańskiéj, Bałaklei, o dwadzieścia wiorst od Andrejewki leżącéj. I wtedy, gdy się ujrzał sam jeden na niezmierzonym stepie, gdy koń jego parskał i chwytał w szerokie nozdrza to powietrze, którego żadne niezdrowe tchnienie nieskaziło, gdy chorągiewka piki, wiszącéj na jego ramieniu, igrała z wiatrem nad jego głową lekko

szumiąc, jak skrzydło, które go chciało unieść od ziemi, czuł się Eugeniusz swobodnym jak Farys, puszczał oko po dalekich krańcach horyzontu, sięgał myślą aż do Zabuża, z lekkich chmurek płynących po niebie urabiał rydwan, na którym zniżała się do niego kochanka, i rozmarzony i szczęśliwy, wyobrażał się jéj rycerzem, marzył o tych wiekach poetycznych, które znał tak dobrze, i oglądał się po rozległéj pustyni, czy się nie zjawi jaki przeciwnik, z którymby za jéj piękność i cnoty mógł skruszyć kopiję i wszystką krew swoją przelać. Nieraz on w listach swoich opisywał te chwile, i widać było, jak go uszczęśliwiały. W ogólności wszystkie listy jego, zamykające wiele uwag, nad stanem, w którym go los postawił, a który dopełniał niejako jego wychowania, nad ludźmi, z którymi żył, nad pięknym i bogatym krajem, w którym się znajdował, pełne były trafności, rozumu, przenikliwego sądu i poetycznych obrazów, któremi umiał każdy opis ożywić i podnieść. Szczególniéj widoczny był w każdym prawie, pokój serca, przestawanie na tém co jest i niezłomna wiara, że czas ten próby przeminie, że ta, którą czcił, z któréj obra-

zem zasypiał i budził się, któréj oblicze zaludniało mu te pustynie, zachowa mu tę wierność i miłość, którą mu w najboleśniejszéj chwili, w obliczu ojca i matki przyrzekła do śmierci.

Przy końcu stycznia, czwartego roku od wstąpienia jego do służby, odebrał Ignaś od Eugeniusza list, w którym był taki ustęp: »Mamy zimę śnieżną i mroźną. Głęboka warstwa pokrywa nasze stepy, które przy blasku słońca wyglądają jak niezmierna poła szaty ślubnéj, obsypanéj brylantami. Widok ten cieszy mię i bawi tak, że często wypraszam sobie pozwolenie i dosiadłszy konia, puszczam się drogą ku Bałaklei, którą tyle razy przebywałem już w innéj porze. Wtedy cała ta przestrzeń zasłana była zielonym kobiercem i utkana kwiatami; wtedy słońce wschodzące łamało się w kroplach rosy, którą Bóg zsyła osóbno dla każdéj trawki, aby ją napoiła; wtedy miliony tych stworzeń drobnych, niedojrzanych okiem, ożywiały ją, otaczając mię bez mojéj wiedzy, i z mojém zachwyceniem łącząc zapewne pieśń swą dziękczynną, któréj ucho moje dosłyszéć nie mogło. Teraz, jest to prawdziwa pustynia. Wszystko milczy, ziemia

śpi pod swém gwiaździstém prześcieradłem, żadnéj żyjącéj istoty nie ma, i dla tego mi się ten widok tak podoba, że teraz dopiéro mogę powiedzićć, że jestem sam, że tu ja tylko jeden myślę o Bogu, który taki majestat przed okiem mojém roztoczył. Często pogrążony w takiém dumaniu, zbaczałem z drogi, i w inne puszczałem się strony. Gdym się spostrzegł i sam nie wiedział, gdzie jestem, dawałem wolą koniowi, aby sobie szedł, gdzieby mu się podobało. Wtedy on zwykle zawracał, i z któregokolwiek punktu stepu, bez żadnego śladu i przewodnika, instynktem tylko, rozumniejszym często od najbystrzejszego rozumu, trafiał doskonale do stajni, gdzie zawsze w nagrodę był pogłaskany, dostawał kawałek cukru, jeślim go miał, który bardzo lubi, i owsa, którego mu nie żałuję, i którego zawsze w worku mym zbywający mam zapas. Spacery te, którem robił dla rozrywki, korzystając z łaski i życzliwości rotmistrza, który mi ich nigdy nie bronił, stały się mojém zbawieniem. Posłuchajcie jak to było. Zdarzenie bowiem to, które mogło was pozbawić marzyciela ułana, co was tak serdecznie kocha, sprawi za-

pewne, że was prędzéj obaczę, niżelim się spodziewał.

Pozawczorajszéj nocy zerwał się tu wiatr od wschodu, puścił się śnieg obfity i gęsty, i powstała owa zamieć śniegowa, któréj wy wyobrażenia nie macie, a która tu, na stepach małorossyjskich, jest fenomenem pełnym grozy i majestatu. Kiedy silny wiatr zadmie z poza Uralu, od pustyń koczujących Kirgizów, i w rozległości dwóchset przeszło mil rozpędzi się po równinie, gdzie go żadne pasmo pagórków nie wstrzymuje, żaden pas lasów i puszcz kierunku jego nie zmienia; gdy w rozpędzie tym szalonym podejmie tumany śniegu i spotka jeszcze śnieżycę, sypiącą się z góry, wtedy miecie to wszystko z taką siłą, z taką furyą, że w mgnieniu oka zasypane są wszystkie drogi, zasute wszystkie parowy, choćby na kilka i kilkanaście sążni głębokie, że z wiosek widać tylko dachy, że zaskoczony w takiéj chwili podróżny, nie widząc nic przed sobą, nie wiedząc, gdzie się znajduje i dokąd się ma obrócić, ginąć musi bez ratunku. Zdarza się, że zamieć taka trwa dwa dni i trzy dni bez przerwy, a wtedy wszelka ustaje komunikacya, wtedy

w tak nazwanych postajałych dworach, czyli austeryach, zebrani podróżni, którzy się tam przed niechybną śmiercią schronić zdołali, oczekują często o głodzie, aż się klęska ta ujmie, i nawet do własnych sanek na dziedziniec, do koni swych w stajni stojących, żaden z izby wychylić się nie śmie. Bywały przykłady, że gospodarze wyszedłszy z dworków swych do spichrza lub obory, na własnych swych dziedzińcach ginęli, zasypani śniegiem, odurzeni, nie mogący do drzwi mieszkania swego trafić napowrót. Zdarza się znowu, że zamieć ta ustaje na kilka godzin, czasem nawet na pół dnia, i wtedy lekki tylko sypie się śnieżek, tu i ówdzie wzbija się mały tuman, podnosząc się i opadając, jak młody ptak, który probuje skrzydeł. Ale póki słońce się nie pokaże, póki gdzieś daleko w przestrzeni słychać głuchy szum, jakby przybliżających się fal Oceanu, póty temu zdradliwemu odpoczynkowi ufać nie można. W jednem mgnieniu zrywa się na nowo straszliwsza jeszcze zamieć, i biada temu, kto nie miał czasu czekać gdzie pod dachem, lub zaufał sile i bystrości swych koni, lub krótkości drogi, jaką miał przebyć! W ta-

kiém położeniu znalazł się jenerał-lejtenant G**, komenderujący naszą dywizyą, który z kolonii kirysierskiéj w Swatowéj Łuczce z żoną i cztéroletnim, prześlicznym chłopczykiem, jechał do Charkowa. Nocował on w Bałaklei, u tamtejszego półkownika. Ja przybyłem także do Bałaklei wieczorem, z ważną depeszą do jenerała brygady, i oddawszy ją, zostałem tam na noc, jak miałem rozkaz. Nazajutrz, gdyśmy się pobudzili, nie poznaliśmy miejsca, gdzie jesteśmy. Domki żołnierskie, długą ciągnące się liniją, zasypane zostały powyżéj okien; z żadnéj stajni nie można było wyjść, ani wyprowadzić konia. A gdyśmy przebojem wygramolili się na dwór, wkrótce musieliśmy się cofnąć, bo każdemu śmiałkowi, któryby tylko o kilkadziesiąt kroków odszedł na otwarte miejsce, groziła śmierć niechybna, gdyż ani onby nazad do drzwi nie trafił, ani żaden z kolegów nie zdołałby do niego dójść i pośpieszyć z ratunkiem. Siedząc więc, jak zamurowani, gdzie kogo biéda ta zastała, nie wiedzieliśmy, co się daléj dzieje, czy służba jaka odbywa się, czy zmiana wart dokonana, lub nie dokonana. Rygor wojskowy uległ większéj od nie-

go potędze. Tak to trwało do godziny dziesiątéj. Po dziesiątéj wiatr zaczął ucichać, zamieć ustawała, śnieg coraz równiéj spadał, i żołnierze mogli przynajmniéj rzucić się do łopat, żeby poodgartywać przejścia i porobić komunikacye dla ludzi i koni. O dwónastéj wiatr się zupełnie uspokoił, śnieg nawet ustał, tak, że ruch zwykły powrócił w całéj osadzie, że odgarnięto nawet drogę, wiodącą ku Andrejewce, przez całą długość Bałaklei, wsi ogromnéj i w dolince nad maleńką rzeczką leżącéj. Zdawało się, że wszystko już przeszło, i kto miał drogę przed sobą, zbierać się do niéj ośmielał. Jakoż, sanie jenerała G* stały zaprzężone i upakowane, i mój koń był także osiodłany, czekałem tylko na rozkaz do pułku, który mi wręczyć miano. Wprawdzie niektórzy oficerowie, znający się cokolwiek z tą zdradliwą ciszą, perswadowali zwierzchnikowi swemu, aby się zatrzymał do jutra, i jenerał skłaniał się, bojąc się o żonę i dziecko; ale odważna kobiéta, która śpieszyła do starszego syna, chorego w Charkowie, zaklinała go, aby ruszyć natychmiast. Nie masz nic heroiczniejszego na ziemi, jak serce matki. Jéj odwaga wla-

ła się i w męża, dał się więc namówić, wziął tylko z sobą cztérech ułanów, którzyby przy saniach jechali i pomogli do wyszukania drogi, i słupów murowanych drogę tę oznaczających, jeśliby je kuczer z oczu stracił, co tém łatwiéj nastąpić mogło, że słupy te są nizkie i białe. We trzy kwadranse może po odjeździe jenerała oddano mi mój pakiet, wsiadłem więc na koń i pojechałem. Gdym minął wieś, podniósł się na niewielki wzgórek, gdym się potém ujrzał na stepie, nie mogłem się odjąć podziwieniu, patrząc na to niezmierzone morze, białe, puszyste, jeszcze w ruchu, który się zupełnie nieuspokoił, falujące cicho, miękko, a tu i ówdzie lekką podnoszące się chmurką, która znowu słabe swe zwijała skrzydła, sunęła się paręset kroków przy saméj ziemi i nikła zupełnie. Koń mój postępował śmiało, czasem zabrnął po brzuch, a ciągle prawie kopał się w śniegu, który mało co do kolan jego niedosięgał. Ślad, którędy się sunęły sanie jenerała widać było dobrze, nawet te dwie ścieżki z boku, któremi szły konie towarzyszących mu ułanów, można było rozróżnić. Tak jechałem więcéj niż półtory godziny, sądząc,

że i jenerał dojedzie, którego śladu trzymałem się i ja stanę w domu, nim się zamieć odnowi, którą czułem w powietrzu, słysząc zawsze za sobą jakiś szum złowrogi, którą mój koń czuł pewnie lepiéj odemnie, bo kładł i ściskał uszy, wyciągał nozdrza, wietrzył jak daleko jeszcze stajnia, kiedy niekiedy nawet oglądał się poza siebie, a mimo tak ciężkiéj i kopnéj drogi szedł coraz prędzéj. Nagle z prawéj i z lewéj strony podniosły się dwa tumany, które się zaczęły kłębić, ku sobie zbliżać i coraz prędzéj i wyżéj naprzód posuwać jakby jeden przeciw drugiemu do walki występował. Koń mój stęknął i posunął się z całém natężeniem, a za nami zaszumiał wiatr, zadął w moją chorągiewkę, która świsnęła i pochyliła pikę mą naprzód i nim zdołałem obejrzéć się i opamiętać, całe to sypkie morze, które dotąd cicho leżało, podniosło się, zasłoniło horyzont i w gęsty i zimny zamieniło się tuman, który mi zasypał oczy, całego obrzucił śniegiem i prawie odurzył i zagłuszył. O! wierzcie mi, nigdy zapewne straszniejszéj i uroczystszéj nieprzeżyję chwili. Sam jeden na téj nieograniczonéj przestrzeni, która się cała podniosła

w górę, aby mię pochłonąć, nasłuchawszy się tyle przygód o podróżnych, którym zima w téj najgroźniejszéj swéj postaci zastąpiła drogę, nie mogłem nie pomyśléć o śmierci, nie mogłem nie przesłać wam wszystkim i téj dla któréj żyć pragnąłem, wiecznego pożegnania. Przetarłszy więc oczy spójrzałem w niebo, polecając duszę swą Bogu, a was wszystkich jego opiece. Ale niebo tylko myślą widziéć mogłem, bo podemną, obok mnie i nademną, był tylko ruchomy śnieg, sypiący się na różne strony, pędzony szalonym i świszczącym wiatrem i zasuwający mię tak, że już stopy moje pętał i do kolan wałem swym dosięgał. Koń mój stał przez chwilę, schylił głowę i nozdrzami rozrzucał śniég, który mu piersi zasypywał. W parę minut może przeszło to piérwsze uraganu natężenie, tuman się cokolwiek rozwiał, tak, że o kilka kroków można było cóś widziéć. Wtedy koń mój podniósł się naprzód zwolna, potém silniéj, wreszcie z całéj siły wspiął się, posunął się naprzód i daléj iść zaczął, ryjąc się w śniegu, który stawał się coraz mniéj głębokim. Oddałem się więc jego instynktowi puściłem mu wodze i już spokojniej-

szy, bom miał czas przynajmniéj pomodlić się i o was dłużéj pomyśléć, czekałem, jak daleko mię zaprowadzi. Uszedł on tak ze trzysta kroków, ale w jakim kierunku, to on sam tylko wiedział. Ja bowiem nie widziałem nic przed sobą, a gdy wiatr zwolniał na chwilę i tuman przewiał, wszelki ślad drogi zniknął, a przed okiem mojém rozlegała się tylko przestrzeń ruchoma, która miała być moim grobem. Korzystając z takiéj chwili, trochę spokojniejszéj, poczciwe to zwierze zaczęło iść szybszym krokiem, zapadając czasem po brzuch, ale nie tracąc energii i co moment wyciągając na wiatr nozdrza, które go jak busola kierowały. Tak ujechawszy ze dwie wiorsty usłyszałem z boku wystrzał. Mój koń podniósł głowę, zestrzygł uszy i zwrócił się ku téj stronie. Gdyśmy zrobili w tym kierunku z pięćset kroków, a znowu chwilowe nastąpiło uciszenie i można było trochę świata widziéć, postrzegłem niedaleko chorągiewkę ułańską. Domyśliłem się, że to jenerał z żoną i dzieckiem w téj pustyni wygląda śmierci i patrzy na trwogę tych, których tak kocha. O! ja szczęśliwszy jestem, pomyślałem, moi wszyscy są daleko od

tej grozy natury, i jeśli tu zginąć przyjdzie, to zginę sam jeden. I cóż myślicie, com zastał! Oto ten pan, który kilka tysięcy ludzi miał na swoje rozkazy, własnemi rękami odgartywał śnieg, który już do połowy sanie jego zasypał. A gdy fartuch był niedostateczny, gdy dekel od budy spadający niedość jeszcze zabezpieczał kobiétę, drżącą już od zimna i tulącą w objęciu swém dziecię, które zamierało ze strachu, zdjął z siebie futro, osłonił wszystkie szpary, a sam w jednym mundurze pracował z taką gorliwością, jakiéj nigdy nie miał żaden wyrobnik, któryby jutro miał umrzéć z głodu. W téj pracy pomagali mu dwaj ułani, których konie z tyłu do sani były przywiązane. Kuczer siedział na koźle, ponury i milczący i trzymał czwórkę swą, która mordami tylko odgartywała śnieg, co ją zarzucał. Gdy mnie jenerał obaczył i mundur mój poznał, rzekł:

— Ty z Andrejewki? A jak daleko jeszcze?

— Nie wiém — odpowiedziałem — bo któż wié gdzie jesteśmy.

— Posłałem dwóch ułanów od półgodziny szu-

kać drogi i niewracają; posłałem forysia i ten przepadł— mówił jenerał ze zwątpieniem.

— Panie jenerale!— rzekłem— biédni ci ludzie są w ręku Boga i zapewne nie wrócą.

— Jakiż dam ratunek żonie i dziecku!— zawołał w rozpaczy ten biédny ojciec, posłyszawszy w téj chwili jéj jęk i płacz syna. Wtedy kuczer podniósł się i chciał złazić z kozła. Jenerał go zapytał— co ty chcesz robić!

— Wezmę drugiego przodowego konia i pojadę szukać drogi— odpowiedział brodacz ponuro, a ja z twarzy jego postrzegłem, że myśli siebie tylko ratować. Wtedy złość mię wzięła, krzyknąłem więc do niego:

— Siedź! bo o dwieście kroków i sam zginiesz.

— A tobie co do tego!— odpowiedział mi spójrzawszy tak jakby mię chciał nożem przeszyć; i nie zważając na powtórzony taki sam rozkaz jenerała, którego już bać się przestał, zlazł z sanek. W obliczu niebezpieczeństwa i śmierci, starszéj i potężniejszéj od wszystkiego co potężném jest na ziemi, zapomniałem com był winien, ja lichy podoficer, jenerałowi-lejtenantowi, który był moim wodzem. Dobyłem więc pisto-

łet i odwiódłszy kurek i wymierzywszy do łba zuchwałego brodacza, krzyknąłem:

— Siadaj natychmiast i trzymaj konie, bo ci w łeb palnę, jak się tylko ruszysz.

Kuczer mruknął, przestraszył się i usiadłszy wziął znowu lejce do rąk, a ja obracając się do zdziwionego jenerała, przeprosiłem go za moją zuchwałość, dodając, że bez woźnicy zginęliby, bo ztąd trzeba ruszyć koniecznie — niech się jenerał odzieje i siada, mówiłem daléj; mój koń zna te miejsca dobrze, nie raz mię już zaprowadził, kiedym się zabłąkał. Jesli on nas nie wywiedzie tym instynktem, jaki Bóg dał zwierzętom w każdém niebezpieczeństwie, to już widać wola jest jego, abyśmy zginęli. I wtedy zginiemy z odwagą, jak żołnierze i chrześcijanie. Ale obowiązkiem jest naszym ratować się ile zdołamy.

Ten niezwykły w żołnierzu język i ta śmiałość, którą się nie chwalę, bo była dziełem strasznéj chwili, zastanowiła człowieka, przywykłego do rozkazów, ale upadającego na duchu, i zrobiła go posłusznym. Odział się więc w szu-

bę, wlazł do sanek, które w mgnieniu oka śnieg zarzucił, i zamknąwszy fartuch, rzekł do mnie:

— Jeśli nas szczęśliwie wyprowadzisz, dostaniesz sto rubli.

— Panie jenerale — rzekłem wówczas po francuzku — pieniędzy na moje potrzeby mam dosyć. Jeżeli mi się uda trafić do Andrejewki, proszę mi wierzyć, że szczęśliwszym będę przez to, że wyratuję ojcu żonę i dziécię, niż że sam siebie ocalę.

— Któż ty jesteś? — zapytał wtedy tym samym językiem.

Nazwałem się i powiedziałem zkąd jestem rodem.

— A! — rzekł jenerał — będę pamiętał. Rób więc co możesz i niech nam Bóg dopomaga.

Wtedy kazałem ułanom odgarnąć cokolwiek śnieg od kopanic, przzodowego konia odprządz i prowadzić, a gdy już siedzieli na koniach, krzyknąłem na kuczera, żeby ruszał. Brodacz zaciął batem wszystkie cztéry konie razem, potrząsł lejcami, i z wielkim trudem wydobył się z miejsca. Ja odjechałem ze trzydzieści kroków naprzód, wstrzymałem swego konia, potém puści-

łem mu cugle, dając mu czas, aby się zorientował. Znowu więc mój gniadosz wyciągnął mordę, rozwarł na wiatr nozdrza, potém schyliwszy głowę ku ziemi, postał tak kilkanaście sekund, jakby się namyślał. Wreszcie zwrócił się raptem na prawo i poszedł. Za mną! krzyknąłem wówczas obracając się ku sankom, które się zwolna sunęły, noga za nogą, a gdy tuman się podnosił, zasypywał oczy, przecinał i zasłaniał drogę, musiały stawać i czekać, aż przejdzie. Tak jechaliśmy ze dwie godziny, nie wiedząc jeszcze gdzie jesteśmy. Wszakże uważałem, że mój koń postępował coraz prędzéj, coraz silniéj wciągał wiatr w nozdrza rozwarte i nastawiał uszy tak jak je poczciwe te zwierzęta nastawiają, kiedy czują dom i woń stajni je zalatuje. I wówczas nadzieja wstąpiła w moje serce; a gdy zamieć znacznie stę uciszyła, gdy już zciemniać się zaczynało i postrzegłem zdaleka migające się światełka, byłem pewnym, żeśmy ocaleni, i nie wstydzę się wyznać przed wami, że twarz moją łzy radości oblały. Wkrótce więcéj świateł błysnęło przed nami, szczekanie psów doleciało do uszów moich, koń mój strzepnął się,

zestrzygł uszy i lekko zarżał, a ja obracając się ku jadącym za mną, krzyknąłem z całéj siły; Andrejewka!— Andrejewka! powtórzyli wszyscy takim głosem i z takiém uniesieniem, z jakiém rozbitki płynący na złomku statku, krzyczą: ląd! z jakiém krzyżownicy, dostrzegłszy święte miejsce, do którego dążyli, zawołali z głębi piersi:— Jerozolima!

Już było zupełnie ciemno, gdyśmy stanęli przed gankiem komendanta naszego pułku. Ile cukru mój poczciwy koń dostał, jak spałem, jak modliłem się, nimem zasnął, tego wam mówić nie potrzebuję.

»Nazajutrz o ósméj, gdym czyścił, głaskał i obejmował szyję mojego gniadosza, a on poglądał się na mnie z przywiązaniem i mordę swą kładł na mojém ramieniu, zawołano mię do jenerała. Ubrałem się co prędzéj i poszedłem. Słońce świeciło jasno, a ten puch straszliwy, co wczoraj niósł śmierć i zagładę, pokrywał miękko ziemię i leżał tak cicho, tak spokojnie jak dziewica w bieli, uśpiona na swém czystém łożu i marząca o tych aniołach co z myślami jéj igrają. Sanie jenerała już stały przed gankiem, na

koźle siedział ów brodacz, który poznawszy mnie, spójrzał z ukosa, uśmiéchnął się i głową pokiwał. Forysia nie było; przepadł biédny chłopak, i jeden ułan, który miał świéżego i nieznającego okolicy konia, zginął także. Drugiego ułana, jakieśmy się późniéj dowiedzieli, w pół żywego, stary koń jego przyprowadził już późno w nocy na powrót do Bałaklei.

Gdym wszedł do pokoju, jenerał, jego żona, ich prześliczny chłopczyk i nasz półkownik siedzieli przy śniadaniu. Wyprostowałem się przy drzwiach; alem nie długo czekał. Z uśmiéchem rzekł do mnie dowódzca dywizyi:

— *Approchez mon cher!*

Przybliżyłem się więc śmieléj, a jenerałowa patrząc mi w oczy z wdzięcznością, dodała:

— Ah! *Monsieur! que je vous suis reconnaissante, vous avez sauvé mon enfant!*

O sobie nic nie mówiła. Matki wszędzie są jednakowe. Wtedy jenerał mówił daléj:

— Znam cokolwiek twoją historyą. Widziałem przytomność umysłu i śmiałe znalezienie się w niebezpieczeństwie. Pewny jestem, że będziesz dobrym oficerem. Masz piękne świadectwa od

swego półkownika, i spodziewam się, że za kilka miesięcy otrzymasz szlify. To masz od jenerała. A to— dodał powstawszy i ściskając moją rękę— przyjmij na pamiątkę od ojca, przy którym stanąłeś wtedy, kiedy go rozpacz ogarniała.

I oddał mi zegareczek nie wielki, ładnie kameryzowany, widać do niéj saméj należący, z cyfrą jego własną, wyrobioną na błękitnéj emalii drobniutkiemi brylantami. Podziękowałem, przyjąłem upominek i wyszedłem. Oficerowie, którzy byli w piérwszym pokoju, dowiedziawszy się o wszystkiém, winszowali mi ze współczuciem, o którego szczerości nie wątpię. Tak szczęśliwie wybrnąwszy z rąk zagniewanéj natury, nie boję się już ludzi, i z nadzieją w sercu, że was prędko zobaczę, że może zwalczę ten tuman rodu, co mi zasłania moją gwiazdę, jakem pokonał zamieć stepową, co mi zasłoniła niebo, piszę ten list, który was pewnie nie znudzi."

Po odebraniu tego opisu, który cała rodzina po kilka razy odczytywała, przerażając się w niektórych miejscach, rozrzewniając w innych, i w ogóle pojąc się temi samemi nadziejami, jakie

miał Eugeniusz; pan Paweł wziął się energiczniéj do przywiedzenia do skutku planu, nad którym od dwóch lat pracował. Zapomniawszy na zawsze o panu Piotrze, nie myśląc już wcale upominać się o swoje i wzgardziwszy szachrajem, spodlonym przez próżność, był on w dość częstéj korespondencyi z panem Marcinem, którego namiętność, jakkolwiek naganna i czyniąca go członkiem społeczności zupełnie nieużytecznym, była przynajmniéj dość oryginalna i zainteresowała człowieka z humorem i rozumem. Do owéj kollekcyi imperyałów i półimperyałów, którą mu zaraz z początku posłał, i za co pan Marcin pokochał go tak, że go stawił na równi z listem zastawnym lit. C. dosyłał mu pan Paweł od czasu do czasu po jednym, lub po parę dukatów pojedyńczych i dublonów, starych i nowych, swoich i zagranicznych, jakie tylko mógł dostać. Za każdą taką przesyłkę odbierał długie podziękowanie, na brudnym papiérze, drżącą wypisane ręką, ale często nie bez dowcipu, gdy stary sknéra drwił sobie z głupców, którzy go mają za ordynaryjnego skąpca, i nie bez sarkazmów, gdy mu przyszło mówić o panu Piotrze, jego żonecz-

ce, córeczce i synku, którzy już sobie ostrzą zęby na jego barany, i chcieliby puścić w świat, między żydów i głodną hałastrę, te jego biédne dukacięta, którym u niego tak dobrze, które on chowa, czyści i myje, jak dziatki, a układa i pielęgnuje, jako amator i numizmatyk. Teraz miał dla niego pan Paweł nowy podarunek. Zebrał on z biletów bankowych wszystkich banków Rossyjskich: Petersburgskiego, Moskiewskiego, Odeskiego, Kijowskiego, Finlandzkiego i Liflandzkiego, po jednéj sztuce, na niewielkie sumki, po pięćdziesiąt, siedmdziesiąt pięć i sto rubli, i uszykowawszy ładnie tę kolekcyą, przy grzecznym liście posłał mu ją na jego urodziny, które w lutym przypadały. Wkrótce odebrał od niego list, w którym stary wynurzając mu swoją wdzięczność, dodał, że radby go jeszcze raz przed śmiercią zobaczyć, że sam do Warszawy przyjechać nie może, bo jakżeby swoje rodzone dziatki zostawił na cudze ręce; a przytém powozu nie ma, bo to zbytek, na który tylko taki kiep, jak pan Piotr sadzi się, koni także ładnych nie ma, tylko folwarczne, a poczta niezmiernie wiele kosztuje, co na jego kieszenie za ciężko, a przytém, że to niezgodne

z jego przekonaniem, bo wszelką rozrzutność uważa za grzech, za który Pan Bóg karze.

Pan Paweł tego tylko czekał. Wybrał się więc wkrótce i pojechał. W Chełmie do kocza swego najął cztéry konie na dni kilka, wiedząc, że mu pan Marcin koni swych nie da, opatrzył się wiktuałami, dobrém winem, i jednego poranku stanął przed temi samemi drzwiami, które kilka lat temu przed nosem mu zatrzaśnięto. Jak wielką była radość starego dziwaka, dowodzi to, że na obiad kazał upiec pieczenię baranią, z wielkiém podziwieniem baby reprezentującéj kucharkę, która od lat kilkunastu takiéj fety nie widziała; że do kartofli wydał kawałek słoniny, który jednak sam w spiżarni odważył, że nawet rozochociwszy się zapytał babę, czy umié robić naleśniki. A gdy mu odpowiedziała, że nie ma patelni, machnął ręką z widoczném ukontentowaniem i rzekł: »Prawda, toby już było nadto, objadłby się i jeszczeby mi, broń Boże, zachorował.” Skończyło się więc na rosole z chudéj kury, na pieczeni baraniéj i na kartoflach. Wracając z kuchni do pokoju, myślał sobie pan Marcin, jak ten zbytek, którego się dla tak drogie-

go gościa dopuszcza, odbije potém na sobie samym, i uspokoiwszy się tym sposobem w swojém sumieniu, był tak rad panu Pawłowi, że porzuciwszy piérwszy pokój brudny i obdarty, zaprosił go do swego *sanctum sanctorum*, to jest do izby potężnie zakratowanéj, mającéj przy drzwiach dębowych silną sztabę żelazną zewnątrz, którą je zamykał, gdy wychodził, i drugą wewnątrz, którą się zaryglowywał, gdy się kładł spać, gdy się do układania i czyszczenia dukatów, albo do ogólnego rachunku listów zastawnych i odcinania kuponów zabiérał.

Tam gdy usiedli, po długiéj i żartobliwéj rozmowie, pan Paweł zręcznie wyciągał pana Marcina, jak liczne są jego merynosy, szczególniéj te, które noszą piętno liter A. i B. jaką może mieć wartość jego gabinet numizmatów, które jeszcze nie wyszły z kursu. Gdy pan Marcin pół żartem, pół seryo przyznał się prawie do swojéj znacznéj fortuny, pan Paweł rzekł:

— Taką rzeczą, kochany panie Marcinie, kombinując to wszystko co mówisz, i czego powiedzieć nie chcesz, widzę, że oprócz wsi, która duża i w dobrych leży gruntach, choć ci nie tyle

przynosi, ileby przynosić mogła, bo na nią nic łożyć nie chcesz, masz w kapitale około cztérechkroć.

Stary skąpiec pobladł jak trup, usłyszawszy tę cyfrę, którą cudze oczy dojrzały, i porwał się z miejsca. Pan Paweł zaśmiał się i dodał:

— Ale siadaj, siadaj i nie bój się. Przecież nie dla tego to mówię, abyś mi co dał. Ja mam więcéj!

— Ty masz więcéj!— zawołał stary z roziskrzonemi oczami— o szczęśliwy człowieku! ach! gdybym to ja miał więcéj.

— Ale będziesz miał niezawodnie— odpowiedział pan Paweł— bo pożyjesz jeszcze długo i zbierzesz, i zaokrąglisz tę sumkę, która już i tak dostateczna.

— Gdzietam! gdzietam!— mówił stary kiwając głową— niezaokrągli się wiele, nie, bo już prędko umrę. Może pożyję jeszcze jakie dziesięć lub piętnaście lat; cóż to znaczy? czy to tak wiele przez ten czas przybędzie!

— Ale dajmy— mówił pan Paweł— że przybędzie jeszcze sto tysięcy i zrobi się pół milijona!— stary uśmiéchnął się i zatarł ręce, a pan

Paweł dodał— powiedzże teraz, panie Marcinie, co zrobisz z tym kapitałem po śmierci?—Pan Marcin zachmurzył się i wytrzeszczył oczy na mówiącego, a ten rzekł seryo:—Jeżeli go każesz do trumny swojéj włożyć, to niezmieścicie się tam oba; jeżeli zaś zostawisz go i nie dasz mu żadnego rozporządzenia, to go zabierze pan Piotr, jego żoneczka, jego córeczka i synek, i puszczą między żydów to, coś ty całe życie zbiérał, coś pielęgnował, coś kochał, jako prawdziwy amator i znawca.

—Zjedzą diabła! zjedzą diabła!— wołał stary porwawszy się i chodząc prędko po pokoju,— Nie dostaną nic na obwinięcie palca! Nie dam, nie dam, im nie dam, i nikomu nie dam, a jak będę umiérał, to podpalę swoje łóżko, i wszystko to, i ja, i mój dom, i moja wieś i mój materac, i moja szkatułka, wszystko pójdzie z dymem.

—Bardzo to dobrze— odpowiedział z uśmiechem pan Paweł— ale uważaj panie Marcinie, że możesz umrzéć nagle, bo to się zdarza.

—Nie, nie umrę nagle, nie jestem skłonny do apopleksyi— mówił pan Marcin.

—Możesz umiérać w gorączce i bez przytomności—rzekł pan Paweł.

—Nie, nie będę miał gorączki, nie jestem krwisty, mało jem, a będę jadł jeszcze mniéj, i pijam tylko wodę—odpowiedział stary.

—Dajmy więc, że umrzesz nie z choroby, ale ze starości—mówił pan Paweł—ale możesz być tak osłabionym, że nie będziesz miał siły sięgnąć po świécę, żeby się podpalić, albo zaśniesz z nadzieją obudzenia się i nie wstaniesz więcéj, gdyż taki jest zwykle koniec ludzi zdrowych, umiarkowanych i bardzo starych. Powiedzże mi, czy nielepiéj zrobić rozumne rozporządzenie i przeznaczyć po swojéj śmierci fortunę swą krewnemu, który ją będzie szanował i twoje imie wspominać będzie z wdzięcznością, niż umiérać z tą myślą, że ją rozszarpią i zmarnują łajdaki bez sumienia, które ci potém za to i dobrego słowa nie dadzą, owszem, nazywać cię będą skąpcem, sknérą i wyśmieją cię, żeś dla nich pół miliona oszczędził, odejmując sobie od gęby i grzbietu.

—Takiego krewnego nie mam, oprócz ciebie: a ty nie potrzebujesz, bo masz więcéj—odpowiedział pan Marcin po chwili namysłu.

— I owszem, masz go, masz w synu twojéj rodzonéj siostry— odpowiedział pan Paweł.— Nie w młódszym, bo ten nie potrzebuje; ten jest najpiérwszym rzemieślnikiem w Warszawie, ma ogromny kapitał w swoim własnym przemyśle i znaczny posag mojéj córki, która jest jego żoną. Ale w starszym, w Eugeniuszu, który nie ma nic.

— Aha!— zawołał stary ironicznie— który się wychował pomiędzy panami, nabrał ich nałogów, przesiąknął fumami pańskiemi i chce szumiéć za moje pieniądze!... Nic z tego.

— Ale słuchajże, panie Marcinie— rzekł pan Paweł— ja ci opowiem, co to za człowiek ten twój siostrzeniec.

Tu pan Paweł opowiedział pokrótce staremu całe życie bohatéra naszego, skreślił mu jego charakter, dał poznać jego zdolności, odmalował z jaką gotowością poświęcił się za brata, jaka osoba powzięła ku niemu przywiązanie, jakie przeszkody ich dzielą, jak pewny jest, że nawet duma matki przełamie się, skoro będzie miał zapewniony spadek tak znacznéj fortuny; póki żyć będziesz, nie żąda on od ciebie ani trzech

groszy. Jeżeli dostanie rękę téj, którą kocha, a rodzice nie zechcą wydzielić im dostatecznego funduszu na ich utrzymanie, to ja i Ignaś zapewnimy im roczny dochód taki, że będzie mógł żyć przyzwoicie, choć bez zbytków, do których ani on, ani ona nie są skłonni, bo oboje mają rozum i wyższe usposobienie.

Pan Marcin milczał, skrobał się w głowę, pan Paweł nalegał i perswadował: nareszcie, po dwugodzinnych korowodach, stary skąpiec przekonany, że spalić się choćby i można, ale byłoby to głupstwo, któreby ludzie wyśmieli, a nie spaliwszy się, nic z sobą wziąść nie można; że to co się zbierało, i czego niszczyć szkoda, komuś zostawić trzeba, mogąc rozporządzać całkowitą swą fortuną, gdyż ani wstępnych, ani zstępnych nie miał, jak mu tego pan Paweł 916 §. kodexu cywilnego dowiódł, skłonił się do przekazania skarbów swych raczéj siostrzeńcowi, który go zostawi w pokoju do śmierci, niż tym, których cierpieć nie mógł, a którzy już oddawna i ciągle, jak kruki na łup ten czyhają.

Tak tedy pan Paweł, odniósłszy to ogromne zwycięztwo, zasiadł do swojéj własnéj wiecze-

rzy, z przywiezionych specyałów złożonéj, i zaprosił do niéj gospodarza, który zrujnowawszy się na tak wystawny obiad, jaki gościowi swemu dał, sam przed wieczorem zagasił ogień na kuchni, i nic już na kolacyę robić nie kazał. Jedli więc wesoło, szczególniéj pan Marcin zajadał smaczno, i popijał z ochotą stare wino, z którém się już przeszło lat dwadzieścia nie widział.

Nazajutrz, skoro się pan Paweł obudził, posłał kocz swój z listem do Sawina, i koło godziny dziewiątéj przyjechał ksiądz Maciéj i burmistrz. Wiedział już pan Marcin, po co przyjechali, i po przywitaniu, skrobiąc się w głowę i stękając, napisał wreszcie własnoręczny testament, podpisał go i położył datę. Aktem tym, na mocy wyżéj cytowanego §., wyłączywszy od wszelkiego spadku po sobie pana Piotra i siostrę Herminiję, przeznaczył siostrze swojéj Teresie dwadzieścia tysięcy, do których wypłacenia po jego śmierci obowiązał ogólnego swego spadkobiercę, Eugeniusza Zabużskiego, syna rodzonéj siostry swojéj Maryanny, pod cztérema następującemi warunkami:

1) Że póki on, Marcin Jelewski, żyć będzie, obdarowany tak bogato siostrzeniec, ani ździebełka słomy od niego nie zażąda.

2) Że go odwiedzać będzie raz tylko na rok, zabawi nie dłużéj jak pół dnia, i pod żadnym pretekstem na noc u niego nie zostanie.

3) Że się o zdrowie jego ani wprost, ani ubocznie przez trzecią osobę dowiadywać nie będzie.

4) Że kolekcyę dukatów, w oddzielnéj znajdującą się szkatułce, zachowa jako pamiątkę i nie użyje ich, chyba w ostatecznéj potrzebie.

Na końcu był taki dodatek: gdyby siostrzeniec mój któremukolwiek z powyżéj wypisanych warunków, oprócz czwartego, który już zostawiam jego sumieniu i pamięci o mnie, uchybił, testament ten, który do dalszego zażądania mego w ręku pana Pawła Jelewskiego, półkownika i kawalera zostawiam, uważanym być ma za nie ważny, jeżeli w biórku mém późniejsze znajdzie się rozporządzenie.

Akt ten podpisali świadkowie, czego żądał pan Paweł, choć tego prawo nie wymaga, wypili jeszcze za zdrowie i długie życie tak szlachetnego krewnego po kieliszku starego wina, które

jeszcze od wczorajszego traktamentu pozostało, i rozjechali się.

Taki mając dokument w kieszeni, który znosił najważniejszą przeszkodę, udał się pan Paweł do Zabuża. W Zabużu wiele się rzeczy zmieniło. Staś w czasie przeszłorocznych kontraktów w Kijowie, obraził pychą swą i hardém obejściem jakiegoś dorobkowicza, został wyzwany i raniony. Chociaż rana z początku nie zdawała się śmiertelną, długo na nią cierpiał niezmierne bole, i nareszcie nie mogąc ich wytrzymać, na ręku matki, która na odgłos tego nieszczęścia pojechała na Ukrainę, skonał. Stanisław Zabużski, umarł bezdzietny, cały więc majątek, jaki miał odziedziczyć po rodzicach, spadał na pannę Jadwigę. Została więc panna Jadwiga dziedziczką znacznéj fortuny, i konkurenci ocknęli się na nowo. Dwaj młodzi panowie, chociaż znali stan jéj serca, i z życia jéj samotnego, oddanego nauce i rozmyślaniu, wnieść mogli, że się w niczém nie zmieniła, posunęli się do jéj ręki. I jeden i drugi otrzymał odmówną odpowiedź; i każdy z nich dziwił się niezmiernie, że panna tak rozumna nie pojmuje obecnego położenia swego, że

przybytek tak znaczny majątku nie dodał jéj ambicyi, i na to szczęście, jakiegoby doznawała nosząc ich imie, nie otworzył jéj oczu. Była więc panna Jadwiga zawsze jedną i tąż samą, znosiła los swój z pokojem i godnością, a miłość jéj dla Eugeniusza nie zmalała ani na włos jeden. Oświadczywszy matce, że go nigdy kochać nie przestanie, że niczyją żoną nie będzie, ale dawszy jéj słowo, że żadnego kroku nie zrobi, do któregoby ją matka nie upoważniła, nie pisywała do niego wcale. Jak Eugeniusz wierzył w nią, tak ona wierzyła w niego, i wiedziała dobrze, że wszystkie te romansowe czułostki, wszystkie owe przysięgi, które się tak często łamią, czy są ustne czy pisane, są dla nich niepotrzebne. Dość jéj było wiedzieć, że Eugeniusz żyje i gdzie się obraca, co zawsze od księdza Augustyna wiedziała. Zresztą, była nić tajemna, jak ich wiara silna i potężna, która ich łączyła i zerwać się nie mogła, był, mówiąc po dzisiejszemu, jakiś niewidomy i duchowy telegraf, za pomocą którego rozmawiali z sobą ile razy chcieli, i który utrzymywał ten związek ich, co się zaczął od dziecinnego prawie wieku.

a miał się skończyć aż w grobie. Kasztelanowa, któréj śmierć syna niezmierny dała smutek, wiedziała o tém dobrze, że nic córki jéj nie przełamie. Nie śmiała ona téj stałości nazywać uporem i cierpienie jéj było tém większe, że jéj nawet szacunku swego odmówić nie mogła. Kasztelan, który radby był z duszy zdjąć z córki swéj brzemię takiego życia, jakie prowadziła, a które niosła z tak heroiczną spokojnością duszy, z taką pogodą czoła, nie miał dość mocy odezwać się głosem mężczyzny i ojca i nie śmiał zmienić położenia, które cały dom osmucało.

W takim stanie były rzeczy w Zabużu, gdy pan Paweł przyjechał. Udał się on naprzód do księdza Augustyna, dał mu się poznać i wyłożył cel swego przybycia. Zacny ten kapłan, przyjaciel Eugeniusza i nie mniejszy przyjaciel tego domu, w którym mu przeszła młodość, gdzie tak dojrzał głową i sercem, podjął się téj missyi, jaką mu pan Paweł powierzał. Widział on to bowiem dobrze, że inaczéj nie zdejmie się ta chmura, jaka tu leży na czole wszystkich, i nie wejdzie radość, jakiéj dozwala ziemia, ani do serc rodziców, których serdecznie żałował, ani

do serca córki, którą uważał za istotę wyższą, któréj stałość, a przytém spokojne i religijne znoszenie swego losu, miał za fenomen moralny, godny czci i zastanowienia każdego rozumnego człowieka. Wziąwszy więc z sobą ostatni list Eugeniusza i testament pana Marcina, udał się do kasztelana. Konferencya trwała przeszło godzinę, po któréj kasztelan sam przybył na probóstwo, ścisnął rękę pana Pawła i rzekł:

—Dziękuję ci kochany półkowniku, że mi dopomagasz do osłodzenia starości méj szczęściem mojéj córki, któréj los z pomocą Bożą rozstrzygnie się zapewnie tak, jak sobie życzę. Pójdź, poznaj ją. A jeżeli ksiądz Augustyn, który właśnie teraz jest u mojéj żony, nie zdoła przełamać jéj postanowienia temi perswazyami, jakie mu natchnie jego przyjaźń dla nas i ten charakter kapłański, który go upoważnia do odezwania się do serca matki, wtedy obadwa użyjemy jeszcze światowéj logiki, która, dzięki staraniom twym, jest oczywiście za nami. Ale mam nadzieję, że tego nie będzie potrzeba. Bóg nas ciężko dotknął, i biedna moja żona, złamana tym ciosem, nie zechce widokom tego świa-

ta, który ją tak ciężko zawiódł, poświęcić szczęścia jedynego dziecka, i da się przekonać słowom człowieka, którego świętobliwość zna, i przed którym najtajemniejsze poruszenia serca swego odkrywa.

Poszli więc do salonu, przytykającego do gabinetu kasztelanowéj, gdzie zastali pannę Jadwigę. Półkownik spójrzał ze współczuciem na tę postać piękną, tak pełną powagi i pokoju. Panna Jadwiga przystąpiła do niego z uprzejmością, uśmiéch melancholiczny i łagodny ozdobił jéj usta, lekki rumieniec okrasił jéj blade lice, podała mu rękę i ściskając dłoń jego rzekła:

— Dziękuję panu. Wiém już o wszystkiém. Jeżeli starania pana nie pomogą i będę musiała zostać, jak jestem, chciéj pan pocieszyć Eugeniusza tém, żeś mię widział spokojną, bo w myśli i w sercu należę zawsze do niego, i mam to przekonanie, że drogi nasze, choć idą od siebie daleko, zejdą się kiedyś, jeśli nie tu, to tam, gdzie nas ta sama ręka pobłogosławi, co nas tu rozdziela.

Gdy usiedli i rozmawiali o rzeczy, co ich wszystkich tak mocno dotykała, gdy panna Ja-

dwiga mówiła o tém strasznem niebezpieczeństwie, z którego Eugeniusz tak szczęśliwie wyszedł, gdy rozpytywała się z interesem i przyjaźnią o córki pana Pawła, których śliczne twarze stają ciągle przed jéj okiem, o Ignasia, dla którego tyle ma szacunku i przywiązania, o wnuków pana Pawła, których już miał czworo, drzwi od gabinetu otwarły się i wyszła kasztelanowa, a za nią ksiądz Augustyn. Wszyscy powstali i zwrócili uwagę na tę postać okazałą i imponującą i z twarzy jéj starali się wyczytać wyrok, jaki, o losie córki swéj wyda. Kasztelanowa była w żałobie, któréj od śmierci syna nie zdejmowała wcale. Czépek czarny przysłaniał jéj włosy, które nagle posiwiały. Twarz jéj była blada, ale w ciele jéj nie widać było złamania. Szła wyprostowana, z podniesioną głową, patrzyła spokojnie i dumnie. Gdy się zbliżyła i oddała ukłon półkownikowi, nie siadając i nie prosząc nikogo aby usiadł, rzekła:

— Wiém o tém, że to, czego wszyscy życzycie, nastąpi po mojéj śmierci, która zapewne niedaleka. Nie chcąc więc umiérać z tą myślą, że moja córka stanie mi się nieposłuszną wtedy,

gdy na czole mojém będzie ziemia, a usta będą na wieki zamknięte, pozwalam.

— Matko!— rzekła wówczas panna Jadwiga— takiego pozwolenia nie przyjmuję. Jak byłam dotąd, tak możesz być pewną, że zostanę do śmierci, samotną i daleką od tego, którego kocham i kochać będę, jeżeli głowy jego nieprzyciśniesz do piersi swéj jak matka, i wspólnéj drogi naszéj nie przeżegnasz.

Słowa te wymówione z postanowieniem i głosem takim, że żołnierskie serce w piersiach pana Pawła zadrżało, złamały dumę i upor téj szczególnéj kobiéty. Patrzyła ona długo na córkę, łzy cicho popłynęły po jéj bladéj twarzy, wyciągnęła jedną rękę do niéj, drugą do męża i rzekła:

— Napiszcież do Eugeniusza, niech przyjedzie.

Panna Jadwiga upadła jéj do nóg, ona podniosła ją, pocałowała w czoło, skłoniła się półkownikowi, i poszła do swego gabinetu, gdzie się na klucz zamknęła. Czy się chciała modlić i podziękować Bogu, że ją tak natchnął, czy żałowała swego pośpiechu i zawstydziła się swego

wzruszenia, to nie wiadomo; dosyć, że już tego dnia nikt jéj nie widział.

Pan Paweł nazajutrz rano wyjechał, a przybywszy do Warszawy, doniósł Eugeniuszowi o tém szczęściu, jakie go spotkało, polecając mu, aby się podał do dymissyi, skoro zostanie oficerem, a nim wyjdzie, aby wziął urlop i przyjeżdżał. Przy tym liście był list pana Pawła do znajomego mu półkownika, pod którego komendą Eugeniusz służył, i do jenerała dywizyi, któremu żonę i dziecko ocalił. Obu tym panom wyłożył w krótkości, jakie są powody, dla których potrzebna Eugeniuszowi dymissya i prosił ich, aby nic biorąc mu za złe, że zaraz po otrzymaniu szlif uwalnia się od służby, prośbę jego protekcyą swą wsparli. Co czuł Eugeniusz, gdy czytał list pana Pawła, Ignasia i kuzynek swych, którzy mu wszyscy życzenia swe i uczucia przesłali, tego opisywać nie trzeba, jak równie nie ma potrzeby mówić, z jaką niecierpliwością wyglądał awansu, który mu dawał szczęście tak długo wymarzone.

Ale wprzódy, nim zabłysnęły owe pożądane szlify na ramionach pięknego bohatéra naszego,

doszła go druga wiadomość, że kasztelanowa umarła. Nieszczęście przez które przeszła, zawiedzione wszystkie nadzieje ambicyi, walka, jaką ciągle z sobą staczała, widząc, że jako matka i chrześcijanka będzie wreszcie przymuszona przekonanie arystokratki złamać i postąpić jak inni chcieli, nie zaś jak ona postanowiła, przygotowała ją tak, tak nadwerężyła wszystkie jéj wewnętrzne siły, że gdy przyszła niespodziewana choroba, ciało jéj, mimo starań męża, córki i lekarzy uledz musiało. Wszakże, gdy się zbliżał koniec, gdy świat ze swemi marnościami odsunął się od jéj myśli, wszystko to, co było godném i szlachetném w téj niepospolitéj kobiécie wyszło na jaw, duch jéj umocnił się powiewem wieczności, jakby zbawienném tchnieniem właściwéj mu ojczyzny i okazał się takim, jakim w rzeczy saméj był, tak, że ostatnie jéj chwile i widok jéj pokoju i rezygnacyi napełniał niezmiernym żalem tych, co na to patrzali. Pojednana więc z Bogiem i ludźmi, błogosławiąc raz jeszcze córce i Eugeniuszowi, kasztelanowa skonała na ręku męża, wśród łez tych wszystkich, co ją otaczali. Eugeniusz płakał także

serdecznie, gdy czytał uwiadamiający go o tym wypadku list kasztelana i przypisek panny Jadwigi, w którym go prosiła, aby nie podawał się jeszcze do dymissyi, i nie powracał, aż za rok. Tak więc szczęście jego odwlekło się jeszcze do roku. Tym czasem otrzymał awans i został adjutantem jenerała, w którego domu, pełnym grzeczności i dystynkcyi, widział się traktowanym jak przyjaciel, dla którego ojciec, matka i dziecko tak święty dług zaciągnęli. Nie było mu więc to czekanie zbyt nudnem i ciężkiém, bo gdy przychodziła chwila tęsknoty, przybywał zawsze list od panny Jadwigi i chmurę tę z czoła jego spędzał. Nareszcie zbliżał się koniec roku. Eugeniusz podał się do uwolnienia od służby, a skoro je otrzymał, przybył do Zabuża.

Cóż jeszcze dodamy? tyle tylko, że we trzy tygodnie po przyjeździe jego, przed dom w Zabużu zaszło trzy ekwipaże. W jednym był pan Paweł, pan Marcin i pan Orlicki; w drugim Ignaś z Julką i ciotką Teresą, a w trzecim Kański z Paulinką i starszym swym synkiem. Za temi ekwipażami, z których widać było dostatek, choć nie było w nich myśli wystawy i chęci zaimponowa-

nia, szła bryczka parokonna, odkryta. W niéj na główném siedzeniu znajdował się staruszek wysoki, z wypukłemi plecami, w rogatéj czapce, z pod któréj białe wyglądały włosy, a na koźle drugi taki sam przygarbiony staruszek, w takiéj saméj kapocie i w takiéj saméj czapce. Czytelnicy domyślą się zapewne, że to był ksiądz Maciéj i jego alter-ego, organista pan Błażéj.

Nazajutrz o godzinie dziewiątéj rano, ksiądz Maciéj stał przy ołtarzu w kościołku Zabużskim, który napełnili oficyaliści, sąsiedzi i wieśniacy w świątecznéj odzieniu i z życzeniami na ustach i w sercu. Gdy się msza skończyła, gdy ksiądz Augustyn, wszedłszy na ambonę, opowiedział wszystkim, jaki się ma odbyć obrzęd, przystąpiła do ołtarza piękna nad podziw i dziwnie zamyślona para, ojciec i krewni otoczyli ją, ksiądz Maciéj jéj pobłogosławił, a pan Błażéj, usunąwszy na chórze miejscowego organistę, z pełnéj piersi zaśpiewał: *Veni Creator*. A choć głos jego drżał, doszedł on pewnie tam, zkąd pan Sebastyan patrzył na łzy księdza Macieja i tak pięknie dopełnione dzieło rzadkiéj jego przyjaźni.

I tak się wszystko skończyło w powieści sługi waszego dobrze, szczęśliwie i zapewne według waszego życzenia, szanowni czytelnicy. W życiu codziennem często się kończy inaczéj; ale wierzcie mi, nie jest to wina życia i jego kolei, ale po większéj części wina tych, co nie w godowéj szacie przystępują do tego stołu, do którego ich opatrzny Gospodarz powołał. Gdybyśmy więcéj trochę umieli szanować związki pokrewieństwa, a starając się o szacunek i przywiązanie krewnych, nie oglądali się na ich pomoc i nie sięgali do ich kieszeni; gdyby córki nasze nie rosły w próżności i pysze, w miłości fraszek i żądzy błyszczenia niemi, ale były wyższe cierpliwością nad biédę i niedostatek, a wyższe duchem nad ród i znaczenie; gdyby żaden z synów naszych nie uląkł się ubóstwa, nie zawstydził się uczciwéj, choć ciężkiéj pracy i wytrwał w niéj do końca; jeśliby zaś upadł chwilowo, własnym zostawiony siłom, gdyby zdolnym był podnieść się z upadku ofiarą i poświęceniem za brata, za przyjaciela, za kochankę, za jaką wyższą myśl, za co bądź wreszcie, co na ziemi szanownem jest i świętém, o! wten-

czas, wierzcie mi czytelnicy, że i w naszych kółkach familijnych, w codziennem życiu naszem wiele rzeczy składałoby się tak, jak się złożyło w tém opowiadaniu, któreście może nie bez zajęcia czytali.

KONIEC TOMU CZWARTEGO I OSTATNIEGO.